

Jeffrey Eugenides

Przekleństwa Niewinności

(Virgin suicides)

Przełożył Witold Kurylak

Dla Gusa i Wandy

Rozdział pierwszy

Tego ranka, gdy już ostatnia z kolei córka Lisbonów podjęła próbę samobójczą – tym razem była to Mary oraz tabletki nasenne, podobnie jak to miało miejsce z Therese – dwaj sanitariusze przybyli do domu doskonale wiedząc, gdzie znajduje się szuflada z nożami, a gdzie kuchenka gazowa, a także gdzie jest belka w piwnicy, na której można powiesić sznur. Wyszli z karetki pogotowia, naszym zdaniem jak zawsze poruszając się zdecydowanie zbyt wolno, i usłyszeliśmy, jak ten gruby bąknął pod nosem:

– Chłopaki, to nie jest telewizja, my właśnie tak szybko chodzimy.

Nióśł ciężki respirator i defibrylator przez niepomiernie rozrośnięte krzaki i przez zapuszczony trawnik, równiutko przycięty i uporządkowany trzynaście miesięcy wcześniej, gdy zaczęły się kłopoty.

Pierwsza była najmłodsza z sióstr, zaledwie trzynastoletnia Cecilia, która jak stoik podcięła sobie żyły podczas kąpieli i gdy ją znaleźli, unoszącą się w swym różowym basenie, z żółtymi oczami osoby opętanej i drobnym ciałem wydzielającym ciężką woń dojrzałej kobiety, sanitariusze byli tak przerażeni jej spokojem, że oniemieli w bezruchu. Ale wtedy z przeraźliwym krzykiem do środka wpadła pani Lisbon, co natychmiast przywróciło pomieszczeniu rzeczywistość: krew na macie łazienkowej, brzytwa pana Lisbona zatopiona w muszli klozetowej, tworząca w wodzie marmurkowy wzór. Sanitariusze wyjęli Cecilie z ciepłej wody, która tylko przyspieszała krwawienie, i założyli na jej ramię opaskę uciskową. Mokre włosy spływały jej na plecy, a kończyny już zaczęły sinieć. Nic nie powiedziała, ale gdy rozwarli jej dłonie, znaleźli laminowany obrazek Marii Dziewicy, który przyciskała do swej pączkującej piersi.

To było w czerwcu, w porze jętek, kiedy to każdego roku nasze miasteczko jest pokryte mrowiem tych efemerycznych owadów. Wznoszą się całą chmarą z glonów zanieczyszczonego jeziora i zaczerniają okna, pokrywają samochody i uliczne latarnie, zalepiają miejskie przystanki i dekorują girlandami olinowanie łodzi, zawsze tak samo wszechobecne w swojej brunatnej, latającej pianie. Pani Scheer, mieszkająca na tej samej ulicy, powiedziała nam, że widziała Cecilie na dzień przed próbą samobójstwa. Dziewczynka stała przy krawężniku, w staromodnej sukni ślubnej z obciętym rąbkiem, jaką zawsze nosiła, i patrzyła na pokrytego muszkami forda

thunderbirda.

– Przydałaby ci się miotła, moja droga – doradziła jej pani Scheer. Ale Cecilia utkwiała w niej swój wzrok medium spirytystycznego.

– One są martwe – odpowiedziała. – Żyją tylko dwadzieścia cztery godziny. Wykluwają się, rozmnażają i zaraz po tym zdychają. Nawet nie zdążą nic zjeść.

Mówiąc to, włożyła rękę do spienionej warstwy robaków i napisała w niej swoje inicjały: C. L.

Staraliśmy się ułożyć fotografie chronologicznie, choć utrudniał nam to upływ tak wielu lat. Niektóre z nich są zamazane, ale i tak wiele na nich można zobaczyć. Dowód rzeczowy nr 1 przedstawia dom Lisbonów na krótko przez samobójczą próbą Cecylii. Zdjęcie zostało zrobione przez agentkę handlu nieruchomościami, panią Carminę D'Angelo, której pan Lisbon zlecił sprzedać dom, od dawna już za mały dla jego dużej rodziny. Jak widać na fotografii, z dachu jeszcze nie zaczęły odpadać łupkowe dachówki, wciąż jeszcze weranda jest widoczna ponad krzakami, a okna jeszcze nie trzymają się na taśmie maskującej. Wygodny dom na przedmieściach. W prawym oknie na piętrze widać niewyraźną plamkę, którą pani Lisbon zidentyfikowała jako swoją córkę, Mary. – Modelowała włosy, bo uważała, że są oklapłe – powiedziała po latach, przypominając sobie, jak jej córka wyglądała przez krótki czas swojego pobytu na ziemi. Na zdjęciu uchwycony jest moment, gdy Mary suszy sobie włosy suszarką. Jej głowa sprawia wrażenie płonącej, ale to tylko złudzenie optyczne. To było 13. czerwca, czternaście stopni pod słonecznym niebem.

* * *

Gdy sanitariuszom udało się ograniczyć krwawienie do cienkiej strużki, położyli Cecilię na nosze i wynieśli z domu do stojącej na podjeździe karetki. Wyglądała jak drobna Kleopatra w królewskiej lektyce. Najpierw zobaczyliśmy wychodzącego tyczkowatego sanitariusza z wąsami Wyatta Earpa – gdy już lepiej go poznaliśmy przez te rodzinne tragedie, zaczęliśmy mówić na niego „Szeryf” – a potem pojawił się ten gruby, niosąc nosze z tyłu i z gracją krocząc po trawniku, ze wzrokiem wlepionym w swoje policyjne buty, jakby uważał, żeby nie wdepnąć w psie gówno, chociaż później, gdy lepiej zapoznaliśmy się z maszyną, wiedzieliśmy już, że sprawdzał wskaźnik ciśnienia krwi. Pocąc się, szli niezgrabnie w kierunku trzęsącej się i

migającej światłami karetki. Gruby potknął się o samotną bramkę krykietową. Kopnął ją z zemsty; bramka wyskoczyła z ziemi, wzbijając fontannę kurzu, i z brzękiem upadła na podjazd. Tymczasem pani Lisbon wybiegła na werandę, ciągnąc za sobą flanelową koszulę nocną Cecیلی, i wydała z siebie wycie tak długie, że czas nagle zatrzymał się w miejscu. Pod zrzucającymi listowie drzewami i ponad rozpaloną, nadmiernie nasłonecznioną trawą, te cztery postaci zatrzymały się, tworząc żywy obraz: dwóch niewolników składających ofiarę na ołtarzu (podnosząc nosze, aby je wstawić do karetki), kapłanka wywijająca pochodnię (machająca flanelową koszulą nocną) i zamroczone dziewczyna opierająca się na łokciu, z nieobecnym uśmiechem na pobladłych wargach.

Pani Lisbon pojechała z tyłu karetki, natomiast pan Lisbon ruszył za nimi swoim kombi, jadąc z dozwoloną prędkością. Dwie z córek Lisbonów były w tym czasie poza domem, Therese w Pittsburgu na sympozjum naukowym, a Bonnie na obozie muzycznym, gdzie starała się nauczyć gry na flecie, po zrezygnowaniu z pianina (miała zbyt drobne dłonie), skrzypiec (bolała ją podbródek), gitary (krwawiły jej opuszki palców) i trąbki (puchła jej górna warga). Mary i Lux, słysząc syrenę, przybiegły do domu z lekcji kształcenia głosu, jaką odbywały u pana Jessupa po drugiej stronie ulicy. Gdy przepchały się do zatłoczonej łazienki, doznały tego samego szoku, co ich rodzice, widząc obryzgane krwią przedramiona Cecیلی i jej pogańską nagość. Przed domem stanęły, trzymając się w objęciach, na kępie trawy, jaką pominął Butch, krzepki chłopak, który w soboty kosił trawnik. Po drugiej stronie ulicy brygada mężczyzn z wydziału ochrony zieleni zajmowała się naszymi obumierającymi więziami. Syrena karetki zawyła na odjezdnym, a botanik i jego ekipa odłożyli swoje pompy ze środkami owadobójczymi, aby za nią spojrzeć. Gdy znikła, powrócili do spryskiwania drzew. Okazały więz, również widoczny na dowodzie rzeczowym nr 1, uległ potem grzybom roznoszonym przez ogłodka więzowca i został ścięty.

Karetką zawiozła Cecilię do szpitala Bon Secours na rogu Kercheval i Maumee. Na oddziale pomocy doraźnej Cecilia z niesamowitą obojętnością obserwowała próby odratowania jej. Żółte oczy ani razu nie zamrugały, nie wzdrygnęła się, gdy wbijano jej igłę w ramię. Doktor Armonson zszedł rany na nadgarstkach Cecیلی. Pięć minut po transfuzji stwierdził, że jej życiu nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo. Wziął ją pod brodę i powiedział:

– Co ty tu robisz, kochanie? Nawet nie jesteś na tyle dorosła, aby wiedzieć, jak złe bywa życie.

To właśnie wtedy Cecilia wypowiedziała to, co miało być jedyną formą jej listu

samobójczego, i to bezużytecznego, ponieważ miała żyć:

– Najwyraźniej, panie doktorze – powiedziała – nigdy pan nie był trzynastolatką.

* * *

Córki Lisbonów miały lat trzynaście (Cecilia), czternaście (Lux), piętnaście (Bonnie), szesnaście (Mary) i siedemnaście (Therese). Były niskie, miały kształtne tyłeczki opięte w dzinsy i pucołowate policzki przypominające podobne krągłości z tyłu. Gdy tylko udawało się nam je ujrzeć, ich twarze sprawiały na nas wrażenie nieprzyzwoicie obnażonych, jakbyśmy zawsze oglądali tylko zawołowane kobiety. Nikt nie był w stanie pojąć, jak to możliwe, że pan i pani Lisbon mogli stworzyć takie piękne dzieci. Pan Lisbon uczył matematyki w liceum. Był chudy i wyglądał jak chłopiec oszołomiony swoimi własnymi siwymi włosami. Miał piskliwy głos, a gdy Joe Larson powiedział nam, jak pan Lisbon płakał, kiedy do szpitala odwożono później Lux, po jej własnej próbie samobójczej, z łatwością wyobraziliśmy sobie dźwięk jego dziewczęcego łkania.

Gdy widywaliśmy panią Lisbon, zawsze na próżno doszukiwaliśmy się w niej oznak urody, jaką kiedyś musiała posiadać. Jednak jej pulchne ramiona, włosy jak ze stalowej wełny obcięte brutalnie krótko i okulary bibliotekarki skutecznie nam to udaremniały. Widziało się ją rzadko, z reguły rankiem, kiedy to kompletnie ubrana, chociaż słońce jeszcze nie wstało, wychodziła, aby odebrać pokryte rosą kartony z mlekiem, lub w niedzielę, gdy cała rodzina jechała swoim długim kombi do katolickiego kościoła św. Pawła nad jeziorem. W te poranki pani Lisbon przyjmowała pozę królewskiej lodowatości. Ściskając w dłoniach swoją odświętną torebkę, sprawdzała po kolei wszystkie dziewczynki, czy nie mają śladu makijażu, i dopiero po tym zezwalała im wsiąść do samochodu, a nierzadko zdarzało się jej odesłać Lux do domu, aby zmieniła bluzkę na mniej wydekoltowaną. Nikt z nas nie chodził do kościoła, więc mieliśmy dużo czasu na obserwowanie całej rodziny – dwoje rodziców wypłukanych z barw, jak negatywy fotograficzne, a za nimi ich pięć lśniących córek, ubranych w suknie domowej roboty, całe w koronkach i krezach, wypchane ich owocującymi ciałami.

Tylko jednemu chłopakowi pozwolono wejść do tego domu. Peter Sissen pomógł panu Lisbonowi zainstalować w klasie ruchomy model układu słonecznego i w rewanżu pan Lisbon zaprosił go na kolację. Opowiadał nam, że dziewczyny bez przerwy kopały go pod stołem, ze

wszystkich stron, więc nie mógł powiedzieć, która to. Patrzyły na niego swoimi błękitnymi, rozgorączkowanymi oczami i uśmiechały się, ukazując stłoczone zęby, będące jedyną cechą w córkach Lisbonów, w której mogliśmy dopatrzeć się jakiejś wady. Tylko Bonnie nie rzucała Peterowi Sissenowi tajemniczych uśmiechów i nie kopała go pod stołem. Odmówiła modlitwę i jadła w ciszy, zagubiona w pobożności piętnastolatki. Po jedzeniu Peter Sissen zapytał, czy może skorzystać z toalety, a ponieważ w łazience na dole były Therese i Mary, chichoczące i szepczące, musiał skorzystać ze znajdującej się na piętrze łazienki dziewcząt. Wrócił do nas z opowieściami o sypialniach wypełnionych pogniecionymi majtkami, o pluszowych zwierzętach na śmierć zgniecionych w uściskach przez namiętność dziewcząt, o krzyżu na ścianie spowitym w biustonosz, o przejrzystych jak mgiełka izbach pod baldachimami łóżek i o unoszących się w powietrzu wyziewach tak dużej liczby dziewczyn stających się kobietami w tej samej ciasnej przestrzeni. W łazience, odkręciwszy wodę, aby zagłuszyć dźwięki swoich poszukiwań, Peter Sissen odkrył należący do Mary Lisbon tajny schowek z kosmetykami związanymi w skarpetce pod umywalką: czerwone szminki i druga skóra róży i podkładu, a także wosk do depilacji, dzięki czemu dowiedzieliśmy się, że miała wąsy, których nigdy wcześniej nie zauważyliśmy. Zresztą wtedy nie mieliśmy pojęcia, czyje to kosmetyki znalazł Peter Sissen; dowiedzieliśmy się tego dopiero dwa tygodnie później, gdy zobaczyliśmy na przystani Mary Lisbon z karmazynowymi ustami, jakie odpowiadały opisanemu przez niego odcieniowi.

Sporządził cały inwentarz dezodorantów, perfum i wacików do ścierania martwej skóry, a my byliśmy zaskoczeni, gdy okazało się, że nigdzie nie było irygatorów, ponieważ sądziliśmy, że dziewczyny co wieczór przepłukiwały się, tak jak myły zęby. Ale już chwilę później zapomnieliśmy o naszym rozczarowaniu, kiedy Sissen opowiedział nam o odkryciu, które przeszło nasze najśmielsze wyobrażenia. W koszu na śmieci leżał tampon, poplamiony, jeszcze świeży po kontakcie z wnętrzem jednej z sióstr Lisbon. Sissen powiedział, że chciał nam go przynieść i że wcale nie był ohydny, ale po prostu piękny, trzeba było to widzieć, coś w rodzaju nowoczesnego malarstwa czy coś takiego, a potem dodał, że naliczył dwanaście paczek tamponów w szafce. W tym właśnie momencie zapukała Lux i zapytała, czy przypadkiem tam nie umarł, więc skoczył do drzwi, aby je otworzyć. Jej włosy, przy obiedzie spięte klamerką, teraz opadały na ramiona. Nie próbowała wejść do łazienki, tylko patrzyła mu w oczy. Następnie, śmiejąc się jak hiena, przepchnęła się obok niego, mówiąc:

– Skończyłeś okupować łazienkę? Potrzebuję czegoś. Podeszła do szafki, zatrzymała się i

założyła ręce za siebie.

– To sprawa osobista. Pozwolisz? – powiedziała, a Peter Sissen, rumieniąc się, pomknął w dół schodów, podziękował państwu Lisbon i wybiegł z domu, aby powiedzieć nam, że właśnie w tej chwili, gdy muszki brudziły niebo i zapalały się latarnie uliczne, Lux Lisbon krwawiła między nogami.

* * *

Kiedy Paul Baldino usłyszał opowieść Petera Sissena, poprzysiągł, że dostanie się do domu Lisbonów i zobaczy rzeczy bardziej niewyobrażalne, niż widział Sissen. – Zobaczą, jak te dziewczyny biorą prysznic – zarzekał się. Już wtedy, w wieku czternastu lat, Paul Baldino ze swoim gangsterskim brzuchem oraz twarzą zabójcy do wynajęcia wyglądał jak jego ojciec, Sammy „Rekin” Baldino, i jak wszyscy mężczyźni, którzy odwiedzali wielki dom Baldinów, wchodząc po głównych schodach, strzeżonych przez dwa kamienne lwy. Poruszał się ociężałym, dumnym krokiem miejskich drapieżców pachnących wodą kolońską i z wymanikiurowanymi paznokciami. Baliśmy się zarówno jego samego, jak i jego potężnych, zwalistych kuzynów, Rica Manollo i Vince’a Fusilli, i to nie tylko dlatego, że ich dom co jakiś czas pojawiał się w gazetach, czy też ze względu na kuloodporne czarne limuzyny, które sunęły po zakręconym podjeździe otoczonym sprowadzonymi z Włoch drzewami laurowymi, ale z powodu jego ciemno podkrążonych oczu i gigantycznych bioder, a także jaskrawo wypolerowanych czarnych butów, które nosił nawet podczas gry w baseball. W przeszłości potrafił zakradać się również do innych zakazanych miejsc i chociaż nie zawsze przynoszone przez niego informacje były wiarygodne, jego wypadki nadal robiły na nas wrażenie. W szóstej klasie, gdy dziewczyny poszły do auli oglądać specjalnie dla nich przygotowany film, to właśnie Paul Baldino wkradł się do sali i ukrył się w starej kabinie do głosowania, aby opowiedzieć nam treść tego filmu. Czekaliśmy na niego na boisku i bezmyślnie kopaliśmy żwir, a gdy w końcu pojawił się, żując wykałaczkę i bawiąc się złotym pierścieniem na palcu, z zapartym tchem oczekiwaliśmy, co nam powie.

– Widziałem ten film – powiedział. – Już wszystko wiem. Posłuchajcie. Kiedy dziewczyny mają mniej więcej dwanaście lat – nachylił się w naszą stronę – krwawią im cyciki.

Pomimo tego, że od szóstej klasy nasza wiedza na te tematy wyraźnie się rozszerzyła, Paul Baldino nadal wzbudzał w nas lęk i szacunek. Jego biodra nosorożca jeszcze się powiększyły, a

ciemne kręgi pod oczami zrobiły się jeszcze ciemniejsze i nabrały barwy popiołu z cygar zmieszanego z błotem, przez co wyglądał na człowieka, któremu nieobca była śmierć. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęły pojawiać się plotki o podziemnym korytarzu, który miał służyć Sammy'emu Baldino do ucieczki. Kilka lat wcześniej za kolczastym ogrodzeniem domu Baldino, strzeżonym przez dwa identyczne białe owczarki niemieckie, pojawiła się grupa robotników. Zawiesili na rusztowaniu brezent, aby ukryć, co robią, i po trzech dniach, gdy zerwali go, to tam, pośrodku trawnika, stał sztuczny pień drzewa. Zbudowano go z cementu i następnie namalowano na nim korę drzewa, tak wiernie, że widać było nawet dziurę po sęku, a u góry dwa splecione konary wznosiły się w niebo z żarliwością kikutów po amputacji. W samym środku drzewa, w wyciętym piłą łańcuchową trójkącie, znajdował się metalowy ruszt.

Kiedy Paul Baldino powiedział nam, że to był grill, uwierzyliśmy mu. Ale mijał czas, a my zauważyliśmy, że nikt nigdy go nie używał. W gazetach napisano, że montaż grilla kosztował pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ale nigdy na nim nie usmażono ani jednego hamburgera czy hot doga. Wkrótce rozeszły się pogłoski, że pień drzewa był wejściem do podziemnego korytarza, prowadzącego do kryjówki nad rzeką, gdzie Sammy „Rekin” trzymał łódź motorową, a robotnicy powiesili brezent jedynie po to, aby ukryć wykop. Później, kilka miesięcy po pojawieniu się plotek, Paul Baldino zaczął przechodzić przez kanały burzowe i wylaniać się w piwnicach różnych osób. Wyszedł w domu Chase'a Buella, ubrudzony szarym kurzem, śmierdzącym jak znajome gówno; przecisnął się do piwnicy Danny'ego Zinna, tym razem z latarką, kijem baseballowym i torbą zawierającą dwa martwe szczury; aż w końcu trafił na drugą stronę bojlera Toma Faheema, w który zadzwonił trzy razy.

Tłumaczył nam, że zgubił się podczas badania kanału burzowego pod swoim domem, ale zaczęliśmy podejrzewać, że bawił się w podziemnym korytarzu swego ojca. Kiedy przechwalał się, że zobaczy siostry Lisbon pod prysznicem, podejrzewaliśmy, że ma zamiar wejść do domu Lisbonów w taki sam sposób, w jaki wchodził do innych. Nigdy nie dowiedzieliśmy się dokładnie, co się wydarzyło, chociaż policja przesłuchiwała Paula Baldino przez ponad godzinę. Powiedział im tyle samo, co nam. Wyznał, że wczołgał się do kanału pod własną piwnicą i zaczął się przesuwac, metr po metrze. Opisywał zdumiewające rozmiary kanałów, kubki po kawie i niedopałki papierosów zostawione przez robotników, a także wykonane węglem drzewnym rysunki nagich kobiet, przypominające rysunki w jaskiniach. Opowiadał, jak to na chybił trafił wybierał korytarze i jak przechodząc pod domami różnych ludzi mógł wyczuć, co się u nich

gotowało. W końcu wyszedł przez kratkę na kanale burzowym w piwnicy Lisbonów. Otrzepał się z kurzu i ruszył w poszukiwaniu kogoś na parterze, ale w domu nie było nikogo. Zawołał raz i jeszcze raz, chodząc od pokoju do pokoju. Wszedł po schodach na piętro. Przechodząc przez korytarz, usłyszał szum płynącej wody. Podeszedł do drzwi łazienki. Twierdził, że zapukał. A potem Paul Baldino opowiedział nam, jak to wszedł do łazienki i znalazł tam Cecilię, nagą, z krwawiącymi nadgarstkami, i jak po otrząśnięciu się z szoku pobiegł na dół, aby zadzwonić po policję, ponieważ tego właśnie uczył go jego ojciec.

* * *

Oczywiście, to sanitariusze jako pierwsi znaleźli laminowany obrazek i w tym krytycznym momencie ten gruby włożył go do kieszeni. Dopiero w szpitalu pomyślał, żeby oddać go państwu Lisbon. Cecylii nie groziło już żadne niebezpieczeństwo, a jej rodzice siedzieli w poczekalni, odczuwając ulgę ale równocześnie zupełnie zagubieni. Pan Lisbon podziękował sanitariuszom za ocalenie życia córce. Potem odwrócił obrazek na drugą stronę i zobaczył napis:

Maria Dziewica pojawia się w naszym mieście, niosąc posłanie pokoju dla upadającego świata. Podobnie jak w Lourdes czy Fatimie, Najświętsza Paniienka objawia się ludziom takim jak ty. Więcej informacji pod telefonem 555-MARY.

Pan Lisbon przeczytał te słowa trzykrotnie. Następnie odezwał się przygnębionym głosem:
– Ochrciliśmy ją, przyjęła bierzmowanie, a teraz wierzy w te bzdury.

Było to jedyne jego bluźnierstwo przez ten cały trudny okres. Pani Lisbon zareagowała inaczej, mnąc obrazek w dłoni (jednak ocalał; dysponujemy kserokopią).

Nasza lokalna gazeta nie zamieściła artykułu o tej próbie samobójstwa, ponieważ redaktor naczelny, pan Baubee, uważał, że tak przygnębiająca informacja nie powinna się znaleźć między relacją z pokazu kwiatów Ligi Kobiet na pierwszej stronie, a zamieszczonymi na ostatniej stronie zdjęciami uśmiechniętych panien młodych.

Jedyny artykuł, godny miana wiadomości, jaki pojawił się w wydaniu z tego dnia, dotyczył strajku pracowników cementarza (rosnące stosy ciał, brak perspektyw na porozumienie), ale zamieszczono go na czwartej stronie, pod wynikami rozgrywek dziecięcej ligi baseballa.

Po powrocie do domu państwo Lisbon zamknęli się z dziewczętami w domu i nawet słowem nie skomentowali tego, co się wydarzyło. Dopiero gdy pani Scheer zaczęła naciskać na panią

Lisbon, ta wspomniała o „wypadku Cecylii”, zachowując się jakby córka zraniła się przy upadku. Jednak na podstawie obiektywnej i dokładnej relacji Paula Baldino, który już nie raz widział krew, wiedzieliśmy, że to Cecilia sama wyrządziła sobie krzywdę.

Panią Buck zdziwiło, że brzytwa wylądowała w sedesie.

– Jak ktoś sobie podcina żyły w wannie – mówiła – czy po prostu nie odkłada brzytwy na bok?

To z kolei doprowadziło do pytania, czy Cecilia podcięła sobie żyły, gdy już była w kąpielni, czy też stojąc na macie łazienkowej, na której widać było plamy krwi.

Paul Baldino nie miał żadnych wątpliwości:

– Zrobiła to na kiblu – powiedział. – Dopiero potem weszła do wanny. Obryzgała wszystko, mówię wam.

Cecilię trzymano na obserwacji przez tydzień. Z raportów szpitalnych wynika, że tętnica w prawej ręce była całkowicie przecięta, ponieważ Cecilia była leworęczna, natomiast rozcięcie w lewej ręce nie było aż tak głębokie i dolna część tętnicy pozostała nienaruszona. Na każdy nadgarstek założono jej dwadzieścia cztery szwy.

Wróciła ubrana w swoją suknię ślubną. Pani Patz, której siostra była pielęgniarką w szpitalu Bon Secours, powiedziała, że Cecilia nie chciała włożyć szpitalnej koszuli i żądała, aby przyniesiono jej suknię ślubną, a doktor Hornicker, szpitalny psychiatra, uważał, że lepiej jej się nie sprzeciwiać. Gdy wracała do domu, na dworze szalała burza z piorunami. Siedzieliśmy w domu Joe Larsona, dokładnie po drugiej stronie ulicy, kiedy uderzył pierwszy piorun. Matka Joe wołała z dołu, aby pozamykać wszystkie okna, więc pobiegliśmy zamknąć okna na naszym piętrze. Na zewnątrz powietrze znieruchomiało, jakby nagle wypełnione głęboką próżnią. Poryw wiatru zakręcił papierową torbę, podnosząc ją i miotając między dolne konary drzew. Następnie próżnia pękła i lunął deszcz, niebo zrobiło się czarne i zobaczyliśmy, jak kombi Lisbonów stara się przemknąć w ciemnościach.

Zawołaliśmy mamę Joe, żeby przyszła zobaczyć. Po kilku sekundach usłyszeliśmy szybki tupot jej stóp na schodach pokrytych wykładziną i dołączyła do nas, stojących przy oknie. To był wtorek i pachniała pastą do czyszczenia mebli. Wspólnie patrzyliśmy, jak pani Lisbon jedną nogą otwiera drzwi samochodu, gramoli się z niego, torebką ochraniając głowę przed deszczem. Kuląc się i marszcząc brwi, otworzyła tylne drzwi. Deszcz padał. Włosy pani Lisbon opadły na jej twarz. W końcu zobaczyliśmy niewyraźnie rysującą się w strugach deszczu małą głowę Cecylii,

wynurzającej się nieporadnie, dziwnym ruchem, jakby coś pchała, bo podwójny temblak krępował jej ramiona. Dobrą chwilę zbierała siły, aby stanąć na nogach. Gdy w końcu wydostała się z samochodu, podniosła oba temblaki, jak płócienne skrzydła, a pani Lisbon chwyciła ją za lewy łokieć i poprowadziła do domu. W tym czasie deszcz lał już jak z cebra i nic nie widzieliśmy po drugiej stronie ulicy.

W następnych dniach widywaliśmy Cecilię bardzo często. Przesiadywała na schodach przed domem, zbierała czerwone jagody z krzaków i zjadała je albo plamiła sobie dłonie sokiem. Zawsze miała na sobie suknię ślubną, a jej gołe stopy były brudne. Popołudniami, gdy słońce oświetlało ogródek przed domem, obserwowała mrówki rojące się w pęknięciach w chodniku albo leżała na plecach w trawie porastającej użyźnioną glebę, gapiąc się w chmury. Zawsze towarzyszyła jej jedna z sióstr. Therese wynosiła na schody przed domem książki naukowe i zajmowała się przeglądaniem fotografii kosmosu, podnosząc wzrok, gdy tylko Cecilia oddalała się na skraj ogródka. Lux rozkładała ręczniki kąpielowe i opalała się, podczas gdy Cecilia patykiem rysowała arabskie wzory na swojej nodze. Czasami Cecilia zaczepiała swoją strażniczkę, obejmując ją za szyję i szepecząc jej coś do ucha.

Wszyscy mieli jakieś własne teorie, dlaczego próbowała odebrać sobie życie. Pani Buell uważała, że winni byli rodzice.

– Ta dziewczyna nie chciała umierać – powiedziała nam. – Chciała się tylko wyrwać z tego domu.

Pani Scheer dodała:

– Miała dość tego całego wystroju.

W dniu powrotu Cecylii ze szpitala te dwie panie przyniosły świeżo upieczoną babkę, chcąc wyrazić swoje współczucie, ale pani Lisbon absolutnie nie chciała dopuścić do siebie myśli o jakimkolwiek nieszczęściu. Gdy dotarliśmy do pani Buell, była już bardzo stara i ogromnie gruba i nadal nie dzieliła sypialni ze swoim mężem, członkiem ruchu Christan Science. Leżała w łóżku oparta na poduszkach, wciąż nosiła w dzień swoje perłowe okulary słoneczne w kształcie kocich oczu, i nieodmiennie grzechotała kostkami lodu w wysokiej szklance, która, jak utrzymywała, zawierała tylko wodę; ale wokół niej rozpościerała się teraz nowa woń popołudniowego lenistwa, gnuśny zapach telenoweli.

– Gdy tylko Lily i ja zaniósłszy tę babkę, ta kobieta kazała dziewczynkom iść na górę. Powiedziałyśmy: „Jeszcze jest ciepła, zjedzmy po kawałku”. Ale ona zabrała ciasto i schowała je

do lodówki. Wprost na naszych oczach.

Pani Scheer miała jednak inne wspomnienia:

– Z przykrością to mówię, ale Joan już od lat jest stale pod gazem. Prawda jest taka, że pani Lisbon bardzo uprzejmie nam podziękowała. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy ta dziewczynka faktycznie nie upadła i nie zraniła się. Pani Lisbon zaprosiła nas na oszkloną werandę i zjadłyśmy po kawałku ciasta. W pewnym momencie Joan zniknęła. Może poszła do domu znowu przepłukać sobie gardło. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Pana Buella znaleźliśmy po przeciwnej stronie przedpokoju, w sypialni ozdobionej w stylu sportowym. Na półce stała fotografia jego pierwszej żony, którą kochał od czasu, gdy się z nią rozwiódł, a kiedy się podniósł zza biurka, aby nas powitać, zobaczyliśmy, że nadal był przygarbiony po uszkodzeniu barku, którego wiara nigdy do końca nie wyleczyła.

– To było jak ze wszystkim w tej smutnej społeczności – powiedział nam. – Nie mieli żadnych związków z Bogiem.

Gdy przypomnieliśmy mu o laminowanym obrazku Marii Dziewicy, powiedział:

– Ona powinna mieć obrazek Jezusa.

Przez zmarszczki i niesfome siwe brwi przeziarała przystojna twarz mężczyzny, który tak wiele lat temu uczył nas, jak podawać piłkę.

W czasie drugiej wojny światowej pan Buell był pilotem. Zestrzelony nad Birmą, poprowadził swoich ludzi w stumilową wędrówkę przez dżunglę; w końcu trafili do swoich. Po tym wydarzeniu nigdy już nie przyjmował żadnych lekarstw, nawet aspiryny. Pewnej zimy wybił bark, jeżdżąc na nartach, ale dał się tylko przekonać do zrobienia prześwietlenia, nie zgodził się na żadne zabiegi. Od tego czasu krzywił się, gdy próbowaliśmy go zablokować podczas gry w piłkę, grabił liście jedną ręką i już nie tak śmiało przerzucał naleśniki w niedzielne poranki. Jednak pod innymi względami nie ustawał w swoich staraniach i zawsze delikatnie nas upominał, gdy wzywaliśmy imienia Boga naszego nadaremno. Stojąc w jego sypialni, zobaczyliśmy, że ramię przeobraziło mu się w zgrabny garb.

– Aż smutno pomyśleć o tych dziewczynkach – powiedział. – Cóż za marnotrawstwo życia.

Zgodnie z najpopularniejszą w tym czasie teorią, winny był Dominic Palazzolo. Dominic był synem imigrantów, mieszkającym ze swoimi krewnymi do czasu, gdy jego rodzice urządzają się w Nowym Meksyku. Był pierwszym chłopakiem w sąsiedztwie, który nosił okulary słoneczne, a w

ciągu tygodnia od przyjazdu zakochał się. Obiektem jego pożądania nie była jednak Cecilia, ale Diana Porter, dziewczyna o kasztanowych włosach i ładnej, aczkolwiek nieco końskiej twarzy, mieszkająca w pokrytym bluszczem domku nad jeziorem. Niestety, nie zauważała, jak Dominic gapi się przez ogrodzenie, gdy ona zapamiętała gra w tenisa na ziemnym korcie, czy też jak leży na leżaku przy basenie, oblana potem niczym nektarem. Gdy spotykaliśmy się na naszym rogu, w grupie kumpli, Dominic Palazzolo nie włączał się do rozmów na temat baseballa czy dowożenia autobusem do szkoły, ponieważ znał tylko kilka angielskich słów, ale od czasu do czasu odchyłał głowę do tyłu, tak że w jego okularach słonecznych odbijało się niebo, i wzdychał:

– Kocham ją.

Mówił to z takim wyrazem twarzy, jakby sam był zaskoczony głębością tego twierdzenia – jakby krztusząc się, wykaszłał perlę.

Na początku czerwca, gdy Diana Porter wyjechała na wakacje do Szwajcarii, Dominic był niepokieszony:

– W dupie mam Najświętszą Pannę – powiedział, przybity. -W dupie mam Boga.

I aby okazać swoją rozpacz i znaczenie swojej miłości, wspiął się na dach domu swoich krewnych i skoczył.

Patrzyliśmy na niego. Obserwowaliśmy, jak z ogródka przed swoim domem patrzy na niego Cecilia Lisbon. Dominic Palazzolo, w swoich obcisłych spodniach, swoich kowbojkach, z włosami zaczesanymi wysoko nad czołem, wszedł do domu, widzieliśmy, jak mija panoramiczne okna na parterze; potem pojawił się w oknie na piętrze, z jedwabną chustką zawiązaną na szyi. Wspiął się na gzyms i wczółgał się na płaski dach. Stojąc tam na górze wyglądał właśnie tak, jak wyobrażaliśmy sobie Europejczyka – słabowity, schorowany, chimeryczny. Stanął na palcach przy krawędzi dachu, jak skoczek stojący na trampolinie, i szepcząc do siebie:

– Kocham ją – przeleciał obok okien i wylądował w zadbanych krzakach na podwórzu.

Nic sobie nie zrobił. Wstał po upadku, złożywszy dowód swej miłości, a kilka domów dalej, jak utrzymywali niektórzy, miłość rozgorzała w Cecylii Lisbon. Amy Schraff, która znała Cecilie ze szkoły, powiedziała, że przez ostatni tydzień przed rozdaniem świadectw Cecilia potrafiła mówić tylko o Dominiku. Zamiast uczyć się do egzaminów, spędzała godziny nauki własnej na sprawdzaniu w encyklopedii hasła WŁOCHY. Zaczęła mówić „Ciao” i wymykać się do katolickiego kościoła św. Pawła nad jeziorem, aby skropić sobie czoło wodą święconą. W stołówce Cecilia zawsze wybierała spaghetti z klopsikami, nawet w gorące dni, gdy było tam

gęsto od oparów instytucjonalnego jedzenia, jakby jedząc to samo, co Dominic Palazzolo, mogła się do niego zbliżyć. Gdy jej zauroczenie sięgnęło zenitu, kupiła krzyż, który później Peter Sissen widział udekorowany biustonozem.

Zwolennicy tej teorii zawsze wskazywali na jeden podstawowy fakt – na tydzień przed samobójczą próbą Cecylii rodzina Dominika Palazzolo wezwała go do Nowego Meksyku. Znowu zaczął bluźnić Bogu, mówiąc że ma go głęboko w dupie, ponieważ Nowy Meksyk był jeszcze dalej od Szwajcarii, gdzie w tej właśnie chwili Diana Porter przechadzała się pod drzewami, oddalając się coraz bardziej od świata, jaki on miał odziedziczyć jako właściciel firmy czyszczącej dywany. Zdaniem Amy Schraff, Cecilia otworzyła sobie żyły w wannie, ponieważ tak postępowali starożytni Rzymianie, gdy życie stawało się nie do zniesienia, i ponieważ sądziła, że gdy Dominic dowie się o tym, gdzieś tam daleko, między kaktusami, zda sobie sprawę z tego, że to ona go kochała.

Raport psychiatry zajmuje większą część akt szpitalnych. Po rozmowie z Cecilią doktor Hornicker postawił diagnozę, według której jej samobójstwo było aktem agresji spowodowanej hamowaniem popędów dojrzewającego libido. Podczas testów psychologicznych trzy zdecydowanie różne plamy atramentu skojarzyły się jej z bananem. Ponadto zobaczyła „więzienne kraty”, „bagno”, „fryzurę afro” i „ziemię po wybuchu bomby atomowej”. Gdy ją zapytał, dlaczego chciała się zabić, odpowiedziała jedynie:

– To był błąd – a gdy doktor Hornicker naciskał, zamknęła się w sobie. – Pomimo tak poważnych ran – napisał – nie uważam, aby pacjentka naprawdę chciała sobie odebrać życie. Jej czyn miał być wołaniem o pomoc. – Spotkał się z państwem Lisbon i poradził im, aby nieco złagodzili swoje surowe zasady. Uważał, że Cecilia skorzysta na „szerszym kontakcie z rówieśnikami, poza terenem szkoły i niezwiązana szkolnymi przepisami, gdzie mogłaby spotykać się z chłopcami w jej wieku. Trzynastoletnia Cecilia powinna móc nosić taki makijaż, jaki podoba się jej rówieśniczkom, aby mogła tworzyć z nimi silne więzi. Naśladowanie popularnych zwyczajów stanowi niezbędny etap w procesie indywidualizacji”.

Od tego czasu dom Lisbonów zaczął się zmieniać. Prawie codziennie, nawet wtedy, gdy nie pilnowała Cecylii, Lux opalała się na swoim ręczniku, ubrana w kostium kąpielowy, na widok którego facet ostrzący noże dał jej piętnastominutowy pokaz za darmo. Drzwi frontowe zawsze były otwarte, ponieważ dziewczęta ciągle wbiegały lub wybiegały z domu. Pewnego razu, ćwicząc łapanie piłki przed domem Jeffa Maldruma, zobaczyliśmy dziewczęta tańczące rock and

rolla w salonie. Widać było, że naprawdę starają się nauczyć odpowiednich ruchów, i zdumieliśmy się bardzo, bo okazało się, że dziewczyny potrafią tańczyć ze sobą dla zabawy. Jeff Maldrum zaczął stukać w szybę i cmokać do nich, więc w końcu opuściły rolety. Zanim znikły, zdążyliśmy zobaczyć, że z tyłu, obok szafki z książkami, stoi Mary Lisbon, ubrana w niebieskie dżinsowe dzwony z wyszytym na siedzeniu sercem.

Były również inne cudowne zmiany. Butch, który kosił trawę u Lisbonów, mógł obecnie wejść do domu po szklankę wody; nie musiał już pić z kranu na zewnątrz. Spocony, z obnażonym torsem i wytatuowany, wchodził wprost do kuchni, w której mieszkali i oddychały siostry Lisbon, ale nigdy nie pytaliśmy go o to, co widział, ponieważ odstraszały nas jego mięśnie i jego ubóstwo.

Sądziliśmy, że państwo Lisbon zgodnie wprowadzali nowe zasady oparte na wyrozumiałości, ale gdy po latach rozmawialiśmy z panem Lisbonem, powiedział nam, że jego żona nigdy nie zgadzała się z psychiatrą.

– Po prostu na chwilę uległa – stwierdził.

Wtedy już rozwiedziony, mieszkał samotnie w kawalerce, której podłoga pokryta była wiórami z jego drewnianych rzeźb. Na półkach tłoczyły się wystrugane ptaki i żaby. Zgodnie z tym, co nam powiedział, pan Lisbon od dawna żywił wątpliwości co do słuszności surowego traktowania córek przez swoją żonę, czując w głębi serca, że dziewczęta, którym nie wolno tańczyć, mogą tylko przyciągnąć męża o niezdrowej cerze i z zapadniętą klatką piersiową. Ponadto zaczynał go irytować zapach tych wszystkich dziewcząt stłoczonych w niewielkiej przestrzeni. Czasami czuł się, jakby mieszkał w ptaszarni w zoo. Gdzie się nie obrócił, natrafiał na spinki i szczotki z włosami, a ponieważ po domu kręciło się tak wiele niewiast, nie zwracały uwagi na to, że on jest mężczyzną i bez zażenowania rozmawiały przy nim o swoich miesiączkach. Cecilia właśnie miała ją po raz pierwszy, tego samego dnia co siostry, wszystkie zsynchronizowane w swoich księżycowych cyklach. Te pięć dni każdego miesiąca to był najgorszy okres dla pana Lisbona, który musiał podawać aspirynę, jakby karmił kaczki, i utulać ataki płaczu, jakie wybuchały po tym, gdy w telewizji zginął pies. Powiedział ponadto, że dziewczęta w czasie swoich comiesięcznych „trudnych dni” wykazywały zdumiewającą kobiecość. Były bardziej rozmarzone, schodziły po schodach jak aktorki i ciągle powtarzały, filuternie puszczając oko:

– Ciotka przyjechała z wizytą. – Czasami w nocy wysyłały go po tampony, nie po jedną

paczkę, ale po cztery lub pięć, a młodzi ekspedienci z cienkimi wąsikami tylko się uśmiechali znacząco. Kochał swoje córki, były dla niego bezcenne, ale tęsknił za obecnością kilku chłopców.

Dlatego też, dwa tygodnie po powrocie Cecylii do domu, pan Lisbon nakłonił żonę, aby pozwoliła dziewczynom zorganizować przyjęcie – pierwsze i ostatnie w ich krótkim życiu. Wszyscy otrzymaliśmy zaproszenia, ręcznie wykonane na kolorowym papierze, z naszymi imionami wypisanymi kolorowym flamastrem na balonikach. Byliśmy tak zdumieni oficjalnym zaproszeniem do domu, który odwiedzaliśmy tylko w naszych łaźniowych marzeniach, że uwierzyliśmy w to dopiero, gdy pokazaliśmy sobie nawzajem te zaproszenia. Byliśmy podekscytowani tym, że siostry Lisbon znały nasze imiona, że ich delikatne struny głosowe wypowiadały tworzące je sylaby i że te imiona cokolwiek znaczyły w ich życiu. Musiały starać się, żeby nie popełniać błędów w pisowni i musiały sprawdzać nasze adresy w książce telefonicznej albo na metalowych tabliczkach przybitych do drzew.

W miarę jak zbliżał się wieczór przyjęcia, coraz baczniej obserwowaliśmy ich dom w poszukiwaniu oznak dekorowania lub innych przygotowań, ale niczego takiego nie zobaczyliśmy. Żółte cegły nadal przywodziły na myśl sierociniec prowadzony przez kościół, a na trawniku panowała kompletna cisza. Zastony nie poruszały się, nie pojawił się również samochód dowożący ogromne kanapki z podłużnych bułek czy paczki chipsów.

W końcu nadszedł oczekiwany wieczór. W niebieskich marynarkach, w spodniach khaki i przypinanych krawatach, szliśmy chodnikiem przed domem Lisbonów, jak to już wielokrotnie czyniliśmy, ale tym razem skręciliśmy w dróżkę prowadzącą do domu, weszliśmy po głównych schodach, między donicami z czerwonym geranium, i zadzwoniliśmy do drzwi. Peter Sissen zachowywał się jak przywódca, a nawet wyglądał na nieco znużonego, powtarzając w kółko:

– Poczekajcie, zobaczcie.

Drzwi się otworzyły. W półmroku nad naszymi głowami zmaterializowała się twarz pani Lisbon. Poprosiła, abyśmy weszli, ruszyliśmy więc do środka, zderzając się ze sobą w drzwiach, i gdy tylko stanęliśmy na dywaniku w holu, zobaczyliśmy, że opis domu, jaki przedstawił Peter Sissen, zupełnie nie odpowiadał rzeczywistości. Zamiast podniecającej atmosfery damskiego chaosu, zastaliśmy uporządkowany i nijaki dom, słabo pachnący czerstwą prażoną kukurydzą. Nad przejściem umieszczony był oprawiony w ramkę haft z napisem „Pokój temu domowi”, a po prawej stronie, na półce nad kaloryferem, stało pięć par bucików dziecięcych powleczonech

brązem, na wieki zachowujących mało ciekawy etap dzieciństwa córek Lisbonów. Jadalnia była wypełniona prostymi meblami w stylu kolonialnym. Na jednej ze ścian widniał obraz pierwszych angielskich kolonistów skubiących indyka. Przez otwarte drzwi do salonu widać było pomarańczową wykładzinę i brązową sofę z winylowym obiciem. Obok wygodnego fotela pana Lisbona stał mały stolik, na którym leżał częściowo ukończony model żaglowca, bez takielunku i z piersiastą syreną na pomalowanym dziobie.

Poprowadzono nas w dół, do bawialni. Schody miały metalowe listwy i były dosyć strome, a w miarę, jak po nich schodziliśmy, światło na dole stawało się coraz jaśniejsze, jakbyśmy zbliżali się do roztopionego jądra ziemi. Gdy dotarliśmy na ostatni stopień, światło było już oślepiające. Nad głowami buczały świetlówki, a wszędzie wokół paliły się lampki stołowe. Zielono-czerwona szachownica linoleum płonęła pod naszymi zapinanymi na klamerki butami. Ze stojącej na stoliku do kart wazy z ponczem wybuchała lawa. Ściany wyłożone boazerią lśniły i przez kilka pierwszych sekund siostry Lisbon stanowiły jedynie plamę oślepiającego światła, jak kongregacja aniołów. Jednak zaraz potem nasze oczy przyzwyczyły się do tego blasku i ujrzały coś, z istnienia czego wcześniej nie zdawaliśmy sobie sprawy – siostry Lisbon były zupełnie różnymi ludźmi. Zamiast pięciu replik o takich samych blond włosach i puciołowatych policzkach, zobaczyliśmy pięć różnych istot, obdarzonych własnymi osobowościami, które zaczynały już nadawać ich twarzom różne rysy i wyrazy. Od razu zauważyliśmy, że Bonnie, która teraz przedstawiła się jako Bonaventure, miała ziemistą cerę i ostry nos zakonnicy. Oczy zachodziły jej łzami i była jakieś trzydzieści centymetrów wyższa od pozostałych sióstr, a to głównie z powodu jej długiej szyi, która pewnego dnia miała zawisnąć na końcu sznura. Therese Lisbon miała pełniejszą twarz, policzki i oczy krowy, a gdy zbliżyła się, aby się z nami przywitać, szła, jakby miała dwie lewe nogi. Włosy Mary Lisbon były ciemniejsze; miała głębokie zakola na skroniach i meszek nad górną wargą, co mogło świadczyć o tym, że matka znalazła jej wosk do depilacji. Jedynie Lux Lisbon odpowiadała naszemu wyobrażeniu o siostrach Lisbon. Promieniała zdrowiem i figlarnością. Miała na sobie ciasno opiętą sukienkę, a gdy podeszła, aby podać nam rękę, niewidocznie poruszała jednym palcem, łaskocząc nasze dłonie i równocześnie wydając z siebie dziwny, gardłowy śmiech. Cecilia miała na sobie swoją nieodłączną suknię ślubną z obciętym rąbkiem. Sukienka pochodziła ze starych dobrych lat dwudziestych. Gorset, którego jej młode ciało nie było w stanie wypełnić, był ozdobiony cekinami, a ktoś, być może sama Cecilia, a może właściciel sklepu z używaną odzieżą, odciął

dolną część sukni i obecnie postrzępione brzegi zwisały nad podrapanymi kolanami Cecilii. Siedziała na stołku barowym i wpatrywała się w szklankę ponczu, a ta jej suknia zwisała z niej jak bezkształtny worek. Pomalowała wargi czerwoną kredką, co nadawało jej wygląd obłąkanej ladacznicy, ale zachowywała się, jakby była zupełnie sama.

Wiedzieliśmy, że powinniśmy trzymać się od niej z daleka. Zdjęto już jej bandaże, ale na rękach miała cały zestaw bransoletek, aby ukryć widoczne blizny. Żadna inna dziewczyna nie założyła bransoletki i domyśliliśmy się, że dały Cecilii wszystkie, jakie miały. Bransoletki były przyklejone taśmą klejącą do skóry Cecilii, aby się nie zsuwały. Na sukni ślubnej widniały plamy po szpitalnym jedzeniu, po duszonych marchewkach i burakach. Podano nam poncz i ustawiliśmy się po jednej stronie pokoju, a siostry Lisbon po drugiej.

Nigdy jeszcze nie byliśmy na przyjęciu w towarzystwie rodziców. Zналиśmy imprezy organizowane przez naszych starszych braci, gdy naszych rodziców nie było w mieście, nieobce nam były ciemne pokoje wibrujące od kłębiących się ciał, odgłosy wymiotowania do dźwięków muzyki, widok beczulek piwa chłodzących się w wannie, wybryki w przedpokojach i niszczenie rzeźb w salonie. Tu wszystko było inne. Pani Lisbon nalewała chochlą kolejne szklanki ponczu, my patrzyliśmy na Therese i Mary grające w domino, a po drugiej stronie pokoju pan Lisbon otworzył swoją skrzynkę z narzędziami. Pokazał nam swoje klucze zapadkowe i zaczął nimi kręcić w dłoni, tak że terkotały, a potem cały zestaw dłutek – długie i ostre, które nazywał szczeliniakiem, potem drugie, pokryte szpachlówką, które nazywał skrobakiem, a także jedno z rozdwojonym końcem, które, jak powiedział, nazywało się żłobak. Mówił o tych narzędziach ściszym głosem i wcale na nas nie patrzył, tylko na same narzędzia, przejeżdżając po nich palcem albo też sprawdzając, delikatną poduszczką kciuka, czy są ostre. Na jego czole pogłębiała się pojedyncza pionowa bruzda, a pośrodku suchej twarzy wilgotniały wargi.

Przez cały ten czas Cecilia nie ruszyła się ze swojego stołka.

Ucieszyliśmy się, gdy pojawił się Joe Debilek. Przyprowadziła go jego matka, trzymając pod rękę, ubranego w workowate bermudy i niebieską czapkę baseballową i jak zawsze szczerzącego zęby w uśmiechu charakterystycznym dla wszystkich mongoloidów. Do nadgarstka miał przywiązane czerwoną wstążką zaproszenie, co oznaczało, że siostry Lisbon przeliterowały jego imię, podobnie jak i nasze, i mruczał coś pod nosem swoimi luźnymi wargami nad ogromną szczęką, patrząc na nas małutkimi oczami Japończyka, pod którymi widać było gładkie policzki ogolone przez jego braci. Nikt nie znał dokładnego wieku Joe Debilka, ale od kiedy tylko

pamiętaliśmy, zawsze miał baczki. Jego bracia golili go na werandzie, krzyżąc na niego, aby siedział spokojnie, i powtarzając, że jeśli poderzną mu gardło, to nie będzie ich wina, a Joe w tym czasie biał na twarzy i nieruchomiał jak jaszczurka. Wiedzieliśmy również, że debile nie żyją zbyt długo i szybciej się starzeją niż inni ludzie, a to tłumaczyło siwe włosy wystające spod baseballowej czapki Joe. Jako dzieci spodziewaliśmy się, że Joe Debilek umrze zanim dorośniemy, ale teraz my byliśmy już nastolatkami, a Joe nadal był dzieckiem.

Po jego przybyciu mogliśmy pokazać siostrze Lisbon wszystko, co o nim wiedzieliśmy, jak ruszał uszami, gdy podrapało się go w podbródek, jak mógł tylko powiedzieć „reszka”, gdy podrzucaliśmy monetę, ponieważ „orzeł” było zbyt skomplikowanym słowem, i nawet gdy prosiliśmy go:

– Joe, spróbuj powiedzieć orzeł – on zawsze mówił: – Reszka! – myśląc, że za każdym razem wygrywa, a my nie wyprowadzaliśmy go z błędu. Nakłoniliśmy go, żeby zaśpiewał piosenkę, którą zawsze śpiewał; piosenkę, której nauczył go pan Eugene. Śpiewał:

– Małpki ogonków nie mają w Sambo Wango, małpki ogonków nie mają w Sambo Wango, małpki ogonków nie mają, wieloryby im je odgryzają – a my klaskaliśmy; siostry klaskały, Lux klaskała i oparła się o Joe Debilka, który był zbyt tępy, aby to docenić.

Impreza dopiero zaczynała się rozkręcać, gdy Cecilia zsunęła się ze stołka i podeszła do swojej matki. Bawiąc się bransoletkami na lewej ręce, zapytała, czy może wyjść. To była jedyna chwila, gdy słyszeliśmy jej głos, i byliśmy zdumieni jego dojrzałym brzmieniem. Cecilia mówiła jak osoba stara i bardzo zmęczona. Poruszała bransoletkami, aż w końcu pani Lisbon powiedziała:

– Jeśli tego chcesz, Cecilio. Ale zadaliśmy sobie tyle trudu, żeby zorganizować ci to przyjęcie.

Cecilia wciąż szarpała bransoletki, aż taśma się oderwała. W tym momencie znieruchomiała. Pani Lisbon powiedziała:

– W porządku. W takim razie idź na górę. Będziemy się bawić bez ciebie.

Natychmiast po uzyskaniu zgody Cecilia ruszyła w kierunku schodów. Szła z opuszczoną głową, poruszając się w swoim osobistym zapamiętaniu, ze słonecznikowymi oczami utkwionymi w ciężar swego życia, jakiego my mieliśmy nigdy nie zrozumieć. Wspięła się po schodach do kuchni, zamknęła za sobą drzwi i szła dalej przez korytarz na górę. Słyszeliśmy jej kroki dokładnie nad naszymi głowami. W połowie schodów prowadzących na piętro kroki

umilkły, ale już trzydzieści sekund później usłyszeliśmy wilgotny dźwięk, z jakim jej ciało upadło na płot biegnący wzdłuż domu. Najpierw dobiegł nas szum wiatru, szelest, który, jak zgodziliśmy się później, musiała wywołać jej suknia ślubna wypełniająca się powietrzem. To trwało bardzo krótko. Ludzkie ciało spada bardzo szybko. Jedno było ważne – fakt, że człowiek nagle nabiera całkowicie fizycznych właściwości, spadając z szybkością głazu. Nie miało znaczenia, czy podczas lotu w jej umyśle wciąż jeszcze były jakieś przebłyśki świadomości albo czy żałowała swojego czynu, czy też czy miała czas, aby skoncentrować się na zbliżających się do niej ostrzach prętów. Jej umysł już nie istniał w żaden znaczący sposób. Szum wiatru wzmógł się na moment, a zaraz potem wstrząsnęło nami ciężkie, głuche uderzenie, jak dźwięk pękającego arbuza; i przez tę chwilę wszyscy znieruchomieli, skupieni, jakby wsłuchując się w orkiestrę, z przechylonymi głowami, nadstawiając ucha, jeszcze nie wierząc. W tym momencie pani Lisbon, jakby nikogo wokół niej nie było, powiedziała:

– O, Boże.

Pan Lisbon pobiegł na górę. Pani Lisbon wbiegła na schody i zatrzymała się, chwytając się poręczy. Widzieliśmy jej sylwetkę na schodach, grube nogi, wielkie, pochylone plecy, ogromną głowę znieruchomiałą w przerażeniu, wypełnione światłem okulary wystające w przestrzeń. Zajmowała większą część schodów i nie bardzo wiedzieliśmy, jak ją obejść; ruszyliśmy dopiero, gdy zrobiły to dziewczyny. Wtedy i my precyzyjnie się obok niej. Doszliśmy do kuchni. Przez okno widzieliśmy pana Lisbona stojącego w krzakach. Kiedy wyszliśmy przez główne drzwi, zobaczyliśmy, że trzyma Cecilie, jedną rękę włożywszy pod jej szyję, a drugą pod kolana. Próbował podnieść ją z ostrza, które przebiło jej lewą pierś, przeszło przez jej niepojęte serce, rozdzieliło dwa kręgi, nie niszcząc żadnego, i wyszło przez plecy, rozdzierając suknię i ponownie wychodząc na powietrze. Ostrze przeszło tak szybko, że nie było na nim śladu krwi. Było idealnie czyste, a Cecilia po prostu wyglądała, jakby balansowała na tyczce, jak gimnastyczka. Trzepocząca sukienka tylko wzmagała ten cyrkowy efekt. Pan Lisbon nadal starał się ją podnieść, delikatnie, ale nawet w naszej ignorancji wiedzieliśmy, że to było beznadziejne i że pomimo otwartych oczu Cecylii i jej wciąż jeszcze zaciskających się i otwierających ust, jak u ryby złapanej na wędkę, to już tylko nerwy dawały o sobie znać, bo w końcu udało się jej, za drugim razem, wyrwać z tego świata.

Rozdział drugi

Już za pierwszym razem nie rozumieliśmy, dlaczego Cecilia targnęła się na swoje życie, a jeszcze mniej wiedzieliśmy, gdy zrobiła to po raz drugi. W jej pamiętniku, zbadanym przez policję w ramach rutynowych działań dochodzeniowych, nie znaleziono potwierdzenia podejrzeń o nieodwzajemnionej miłości. Nazwisko Dominika Palazzolo tylko raz pojawiło się w tym malutkim dzienniczku z papieru ryżowego, iluminowanym kolorowymi flamastrami, aby wyglądał jak brewiarz czy średniowieczna biblia. Strony pokryte były miniaturowymi rysunkami. Prymitywne aniołki nurkowały z górnych marginesów lub ocierały swe skrzydła o niezliczone akapity. Złotowłose panny ronily błękitne jak morze łzy na grzbiet książeczki. Wokół (wyciętego i wklejonego) artykułu z gazety, opisującego listę nowych gatunków zagrożonych wyginięciem, wieloryby w kolorze winogron wypuszczały fontanny krwi. Sześć piskląt krzyczało z rozbitych skorupki przy wpisie zrobionym na Wielkanoc. Cecilia zapełniła strony mnóstwem kolorów i zakrętasów, drabin z gier planszowych i pasiastych koniczynek, a wpis o Dominiku brzmiał następująco „Dzisiaj Palazzolo skoczył z dachu dla tej bogatej suki, Porter. Jak można być tak głupim?”

Znowu zobaczyliśmy tych samych sanitariuszy, chociaż rozpoznaliśmy ich dopiero po chwili. Powodowani częściowo strachem, a częściowo uprzejmością, przeszliśmy na drugą stronę ulicy i usiedliśmy na masce oldsmobile'a pana Larsona. Gdy opuszczaliśmy dom, nikt z nas słowem się nie odezwał, jedynie Valentine Stamarowski zawołał przez trawnik:

– Dziękujemy za przyjęcie.

Pan Lisbon przez cały ten czas tonął po pas w krzakach, a jego plecy poruszały się gwałtownie, jakby starał się podnieść i zdjąć Cecylię z płotu, albo jakby łkał. Pani Lisbon poleciła dziewczętom stojącym na werandzie odwrócić się w stronę domu. System zraszający, nastawiony na włączenie się o 8:15 wieczorem, obudził się do życia dokładnie w momencie, gdy zza rogu wyłoniła się karetka pogotowia, jadąca z prędkością około dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę, bez migających świateł czy włączonej syreny, jakby sanitariusze od razu wiedzieli, że sytuacja jest beznadziejna. Jako pierwszy wysiadł ten chudy z wąsami, a za nim gruby. Natychmiast wyjęli nosze, zamiast najpierw sprawdzić stan ofiary, co – jak się później dowiedzieliśmy od profesjonalnych medyków – stanowiło błąd naruszenia procedury. Nie

wiedzieliśmy, kto zadzwonił po karetkę i skąd sanitariusze wiedzieli, że tego dnia pełnią jedynie funkcję przedsiębiorców pogrzebowych. Tom Faheem powiedział, że to Therese weszła do domu i zadzwoniła po pogotowie, ale reszta z nas pamiętała, że wszystkie cztery córki Lisbonów stały nieruchomo na werandzie przez cały czas, aż do przyjazdu karetki. Nikt więcej na naszej ulicy nie zdawał sobie sprawy z tego, co się stało. Identyczne trawniki na całej ulicy były opustoszałe. Ktoś gdzieś piekł coś na grillu. Za domem Joe Garsona słychać było, jak dwóch najwspanialszych badmintonistów świata wali tam i z powrotem w lotkę.

Sanitariusze odsunęli pana Lisbona na bok, aby móc zbadać Cecylię. Puls był niewyczuwalny, ale i tak zabrali się do jej ratowania. Gruby odcinał pręt ogrodzenia piłą do metalu, podczas gdy drugi stał w pogotowiu, aby ją złapać, ponieważ stwierdzili, że ściągać Cecylię z zadzioru pręta byłoby bardziej niebezpieczne, niż zostawić go wbity w jej ciało. Kiedy pręt się złamał, chudy zachwiał się pod gwałtownie uwolnionym ciężarem Cecylii, jednak zaraz odzyskał równowagę, odwrócił się i wsunął ciało na nosze. Gdy ją wynosili, odcięty kawałek pręta podnosił prześcieradło jak maszt namiotu.

Dochodziła już dziewiąta. Po pozbyciu się naszych odświętnych ubrań zebraliśmy się na dachu domu Chase'a Buella, aby obserwować, co się teraz wydarzy. Ponad wznoszącymi się w powietrze piramidami drzew naszym oczom ukazało się wyraźne rozgraniczenie w miejscu, gdzie kończyły się drzewa i zaczynało miasto. Słońce zachodziło w oparach odległych fabryk, a w przyległych slumsach pojedyncze szyby świeciły surowym blaskiem spowitego w smog słonecznego światła. Z brodami opartymi na rękach siedzieliśmy w kucki na wysmołowanych dachówkach, wsłuchując się w docierające z dołu dźwięki, jakich zazwyczaj nie słyszeliśmy, i starając się rozróżnić, ledwo słyszalną, prawie niezrozumiałą, jakby odtwarzaną od tyłu taśmę z nagraniem życia miasta, płacz i okrzyki, szczekanie psa na łańcuchu, klaksony samochodów, głosy dziewcząt wytrwale wykrzykujące liczby w jakiejś nieznannej nam grze – niesione wiatrem dźwięki zubożalego miasta, którego nigdy nie odwiedzaliśmy, pomieszane i wytlumione, zupełnie bez sensu. A potem – ciemność. Światła samochodów poruszające się w oddali. A tu, w pobliżu, rozbłyskujące jedno po drugim żółte światła w domach, ukazujące rodziny przed telewizorami. Jeden po drugim, wszyscy poszliśmy do domów.

* * *

W naszym miasteczku jeszcze nigdy w nie było pogrzebu, przynajmniej nie w ciągu naszego życia. Większość zgonów miała miejsce w trakcie drugiej wojny światowej, gdy nas jeszcze nie było na świecie, a nasi ojcowie byli nieprawdopodobnie chudymi młodzieńcami, jakich znaleźliśmy z czarno-białych fotografii – ojcowie na ładowiskach w dżungli, ojcowie z pryszczami i tatuażami, ojcowie ze zdjęciami gołych panienek, ojcowie piszący listy miłosne do dziewczyn, które miały stać się naszymi matkami, ojcowie znajdujący natchnienie do poetyckiej zadumy w suchym prowiancie, samotności i w częstych w malarycznym powietrzu, zaburzeniach pracy gruczołów – natchnienie, jakie zupełnie ustąpiło, gdy tylko wrócili do domu. Teraz nasi ojcowie byli mężczyznami w średnim wieku, mieli sterczące brzuchy i łydki wyłysiałe od wieloletniego noszenia kalesonów, ale nadal jeszcze daleko im było do śmierci. Ich rodzice, którzy mówili w obcych językach i mieszkali w zaadaptowanych poddaszach jak sowy, mieli do dyspozycji najlepszą opiekę medyczną i odgrązali się, że będą żyć do następnego stulecia. Nikomu nie umarł dziadek, nie umarła też żadna babcia ani rodzice, tylko kilka psów: beagle Toma Burke'a, Muffin, który udławił się gumą balonową Joe Bazooki, a później, tego lata, istota, której wiek w przeliczeniu na psie lata wciąż jeszcze był wiekiem szczeniaka – Cecilia Lisbon.

W dniu śmierci Cecylii strajk pracowników cmentarnych trwał już szósty tydzień. Nikt specjalnie nie przejmował się tym strajkiem ani też postulatami pracowników cmentarza, ponieważ większość z nas nigdy nie była na cmentarzu. Od czasu do czasu słyszeliśmy dochodzące z getta odgłosy wystrzałów, ale nasi ojcowie uparcie twierdzili, że to tylko strzelały gaźniki samochodów. Dlatego też, gdy gazety podały, że grzebanie ciał w miasteczku zostało całkowicie wstrzymane, nie sądziliśmy, że może mieć to na nas jakiś wpływ. Podobnie państwo Lisbon, sami niewiele po czterdziestce, wychowujący stadko małych jeszcze córek, niewiele myśleli o tym strajku do momentu, gdy te córki zaczęły odbierać sobie życie.

Nadal odbywały się ceremonie pogrzebowe, ale ciała nie były składane do grobów. Trumny przewożono obok niewykopanych grobów, księża wygłaszali mowy pogrzebowe, roniono łyż, po czym ciała odwożono z powrotem do kostnicy i zamrażano, w oczekiwaniu na rozwiązanie problemu. Wyraźnie wzrosła popularność kremacji. Jednak pani Lisbon sprzeciwiła się takiemu pomysłowi, obawiając się, że jest to zwyczaj pogański, i nawet wskazała na fragment z Biblii, w którym wyraźnie napisano, że zmarli powstaną cieleśnie z grobów na powtórne przyjście Mesjasza, a prochów wprowadzać nie wolno.

W naszej podmiejskiej dzielnicy istniał tylko jeden cmentarz, senny teren, przez lata będący

w posiadaniu różnych wyznań, od kościoła luterańskiego przez kościół episkopalny aż do katolików. Leżeli na nim trzej traperzy, francuskojęzyczni Kanadyjczycy, ród piekarzy o nazwisku Kropp oraz J.B. Milbank, który wynalazł regionalny napój bezalkoholowy przypominający piwo korzenne. Przechylone nagrobki, uliczka z czerwonego żwiru w kształcie podkowy i wiele drzew odżywiających się dobrze wykarmionymi zwłokami: taki był obraz cmentarza, który zapełnił się już dawno temu, w czasach ostatnich zgonów. W związku z tym pan Alton, przedsiębiorca pogrzebowy, musiał zabrać pana Lisbona na wycieczkę w poszukiwaniu ewentualnych innych miejsc.

Dobrze pamiętał tę wycieczkę. Trudno było zapomnieć te dni strajku na cmentarzu, ale pan Alton wyznał ponadto:

– To był pierwszy przypadek samobójstwa w mojej karierze. Dodatkowo to było małe dziecko. Nie można było używać typowych słów pocieszenia. Szczerze mówiąc, musiałem uzbroić się w cierpliwość.

Odwiedzili cichy cmentarz w dzielnicy palestyńskiej na West Side, ale panu Lisbonowi nie podobał się obcy dźwięk muezzina wzywającego ludzi do modlitwy, a poza tym słyszał, że tutejsi mieszkańcy wciąż jeszcze dokonywali rytualnej rzezi kozłów, i to w wannach.

– Nie tutaj – powiedział – Nie tutaj.

Następnie pojechali na mały katolicki cmentarz, który wyglądał idealnie, aż do momentu, gdy doszli na jego tyły i pan Lisbon zobaczył trzy kilometry wyrównanej ziemi, która przypominała mu zdjęcia z Hiroszimy.

– To była dzielnica Polaków – powiedział nam pan Alton. – General Motors najęło jakieś dwadzieścia pięć tysięcy Polaczków, żeby zbudować tę ogromną fabrykę samochodów. Wyburzyli dwadzieścia cztery kwartały i skończyły się im pieniądze. Cały ten teren to był tylko gruz i chwasty. Prawda, że sprawiało to ponure wrażenie, ale tylko gdy się patrzyło za tylne ogrodzenie.

W końcu dotarli na publiczny cmentarz bezwyznaniowy, znajdujący się między dwiema autostradami, i właśnie tu odprawiono nad Cecilią Lisbon wszystkie ostatnie obrzędy pogrzebowe kościoła katolickiego, za wyjątkiem samego pochówku. Oficjalnie śmierć Cecylii Lisbon została zapisana w rejestrze kościelnym jako „wypadek”, podobnie zresztą zrobiono rok później, po śmierci pozostałych siostr. Gdy zapytaliśmy o to ojca Moody’ego, odpowiedział:

– Nie chcieliśmy spierać się o szczegóły. A skąd wiadomo, że się nie poślizgnęła?

Kiedy przypomnieliśmy tabletki nasenne, stryzyk i pozostałe rzeczy, powiedział:

– Samobójstwo jest grzechem śmiertelnym, a to oznacza, że ważne są tu intencje. Nie możemy wiedzieć, co te dziewczyny czuły w głębi serc. Co tak naprawdę chciały zrobić.

Prawie wszyscy rodzice postanowili nie zabierać swoich dzieci na pogrzeb, pozostawiając nas w domu, abyśmy nie skalali się tą tragedią. Wszyscy opowiadali, że tak płaskiego cmentarza w życiu nie widzieli. Nie było żadnych nagrobków czy pomników, tylko zapadnięte w ziemię granitowe płyty i zniszczone przez deszcz plastikowe flagi amerykańskie albo druciane girlandy ze zwiędłymi kwiatami na grobach weteranów wojennych. Z powodu pikiety karawan miał trudności z przejechaniem przez bramę, ale gdy strajkujący dowiedzieli się, ile zmarła miała lat, rozstąpili się, a nawet opuścili swoje gniewne transparenty. Na cmentarzu wyraźnie widać było zaniedbanie spowodowane strajkiem. Wokół niektórych grobów walały się stosy śmieci. Koparka stała jak skamieniała, a jej szczęki zaciskały się na kawałku darni, jakby wezwanie do strajku nadeszło w połowie pochówku. Rodziny zmarłych starały się zastąpić pracowników cmentarza i podejmowały wzruszające próby uporządkowania miejsc ostatniego spoczynku ukochanych osób. Przez nadmierne użycie nawozu wypalono trawę na jednym z grobów, który zmienił kolor na jaskrawożółty. Z kolei przez nadmierne podlewanie zamieniono inny w bagno. Ponieważ wodę trzeba było przynosić ręcznie (system zraszania został celowo uszkodzony), od grobu do grobu biegł szlak głębokich odcisków stóp, jakby zmarli spacerowali po nocy.

Trawa nie była ścinana już od prawie siedmiu tygodni i żałobnicy stali w niej po kostki, gdy wynoszono trumnę. W związku z niską śmiertelnością nastolatków, zakłady pogrzebowe prawie nie robiły trumien na ten średni rozmiar. Produkowały niewielką liczbę trumien dziecięcych, tylko trochę większych niż pojemniki na chleb. Następnym rozmiarem był tak zwany pełny wymiar, dużo większy, niż było to potrzebne Cecilii. Gdy otworzono trumnę w domu pogrzebowym, wszyscy zobaczyli tylko atlasową poduszkę i pomarszczone obicie wieka trumny. Pani Turner powiedziała:

– Przez chwilę myślałam, że trumna jest pusta.

Ale już po chwili z tła wyłoniła się postać Cecilii, jak figura pojawiająca się na rysunku ilustrującym złudzenie optyczne, tworząc jedynie niewyraźny obraz, ponieważ ważyła tylko trzydzieści dziewięć kilogramów, a jej blada skóra i włosy wtapiały się w biały atlas. Nie była ubrana w suknię ślubną, którą pani Lisbon wyrzuciła, ale w beżową sukienkę z koronkowym kołnierzykiem, którą podarowała jej na gwiazdkę babcia, a której Cecilia nie chciała nosić za

życia. Odslonięta przez wieko część trumny ukazywała nie tylko jej twarz i ramiona, ale również dłonie z obgryzionymi paznokciami, szorstkie łokcie, bliźniacze kanty bioder, a nawet kolana.

Obok trumny przeszła tylko rodzina. Najpierw dziewczęta, wszystkie otepiały i z tak beznamiętnym wyrazem twarzy, że później wszyscy mówili, że już po ich twarzach powinni się byli domyślić.

– To było tak, jakby do niej mrugały – powiedziała pani Carruthers. – powinny były ryczeć, a co one robiły? Podchodziły do trumny, zerkały do środka i odchodziły. Jak mogliśmy tego nie zauważyć?

Curt Van Osdol, jedyne dziecko obecne w domu pogrzebowym, powiedział, że gdybyśmy tam byli i mogli to zobaczyć, odważyłby się ją pomacać, na oczach księdza i wszystkich zgromadzonych. Po przejściu dziewcząt pani Lisbon, wsparta na ramieniu męża, zrobiła dziesięć zboliałych kroków i pokiwała swoją słabą głową nad twarzą Cecylii, upudrowaną po raz pierwszy i ostatni.

– Spójrz na jej paznokcie – zdawało się panu Burtonowi, że słyszał głos pani Lisbon. – Czy nie mogli czegoś zrobić z jej paznokciami?

Na co pan Lisbon odpowiedział:

– Odrosną. Paznokcie rosną nieustannie. Kochanie, ona już nie może ich obgryzać.

* * *

Podobnie nieustannie, z tą samą nienaturalną uporczywością, rosła nasza wiedza o Cecylii po jej śmierci. Chociaż Cecilia rzadko się odzywała i nie miała prawdziwych przyjaciół, każdy z nas miał o niej własne, żywe wspomnienie. Niektórzy z nas przez pięć minut trzymali malutką Cecilie na rękach, gdy pani Lisbon biegła do domu po torebkę. Inni bawili się z nią w piaskownicy, bijąc się o łopatkę, albo obnażali się przed nią, schowani za morwą oplatającą parkan z siatki drucianej kończynami swego zdeformowanego ciała. Staliśmy z nią w kolejce do szczepienia przeciw ospie wietrznej, wspólnie z nią trzymaliśmy pod językiem kostki cukru z kroplami na chorobę Heine-Medina, uczyliśmy ją skakać przez skakankę, zapalać sztuczne ognie, wielokrotnie zakazywaliśmy jej zdzierać strupy i ostrzegaliśmy ją przed dotykiem ustami wodotrysku z wodą pitną w parku Three Mile. Kilku z nas zakochało się w niej, ale nikt się z tym nie zdradzał, wiedząc, że Cecilia była trochę dziwna.

Opis sypialni Cecylia – w końcu uzyskany od Lucy Brock – potwierdził tę ocenę jej charakteru. Oprócz wiszącej pod sufitem ruchomej konstelacji znaków zodiaku, Lucy znalazła tam całą kolekcję obdarzonych tajemną mocą ametystów, a także talię kart do tarota pod poduszką, jeszcze pachnącą jej kadzidłem i włosami. Lucy na naszą prośbę sprawdziła, czy pościel była wyprana, ale okazało się, że nie. Pokój pozostał w stanie nienaruszonym, jak dowód rzeczowy. Nadal otwarte było okno, z którego skoczyła Cecilia. W górnej szufladzie biurka Lucy znalazła siedem par majtek, wszystkie ufarbowane na czarno, a w szafie dwie pary nieskazitelnie czystych butów nad kostkę. Te wszystkie rzeczy wcale nas nie zaskoczyły. Od dawna wiedzieliśmy o czarnej bieliźnie Cecylia, ponieważ zawsze, gdy stawała na pedałach na rowerze, aby przyspieszyć, zaglądaliśmy jej pod sukienkę. Często widzieliśmy ją również na tylnych schodach, czyszczące swoje wysokie buty szczoteczką do zębów i kubkiem płynu do naczyń Ivory Liquid.

Pamiętnik Cecylia zaczyna się półtora roku przed jej samobójstwem. Wiele osób miało wrażenie, że iluminowane strony stanowiły hieroglificzny zapis skrywanej rozpacz, chociaż rysunki w większości wyglądały radośnie. Pamiętnik był wyposażony w kłódeczkę, ale David Barker, który otrzymał go od Skipa Ortegi, pomocnika hydraulika, powiedział nam, że Skip znalazł pamiętnik obok toalety przy głównej sypialni, a kłódka była już wyważona, jakby państwo Lisbon sami go czytali. Nasz mądrała, Tim Winer, nalegał, aby zbadać pamiętnik. Zanieśliśmy więc ten dziennik do gabinetu, jaki stworzyli Timowi jego rodzice, z zieloną lampą na biurku, globusem z mapą konturową i encyklopediami o złożonych grzbietach.

– Chwiejność emocjonalna – powiedział, analizując charakter pisma. – Spójrzcie na kropki na tymi i. Są wszędzie.

A potem, nachylając się do przodu i ukazując niebieskie żyłki wyraźnie rysujące się pod skórą cherlaka, dodał:

– W zasadzie mamy tu do czynienia z typową marzycielką. Z kimś, kto nie ma kontaktu z rzeczywistością. Skacząc z okna, prawdopodobnie sądziła, że pofrunie.

Obecnie, po latach, znamy już na pamięć fragmenty pamiętnika. Zanieśliśmy go na poddasze Chase'a Bulla i tam, na głos, czytaliśmy fragmenty. Przekazywaliśmy sobie pamiętnik z rąk do rąk, gładziliśmy palcami strony i niecierpliwie szukaliśmy w nim naszych imion. Jednak w miarę zapoznawania się z jego treścią, dowiadaliśmy się, że chociaż Cecilia przez cały ten czas patrzyła się na nas wszystkich, nie myślała o żadnym z nas. Nie myślała również o sobie.

Pamiętnik stanowi niezwykle dokument dorastania z tego względu, że nieczęsto znaleźć można w nim opis wyłaniania się nieukształtowanego ego. Trudno tu szukać typowego poczucia zagubienia, lamentowania, stanów miłosnych uniesień i marzeń. Cecilia pisze natomiast o sobie i o swoich siostrach, jakby to była jedna istota. Często trudno wywnioskować z tekstu, którą siostrę opisuje, a wiele dziwnych zdań wywołuje w umyśle czytelnika obraz mitycznego stworzenia o dziesięciu nogach i pięciu głowach, leżącego w łóżku i jedzącego niezdrowe jedzenie albo z trudem znoszącego odwiedziny czułych ciotek. Z pamiętnika więcej mogliśmy dowiedzieć się o samym życiu dziewcząt, niż dlaczego odebrały sobie życie. Nużyło nas czytanie, co jadły („Poniedziałek, 13. lutego. Dzisiaj jadłyśmy mrożoną pizzę...”), czy też jak się ubierały albo jakie były ich ulubione kolory. Wszystkie nie znosiły kremu z kukurydzy. Mary wyszczerbiła sobie ząb na drabince na placu zabaw i miała założoną koronę. (– A nie mówiłem? – powiedział Kevin Head przy czytaniu tego fragmentu.)

I tak poznaliśmy ich życie, posiadliśmy zbiorowe wspomnienia czasów, jakich nigdy nie doświadczyliśmy, skrycie podglądaliśmy Lux przechylającą się przez burtę, aby pogłaskać pierwszego wieloryba w życiu i mówiącą:

- Nie sądziłam, że będą tak śmierdzieć. Na co Therese odpowiedziała:
- To gniją wodorosty na ich fiszbinach.

Zapoznaliśmy się z rozgwieżdżonym niebem, które dziewczyny oglądały przed laty, obozując pod namiotem, i z ogarniającą je nudą podczas letniego włóczenia się tam i z powrotem z ogródka za domem do ogródka przed domem, a nawet z pewnym trudnym do określenia zapachem, jaki dochodził z toalet w deszczowe noce, a który dziewczęta nazywały „wonią ścieków”. Dowiedzieliśmy, co czują dziewczyny, gdy widzą chłopaka bez koszulki, dlaczego Lux fioletowym flamastrem napisała imię Kevin nie tylko na okładce swojego dużego zeszytu, ale również na stanikach i majtkach, zrozumieliśmy też jej wściekłość, gdy pewnego dnia wróciła do domu i okazało się, że pani Lisbon namoczyła jej rzeczy w wybielaczu, wywabiając wszystkie „Keviny”. Poczuliśmy ostry zimowy wiatr wdzierający się pod ich spódnice, a także jak bardzo bolały nogi od ciągłego trzymania kolan razem na lekcjach oraz jak nudne i ogromnie irytujące było skakanie przez skakankę, podczas gdy chłopcy grali w baseball. Nigdy nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego dziewczynom tak zależało, aby dorosnąć, ani dlaczego czuły się w obowiązku chwalić się nawzajem, ale czasami, po tym jak jeden z nas przeczytał na głos dłuższy fragment pamiętnika, z trudem powstrzymywaliśmy się od przytulania się do siebie, czy też

mówienia sobie, jak ładnie wyglądamy. Poczuliśmy, jaką katogą jest życie dziewczyny, i jak to uwięzienie powoduje, że umysł jest równocześnie aktywny i marzycielski, a także skąd to się bierze, że wiadomo, które kolory pasują do siebie. Wiedzieliśmy, że dziewczyny były naszymi bliźniaczymi siostrami, że wspólnie istnieliśmy w przestrzeni, jak zwierzęta o identycznych skórach, i że wiedziały o nas wszystko, chociaż my nie byliśmy w stanie ich pojąć. Wiedzieliśmy, w końcu, że te dziewczyny tak naprawdę były kobietami w przebraniu, że rozumiały miłość, a nawet śmierć, i że naszym jedynym zadaniem było robienie zamieszania, które zdawało się je fascynować.

W miarę jak pamiętnik się rozwijał, Cecilia zaczęła oddalać się od swoich sióstr, a także wycofywać się z jakiegokolwiek osobistej opowieści. Prawie zupełnie znika narracja prowadzona w pierwszej osobie liczby pojedynczej, wywołując efekt podobny do tego wprowadzanego pod koniec filmu przez odjazd kamery od głównych bohaterów, a służącego pokazaniu, w serii przenikających się obrazów, ich domu, ulicy, miasta, kraju, aż w końcu całej planety, która nie tylko ich przytłacza, ale również unicestwia. Jej tak wcześnie rozwinięta proza przechodzi do tematów bezosobowych – pojawia się opis reklamy, w której płaczący Indianin wiosłuje w kanoe w dół zanieczyszczonego strumienia, albo przedstawiona jest liczba ofiar śmiertelnych wojny relacjonowanej w wieczornych wiadomościach. W ostatniej części pamiętnika można zauważyć dwa dominujące na przemian nastroje. W romantycznych fragmentach Cecilia rozpacza nad zagładą naszych więzów. W cynicznych dygresjach sugeruje, że drzewa wcale nie są chore i że to całe ich wycinanie jest tylko intrygą „aby wszystko zrównać z ziemią”. Pojawiają się przypadkowe odniesienia do tej czy innej teorii spiskowej – iluminaci, kompleks zbrojeniowo-przemysłowy – ale widać, że jest to tylko pewna symbolika, jakby te nazwy miały reprezentować mnogość bliżej nieokreślonych zanieczyszczeń chemicznych. Od inwektyw przechodzi ponownie do swojej poetyckiej zadumy. Naszym zdaniem bardzo ładny jest dwuwiersz o lecie, pochodzący z jej nigdy nie dokończonego wiersza:

Drzewa niczym płuca powietrzem wypełnione

Podła siostra moje włosy targa zwichrzona

Ten fragment jest datowany na 26. czerwca, trzy dni po jej powrocie ze szpitala, kiedy to obserwowaliśmy ją leżącą na trawniku przed domem.

* * *

Niewiele wiadomo o stanie psychicznym Cecylii w ostatnim dniu jej życia. Zdaniem pana Lisbona, sprawiała wrażenie zadowolonej z planowanego przyjęcia. Kiedy zszedł na dół sprawdzić stan przygotowań, zobaczył Cecylię stojącą na krześle i przywiązaną baloniki czerwonymi i niebieskimi wstążkami do sufitu.

– Kazałem jej zejść z krzesła. Lekarz powiedział, żeby nie trzymała rąk nad głową. Z powodu szwów.

Zrobiła, jak jej polecono, i przez resztę dnia leżała na dywaniku w swoim pokoju, gapiąc się na ruchomy model zodiaku i słuchając dziwacznych płyt z muzyką celtycką, które kupiła przez dom sprzedaży wysyłkowej.

– W tych piosenkach zawsze jakiś głos śpiewał sopranem o moczarach i zwiędłych różach.

Ta melancholijna muzyka niepokoiła pana Lisbona, który porównywał ją do radosnych melodii swojej młodości, ale idąc w dół korytarza, zdał sobie sprawę, że to z pewnością nie było gorsze od wyjącej muzyki rockowej Lux albo nieludzkich pisków radiostacji Therese.

Od drugiej po południu Cecilia moczyła się w wannie. W przypadku Cecylii takie długie kąpiele nie były niczym niezwykłym, ale po tym, co się ostatnio wydarzyło, państwo Lisbonowie woleli nie ryzykować.

– Musiała zostawiać lekko uchylone drzwi – powiedziała pani Lisbon. – Oczywiście protestowała. A teraz miała dodatkowy powód.

Ten psychiatra powiedział, że Ceel jest w wieku, w którym potrzebuje dużo prywatności.

Przez całe popołudnie pan Lisbon wymyślał najróżniejsze wymówki, aby znaleźć się obok łazienki:

– Czekałem, aż usłyszę plusk wody, dopiero wtedy przechodziłem. Oczywiście wynieśliśmy z łazienki wszystkie ostre przedmioty.

O czwartej trzydzieści pani Lisbon wysłała Lux, aby ta sprawdziła, co robi Cecilia. Lux wróciła na dół z obojętnym wyrazem twarzy i nic w jej zachowaniu nie wskazywało, że miała jakiegokolwiek podejrzenia, co jej siostra może zrobić za kilka godzin.

– Dobrze się czuje – powiedziała Lux. – Zasmradza całą łazienkę tymi solami kąpielowymi.

O piątej trzydzieści Cecilia wyszła z kąpeli i zaczęła stroić się na przyjęcie. Pani Lisbon słyszała, jak chodzi tam i z powrotem między dwoma pokojami siostr (Bonnie dzieliła pokój z Mary, a Therese z Lux). Brzęk bransoletek uspokajał jej rodziców, ponieważ dzięki temu mogli

śledzić jej ruchy, jakby była zwierzęciem z dzwoneczkiem na szyi. Przez czas pozostały do naszego przyjścia, pan Lisbon wielokrotnie słyszał dzwonienie bransoletek Cecylii, która wchodziła i schodziła po schodach, przymierzając różne buty.

Zgodnie z tym, co opowiadali nam później osobno przy różnych sposobnościach, mieszkając już w różnych stanach, państwo Lisbon nie uważali zachowania Cecylii podczas przyjęcia za dziwne.

– Ona w towarzystwie zawsze siedziała cicho jak trusia – powiedziała pani Lisbon.

I być może z powodu braku obycia towarzyskiego, państwo Lisbon wspominali to przyjęcie jako raczej udane. Pani Lisbon nawet była zdziwiona, gdy Cecilia zapytała, czy może wyjść.

– Myślałam, że dobrze się bawi.

Nawet w tym momencie nic w zachowaniu jej sióstr nie świadczyło o tym, że wiedziały, co ma się wkrótce wydarzyć. Tom Faheem wspominał, że Mary opowiadała mu o swetrze, który chciała kupić u Penneya. Therese i Tim Winter rozmawiali o swoich planach dostania się do jednego z prestiżowych uniwersytetów na wschodnim wybrzeżu.

Na podstawie później odkrytych informacji ustaliliśmy, że Cecilia nie poszła na górę tak szybko, jak nam się to wtedy wydawało.

Wiemy, że między opuszczeniem nas i dojściem na górę zatrzymała się, aby napić się soku z puszkki gruszek (zostawiła puszkę na blacie, przebitą tylko w jednym miejscu, lekceważąc metodę zalecaną przez panią Lisbon). Albo przed wypiciem soku, albo też po tym, podeszła do tylnych drzwi.

– Myślałam, że wysyłają ją na wycieczkę – powiedziała pani Pitzenberger. – Miała ze sobą walizkę.

Nigdy nie znaleziono żadnej walizki. Świadczenie pani Pitzenberger można wytłumaczyć jako halucynacje okularnika albo jako zapowiedź przyszłych samobójstw, w których tak ważną rolę odgrywało pakowanie bagażu. Bez względu na to, jak było naprawdę, pani Pitzenberger widziała Cecilie zamykającą tylne drzwi na chwilę przed tym, jak ta weszła po schodach, co z kolei my wyraźnie słyszeliśmy z dołu. Po wejściu do swojego pokoju włączyła światło, chociaż było jeszcze jasno na dworze. Pan Buell widział z drugiej strony ulicy, jak otwierała okno w pokoju.

– Pomachałem do niej, ale mnie nie widziała – powiedział nam. W tym momencie usłyszał, że jego żona jęczy w drugim pokoju.

O tym, co się stało z Cecilią, dowiedział się dopiero po odjeździe karetki.

– Niestety, mieliśmy własne problemy – powiedział.

Poszedł zobaczyć, jak się ma jego małżonka, właśnie wtedy, gdy Cecilia wystawiła głowę na różowe, wilgotne i gościnne powietrze.

Rozdział trzeci

Kwiaty przyjechały do domu Lisbonów później niż było to przyjęte w zwyczaju. W związku z charakterem śmierci, większość osób zdecydowała się nie wysłać kwiatów do zakładu pogrzebowego i nawet przez jakiś czas prawie nikt nie zamawiał żadnych wiązanek czy wieńców, nie mając pewności, czy należy tę katastrofę przeczekać w milczeniu, czy też postępować, jakby to była śmierć naturalna. Jednak ostatecznie każdy wysłał jakieś kwiaty, wieńce białych róż, wiązanki storczyków, piwonie. Peter Loomis, który pracował jako doręczyciel kwiatów, opowiadał, że kwiaty wypełniały cały salon domu Lisbonów. Bukiety rozkwitały na krzesłach i leżały rozrzucone na podłodze.

– Nawet nie włożyli ich do wazonów – powiedział.

Większość ludzi dołączyła typowe, okolicznościowe kartki z napisem „Z wyrazami współczucia” czy „Nasze głębokie kondolencje”, ale kilku bardziej snobistycznych przedstawicieli elity, przyzwyczajonych do pisania osobistych tekstów na każdą okazję, opracowało własne kondolencje. Pani Beards użyła cytatu z Walta Whitmana, który później powtarzaliśmy sobie, jak mrużankę: „Wszystko porusza się i podąża dalej, nic nie ginie doszczętnie, a umrzeć jest czymś innym niż wszystkim się wydaje i czymś szczęśliwszym”. Kiedy Chase Buell wsuwał pod drzwi Lisbonów kartkę od swojej matki, zerknął na nią i zobaczył, że było tam napisane: „Nie wiem, co państwo czują. Nawet nie będę udawać”.

Kilka osób odważyło się złożyć osobistą wizytę. Pan Hutch i pan Peters przyszli do domu Lisbonów osobno, ale ich relacje niewiele się różniły. Pan Lisbon zaprosił ich do środka i zanim spróbowali poruszyć ten bolesny temat, usadowił ich przed telewizorem, w którym trwała transmisja meczu baseballa.

– Ciągle mówił o ławce rezerwowych – opowiadał pan Hutch. – Do cholery! W college’u grałem jako miotacz. Musiałem poprawić go w kilku kwestiach podstawowych. Po pierwsze chciał wymienić Millera, chociaż to był nasz jedyny porządny zawodnik. Zupełnie zapomniałem, po co tam przyszedłem. Z kolei pan Peters opowiadał:

– Ten facet był na poły nieobecny. Ciągle regulował nasycenie kolorów w telewizorze, tak że pole gry było praktycznie niebieskie. Potem usiadł. Już po chwili znowu wstał. Weszła jedna z dziewcząt – nie wiem, czy ktoś jest w stanie je rozróżnić – i przyniosła nam parę piw. Pociągnęła

łyk z jego piwa, a dopiero później mu je podała.

Żaden z mężczyzn nawet nie poruszył kwestii samobójstwa.

– Ja chciałem, naprawdę – powiedział pan Hutch. – Po prostu nie było jak.

Ojciec Moody wykazał więcej wytrwałości. Pan Lisbon przyjął duchownego tak samo, jak i innych mężczyzn i posadził go przed telewizorem. Kilka minut później, jakby na dany znak, Mary podała piwo. Ale to nie odwróciło ojca Moody'ego od powziętego zamiaru. Podczas drugiej zmiany meczu baseballa powiedział:

– Może byśmy zaprosili tu panią Lisbon? Porozmawiajmy trochę. Pan Lisbon nachylił się w stronę telewizora.

– Obawiam się, że ona nie chce teraz nikogo widzieć. Nie czuje się zbyt dobrze.

– Na pewno z chęcią zobaczy się ze swoim księdzem – powiedział ojciec Moody.

Wstał z fotela, gotów do wyjścia. Pan Lisbon podniósł dwa palce. Oczy zaszczyły mu łzami.

– Ojciec – powiedział. – Ojciec, dwóch zawodników wysłanych na aut. Paolo Conelli, który był ministrantem, słyszał, jak ojciec Moody opowiadał kierownikowi chóru, Fredowi Simpsonowi, że pozostawił „tego dziwnego człowieka, niech Bóg wybaczy mi, że tak mówię, ale takim go stworzył” i ruszył w górę po głównych schodach. Już wtedy w domu zaczynały pojawiać się pierwsze oznaki zaniedbania, aczkolwiek było to jeszcze nic w porównaniu z tym, co miało nadejść później. Na schodach walały się kłaczki kurzu. Na podeście leżała na wpół zjedzona kanapka, jakby w tym miejscu zbyt wielki smutek nie pozwolił komuś jej dokończyć. Ponieważ pani Lisbon przestała pracować, a nawet nie kupowała już proszku do prania, dziewczęta zaczęły pracować ubrania ręcznie w wannie i gdy ojciec Moody mijał ich łazienkę, zobaczył wiszące na zasłonce do prysznica koszule i bieliznę.

– To był naprawdę dosyć przyjemny dźwięk – powiedział. – Jak krople deszczu.

Z posadzki podnosiła się para wodna niosąca zapach mydła jaśminowego (kilka tygodni później poprosiliśmy ekspedientkę w dziale kosmetyków w sklepie Jacobsena o mydło jaśminowe, abyśmy sami mogli je powąchać). Ojciec Moody stał przed drzwiami łazienki, zbyt onieśmielony, aby wejść do tej wilgotnej groty, będącej łącznikiem między dwoma zajmowanymi przez dziewczęta pokojami. Gdyby nie był księdzem i zajrzał do środka, zobaczyłby ustęp, wyglądający jak tron, na którym córki Lisbonów wypróżniały się publicznie, oraz wannę, która po wypełnieniu poduszkami służyła za kanapę, dzięki czemu dwie siostry mogły się wygodnie wyciągnąć, podczas gdy trzecia kręciła sobie włosy. Ujrzałby kaloryfer

zastawiony szklankami i puszkami Coca-Coli, mydelniczkę w kształcie muszli małża, służącą, w razie potrzeby, za popielniczkę. Już jako dwunastolatka Lux potrafiła całe godziny spędzać na paleniu papierosów w kiblu, wydmuchując dym albo za okno, albo w mokry ręcznik, który później wywieszała na zewnątrz. Ale ojciec Moody nie zobaczył nic z tych rzeczy. On tylko przeszedł przez tropikalny prąd powietrza i to wszystko. Czuł za sobą chłodniejsze przeciągi w domu, wirujące drobinki kurzu oraz ten szczególny zapach, charakterystyczny dla każdego domu, rozpoznawało się go od razu po wejściu – dom Chase’a Buella pachniał skórą, Joe Garsona majonezem, a dom Lisbonów, jak sądziliśmy, jak czerstwa prażona kukurydza, chociaż ojciec Moody, odwiedzając dom po pierwszym samobójstwie, powiedział:

– To było coś na kształt zakładu pogrzebowego i schowka na szczotki na raz. Te wszystkie kwiaty. Ten cały kurz.

Chciał się cofnąć w jaśminowy prąd, ale gdy tak stał, słuchając deszczu uderzającego w kafelki łazienkowe i zmywającego ślady stóp dziewcząt, usłyszał głosy. Szybko obszedł przedpokój, głośno wzywając panią Lisbon, ale ona się nie odezwała. Wrócił do schodów i już zaczął po nich schodzić, gdy przez częściowo otwarte drzwi zobaczył córki Lisbonów.

– W tamtym momencie te dziewczęta nie miały zamiaru powtarzać błędu, jaki popełniła Cecilia. Wiem, że teraz wszyscy myślą, że one to zaplanowały, albo że my nie zajęliśmy się tym w odpowiedni sposób, ale wtedy były nie mniej wstrząśnięte niż ja.

Ojciec Moody delikatnie zastukał w drzwi i zapytał, czy może wejść.

– Siedziały razem na podłodze i widziałem, że płakały. Sądzę, że zorganizowały sobie coś w rodzaju piżamowego przyjęcia. Wszędzie były rozłożone poduszki. Wstyd mi o tym mówić, a pamiętam nawet, że sam siebie zrugalem za taką myśl, ale nie miałem żadnych wątpliwości: nie wykapały się.

Zapytaliśmy ojca Moody’ego, czy rozmawiał z dziewczętami o śmierci Cecylii albo o ich żalu po jej stracie, ale powiedział, że do tego nie doszło.

– Próbowałem kilka razy, ale nie podjęły tematu. Nauczyłem się, że tego nie można narzucić. Musi być na to odpowiedni czas i chęć.

Kiedy poprosiliśmy go o podsumowanie w dwóch słowach wrażenia, jaki zrobił na nim w tym momencie stan emocjonalny dziewcząt, odpowiedział:

– Przybite, ale nie załamane.

* * *

Przez kilka pierwszych dni po pogrzebie nasze zainteresowanie siostrami Lisbon ciągle wzrastało. Ich piękno, już i tak intrygujące, wzbogaciło się o jakieś nowe, tajemnicze cierpienie, doskonale nieme, widoczne w siności podpuchniętych oczu czy też w sposobie, w jaki czasami zatrzymywały się w pół kroku, spoglądały w dół i potrzasały głowami, jakby nie zgadzając się z życiem. Z żalu zaczęły włączyć się bez celu. Słyszeliśmy opowieści o tym, że dziewczęta wałęsały się przez Eastland, wzdłuż oświetlonego centrum handlowego z cichutko szemrzącymi fontannami i hot dogami nadzianymi na pręty pod soluksem. Od czasu do czasu brały w rękę bluzkę czy sukienkę, ale niczego nie kupowały. Woody Clabault widział Lux Lisbon rozmawiającą z członkami gangu motocyklowego przed sklepem Hudsona. Jeden z motocyklistów zaprosił ją na przejażdżkę, a ona tylko spojrzała w kierunku oddalonego o ponad dziesięć mil domu i zgodziła się. Objęła go w pasie. Motocyklista kopniakiem zapalił swoją maszynę. Później widziano Lux idącą samotnie do domu i niosącą buty w rękę.

Wylegiwaliśmy się na ścinkach wykładziny w piwnicy Kriegersów i wymyślaliśmy różne sposoby pocieszania sióstr Lisbon. Niektórzy z nas chcieli położyć się obok nich na trawie albo grać na gitarze i śpiewać im piosenki. Paul Baldino chciał zabrać je na Metro Beach, aby wszystkie mogły się opalić. Chase Buell, coraz bardziej ulegający wpływom swojego ojca, członka ruchu Christian Science, powiedział tylko, że dziewczyny potrzebowały „pomocy nie z tego świata”. Ale gdy spytaliśmy go, co konkretnie ma na myśli, tylko wzruszył ramionami i odrzekł:

– Nic takiego.

Tak mówił, ale nieraz widzieliśmy go, jak kuca pod drzewem i z zamkniętymi oczami porusza wargami, gdy dziewczyny przechodziły obok.

Jednak nie wszyscy myśleli o tych dziewczętach. Jeszcze przed pogrzebem Cecylii niektórzy ludzie ciągle mówili o jednym: o niebezpieczeństwie, jakie stwarzał płot, na który spadła.

– Taki wypadek musiał się wydarzyć – powiedział pan Frank, pracujący w ubezpieczeniach.
– Żadna polisa tego nie obejmuje.

– Nasze dzieci także mogą na to spaść – powtarzała pani Zaretti przy kawie po niedzielnej mszy. Wkrótce grupa ojców z własnej inicjatywy zabrała się do wykopywania tego ogrodzenia. Okazało się, że płot stał na terenie posiadłości Batesów. Pan Buck, adwokat, uzgodnił z panem

Batesem kwestię usunięcia płotu i w ogóle nie rozmawiał o tym z panem Lisbonem. Wszyscy przyjęli, oczywiście, że Lisbonowie będą za to wdzięczni.

Dotychczas nieczęsto mogliśmy widywać naszych ojców ubranych w buty robocze i w pocie czoła ryjących w ziemi, wymachujących nowiutkimi nożycami do korzeni. Walczyli z ogrodzeniem pochyleni, jak żołnierze piechoty morskiej podnoszący zwycięską flagę na Iwo Jima. To był najwspanialszy pokaz kolektywnej pracy, jaki kiedykolwiek mogliśmy zobaczyć w naszej dzielnicy – ci wszyscy adwokaci, lekarze i wyżsi urzędnicy bankowi pracujący wspólnie w rowie, i do tego nasze matki przynoszące im oranżadę – przez chwilę można było odnieść wrażenie, że w naszym stuleciu znowu ważne jest szlachetne postępowanie. Nawet siedzące na drutach telefonicznych wróble wyglądały na pochłonięte tym widokiem. Nie przejechał ani jeden samochód. W przemysłowej mgle naszego miasta mężczyźni przypominali postaci wykute z cyny, ale chociaż zbliżało się już późne popołudnie, nadal nie potrafili wyrwać płotu z ziemi. Pan Hutch wpadł na pomysł, aby odciąć pręty piłą do metalu, tak jak zrobili to sanitariusze, więc przez chwilę mężczyźni zmieniali się przy piłowaniu, ale ich zaprawione w przekładaniu papierków ręce szybko się zmęczyły. W końcu przywiązali ogrodzenie do wyposażonego w napęd na cztery koła forda bronco, należącego do wuja Tuckera. Bez znaczenia było, że wuj Tucker nie miał prawa jazdy (podczas egzaminu na prawo jazdy zawsze wyczuwano od niego alkohol, nawet gdy przestawał pić trzy dni przed egzaminem alkohol wciąż parował przez jego skórę). Nasi ojcowie krzyczeli:

– Dawaj! – wuj Tucker wciskał do dechy pedał gazu, ale ogrodzenie ani drgnęło.

Pod wieczór dali sobie spokój i zrobili składkę na wynajęcie profesjonalnej firmy holowniczej. Godzinę później pojawił się mężczyzna w samochodzie pomocy drogowej, zaczepił hak o ogrodzenie, nacisnął guzik, uruchamiając gigantyczną wciągarkę, i mordercze ogrodzenie najpierw drgnęło, a potem z głębokim stęknieniem wyskoczyło z ziemi.

– Widać krew – odezwał się Anthony Turkis, a my zaglądaliśmy, aby zobaczyć, czy faktycznie teraz pojawiła się krew, której nie było w chwili samobójstwa.

Niektórzy twierdzili, że była na trzecim pręcie, inni, że na czwartym, ale znalezienie śladów krwi było równie niemożliwe, co znalezienie cholernej łopaty z tyłu okładki albumu *Abbey Road*, na której prawie wszystko miało świadczyć o tym, że Paul nie żyje.

W pracach nad usuwaniem ogrodzenia nie pomagał nikt z Lisbonów jednak od czasu do czasu wdzieliśmy ich twarze migające w oknach. Zaraz po wyrwaniu płotu pan Lisbon wyszedł

bocznymi drzwiami i zabrał się za zwijanie węża ogrodowego. Nie zrobił ani kroku w kierunku rowu. Podniósł rękę w sąsiedzkim pozdrowieniu i zaraz wrócił do domu. Mężczyzna przytwierdził kolejne fragmenty ogrodzenia do swojej ciężarówki i – skoro mu za to zapłacili – bezceremonialnie przejechał przez trawnik pana Batesa, niszcząc wszystko po drodze. Zdumiało nas, że nasi rodzice zupełnie nie zareagowali, przecież uprzednio sam fakt przejechania przez trawniki wystarczył, aby wezwać policję. Ale tym razem pan Bates nie krzyczał i nie zapisywał numeru rejestracyjnego ciężarówki, nie odezwała się również pani Bates, która kiedyś rozpląkała się, gdy puszczaaliśmy petardy pośród jej prezentowanych na stanowych wystawach tulipanów – oboje nic nie powiedzieli, podobnie jak nasi rodzice, i mogliśmy wyczuć, jacy oni wszyscy są starzy, jak przyzwyczajeni do urazów psychicznych, do depresji i wojen. Zdaliśmy sobie sprawę z tego, że świat, jaki starali się nam przedstawić, nie był tym światem, w jaki sami wierzyli; i że przy całym ich pielęgnowaniu trawy i dbałości o jej samopoczucie, tak naprawdę trawniki wcale ich nie obchodziły.

Po odjeździe ciężarówki nasi ojcowie jeszcze raz zebrali się przy dziurze w ziemi i spoglądali w dół na wijące się dżdżownice, na leżące tam łyżki i na kamień, o którym Paul Little mówił z całą pewnością, że był grotem indiańskiej strzały. Oparli się na łopatach i wycierali pot z czoła, chociaż niczego nie zrobili. Wszyscy odczuwali dużą ulgę, jakby posprzątano jezioro albo powietrze, lub też zniszczono zapasy bomb wroga. Niewiele można było zrobić, żeby nas uratować przed nieszczęściem, ale przynajmniej zniknęło ogrodzenie. Pomimo zniszczeń na swoim trawniku pan Bates zajął się przycinaniem klombów, a w położonej na sąsiedniej działce altance z winorośli pojawiła się para starych Niemców, aby napić się wina deserowego. Jak zawsze na głowach mieli swoje tyrolskie kapelusze (pana Hessena ozdobiony był małym, zielonym piórkem), a ich sznaucer węszył, ciągnąc za smycz. Nad ich głowami eksplodowały winogrona. Zgarbione plecy pani Hessen, która zajmowała się spryskiwaniem róż, zanurzały się między rozrośnięte krzaki i pojawiały się znowu.

W pewnym momencie spojrzeliśmy w niebo i zobaczyliśmy, że wszystkie jętki poumieraly. Powietrze nie było już brunatne, lecz błękitne. Za pomocą kuchennych mioteł pozmiataliśmy robactwo ze słupów, okien i linii elektrycznych. Powpychaliśmy je do worków, całe tysiące ciał owadów ze skrzydłami z surowego jedwabiu, a Tim Winer, nasz mądrała, zwrócił uwagę, jak bardzo ogony jętek przypominają ogony homarów.

– Są mniejsze – powiedział – ale w zasadzie mają ten sam kształt. Homary są klasyfikowane

w typie stawonogów, podobnie jak owady. Są owadami. A owady to po prostu homary, które nauczyły się latać.

Nikt nie był w stanie powiedzieć, co w nas wstąpiło tego lata, czy też dlaczego tak bardzo zniechęciliśmy tę skorupę martwych robaków, jaka okryła nasze życie. Jednak nagle nie mogliśmy znieść tych martwych muszek pokrywających dywanem nasze baseny, wypełniających nasze skrzynki na listy, przesłaniających gwiazdy na naszych flagach. Zespołowe kopanie rowu doprowadziło do wspólnego zamiatania, wywożenia worków i splukiwania tarasów. Dwadzieścia mioteł w równym tempie poruszało się we wszystkich kierunkach, a blade upiory jętek spadały ze ścian niczym popiół. Badaliśmy ich drobne twarzyczki czarodziejów, trąc je między palcami, aż zaczynały cuchnąć jak karp. Próbowaliśmy je podpalić, ale nie chciały płonąć (przez co jętki wydawały się bardziej martwe niż cokolwiek innego). Uderzaliśmy w krzaki, trzepaliśmy dywaniki, włączaliśmy wycieraczki w samochodach na maksymalną prędkość. Jętki zatykały kratki ściekowe i musieliśmy przepychać je patykami. Kucając nad kanałami ściekowymi, wsłuchiwalismy się w przepływającą pod miastem rzekę. Rzucaliśmy kamienie i słuchaliśmy plusku.

Nie poprzestaliśmy na własnych domach. Gdy już nasze ściany były czyste, pan Buell powiedział Chase'owi, aby zabrał się za oczyszczenie z robaków domu Lisbonów. Z powodu swoich religijnych przekonań pan Buell często brał na siebie dodatkowe obowiązki i w lecie grabił trzy metry ogródka Hessenów albo w zimie odgarniał śnieg z ich ścieżki, a nawet rozrzucał sól. Nic też dziwnego, że kazał Chase'owi zamiatać dom Lisbonów, chociaż nie byli jego najbliższymi sąsiadami i mieszkali po drugiej stronie ulicy. Pan Lisbon miał tylko córki; w przeszłości chłopcy i dorośli mężczyźni przychodzili pomóc mu odciągać złamane przez burzę gałęzie, więc gdy Chase podchodził, trzymając miotłę nad głową jak sztandar pułku, nikt słowem się nie odezwał. Jednak zaraz potem pan Krieger powiedział Kyle'owi, aby ten poszedł i trochę pozamiatął, pan Hutch wysłał Ralpa i wkrótce byliśmy pod domem Lisbonów, zamiatając ściany i zdrapując luszczące się robaki. Mieli ich nawet więcej niż my, na ścianach zalegała prawie trzycentymetrowa warstwa, a Paul Baldino zadał nam zagadkę: – Co cuchnie jak ryba, jest smaczne, a nie jest rybą?

Powoli zbliżaliśmy się do okien domu Lisbonów i nie minęła chwila, jak ujawniły się nasze nowe, niewytłumaczalne uczucia do dziewczyn. Stojąc przy oknach i tłukąc robaki, zobaczyliśmy w kuchni Mary Lisbon, trzymającą pudełko makaronu z serem firmy Kraft.

Wyglądało na to, że zastanawia się, czy ma je otworzyć. Przeczytała instrukcję, odwróciła pudełko, aby popatrzeć na apetyczny makaron na obrazku, i odłożyła je na blat. Anthony Turkis przycisnął twarz do okna i powiedział:

– Powinna coś zjeść.

Ponownie wzięła pudełko do rąk. Patrzyliśmy z nadzieją. Ale po chwili odwróciła się i zniknęła.

Na dworze zaczęło się ściemniać. W domach na ulicy błyskały pierwsze światła, ale dom Lisbonów był pogrążony w mroku. Coraz mniej widać było w środku, tylko w szybach odbijały się nasze własne zapatrzona twarze. Była dopiero dziewiąta, ale już teraz wszystko zdawało się potwierdzać to, co mówili ludzie: że od samobójstwa Cecilii Lisbonowie ledwo mogli doczekać nocy, kiedy to szukali zapomnienia we śnie. Jedynie na górze, w oknie sypialni, trzy świece wotywnie Bonnie migotały w czerwonej mgle, ale poza tym cały dom okrywał się cieniem nocy. Wszędzie wokoło owady rozpoczęły koncert w swoich kryjówkach, jakby nam na przekór zawsze zaczynając cykać dokładnie wtedy, gdy tylko odwracaliśmy się plecami. Wszyscy mówili, że to świerszcze, ale nigdy nie udało nam się znaleźć ani jednego w spryskiwanych krzakach czy w trawnikach porastających spulchnioną glebę i nie mieliśmy pojęcia, jak wyglądają. Dla nas były jedynie dźwiękiem. Nasi rodzice byli w lepszej komitywie ze świerszczami. Dla nich ten dźwięk nie miał jedynie mechanicznego charakteru. Dochodził ze wszystkich stron, zawsze mniej więcej na poziomie naszych głów, i zawsze sprawiając wrażenie, że świat owadów odczuwał więcej niż my sami. Gdy tak staliśmy znieruchomiali w zachwycie, słuchając świerszczy, przez boczne drzwi wyszedł pan Lisbon i podziękował nam za pomoc. Wyglądało, że włosy jeszcze bardziej mu posiwiały, ale żałoba nie zmieniła wysokości jego głosu. Miał na sobie ogrodniczki, na jednym kolanie przylepiona była warstwa trocin. – Możecie skorzystać z węża ogrodowego – powiedział, a potem spojrzał w stronę przejeżdżającej ciężarówki sprzedającej lody *Good Humor*, której dzwonek przywołał chyba jakieś wspomnienie, pan Lisbon uśmiechnął się lub skrzywił – trudno nam było powiedzieć, jak było naprawdę – i wrócił do domu.

Dopiero później udało się nam wkroczyć z nim do domu, niewidzialnie podążając tropem naszych pytań. Zaraz po wejściu zobaczył Therese wychodzącą z jadalni. Wpychała sobie do ust cukierki – sądząc po kolorze, były to kuleczki M&M – ale gdy go zobaczyła, natychmiast przestała. Przełknęła nieprzeżutą porcję. Jej wysokie czoło jarzyło się w dochodzącym z ulicy

światle, a jej usta Kupidyna były czerwieńsze, mniejsze i bardziej kształtne niż to pamiętał, zwłaszcza w zestawieniu z jej policzkami i podbródkiem, które zrobiły się masywniejsze. Rzęsy miała zaskorupiałe, jakby ktoś je ostatnio posklejał. W tym momencie pan Lisbon poczuł, że zupełnie nie wie, kim ona jest, jakby dzieci były jedynie obcymi osobami, z którymi człowiek godzi się mieszkać, więc wyciągnął ręce, witając się z nią, jak z nieznajomą. Położył dłonie na jej ramionach, ale zaraz potem je opuścił. Therese odgarnęła włosy z twarzy, uśmiechnęła się i powoli zaczęła wchodzić po schodach.

Pan Lisbon zaczął swój rutynowy nocny obchód, sprawdzając, czy frontowe drzwi są zamknięte (nie były), czy światło w garażu było wyłączone (było) i czy żaden z palników w kuchence nie był odkręcony (nie był). Poszedł wyłączyć światła w łazience na parterze, a tam, w umywalce, znalazł aparat na zęby Kyle'a Kriegera, leżący tu od czasu, gdy podczas przyjęcia chłopak wyjął go, aby zjeść ciastko. Pan Lisbon opłukał aparat pod wodą, przyglądając się różowej muszli o kształcie dopasowanym do podniebienia Kyle'a, z plastikowymi blankami otaczającymi wieżyczkę jego zębów, z pętlą z drutu pozaginanego z przodu w najważniejszych miejscach (widać było ślady po kleszczach), aby zapewnić równomierny nacisk. Pan Lisbon wiedział, że jego ojcowskim i sąsiedzkim obowiązkiem jest włożyć aparat do plastikowej torebki, zadzwonić do Kriegerów i powiedzieć im, że ich kosztowne urządzenie ortodontyczne jest bezpieczne. Takie właśnie czynności – proste, ludzkie, moralne, wielkoduszne – powodowały, że życie toczyło się normalnie. Jeszcze kilka dni temu byłby w stanie je wykonywać. Ale teraz wziął aparat i wrzucił go do muszli. Nacisnął rączkę. Aparat, porwany strumieniem wody, zniknął w głębi porcelanowej gardzieli, ale gdy wody opadły, wypłynął triumfująco i szyderczo na wierzch. Pan Lisbon poczekał, aż zbiornik napełni się ponownie i jeszcze raz spuścił wodę, ale sytuacja powtórzyła się. Kopia ust chłopca trzymała się kurczowo białej stromizny. W tym momencie kątem oka zobaczył jakiś błysk.

– Wydawało mi się, że kogoś zobaczyłem, ale gdy spojrzałem, nikogo tam nie było.

Niczego też nie zauważył, gdy szedł dookoła przez tylny korytarz do holu i w górę po głównych schodach. Na piętrze nasłuchiwał pod drzwiami pokojów dziewcząt, ale usłyszał tylko kaszlącą przez sen Mary i Lux, śpiewającą do wtóru cichej muzyki z radia. Wszedł do łazienki dziewcząt. Przez okno wpadał promień światła ze wschodzącego księżycy, oświetlając fragment lustra. Między brudnymi odciskami palców widniało małe wytarte do czysta kółko, w którym jego córki przyglądały się swoim odbiciom, a ponad samym lustrem Bonnie przykleiła białego

gołąbka z kartonu. Pan Lisbon rozchylił wargi w grymasie i w czystym kółeczku lustra zobaczył swój martwy cień, zieloniejący po lewej stronie ust. Drzwi do wspólnych pokoi dziewcząt nie były całkowicie zamknięte. Dochodziły zza nich odgłosy oddychania i mrużenia. Słuchał tych dźwięków, jakby mogły mu powiedzieć, co dziewczyny czuły i jak je pocieszyć. Lux wyłączyła radio i zapanowała cisza.

– Nie mogłem wejść do środka – wyznał nam po latach. – Nie wiedziałbym, co powiedzieć.

Dopiero kiedy opuścił łazienkę i skierował kroki w stronę zapomnienia, jakie daje sen, pan Lisbon zobaczył ducha Cecilii. Stała w swoim dawnym pokoju, znowu ubrana w suknię ślubną, pozbywszy się w jakiś sposób beżowej sukienki z koronkowym kołnierzykiem, którą miała na sobie w trumnie.

– Okno nadal było otwarte – mówił pan Lisbon. – Nie sądzę, żebyśmy w ogóle pamiętali, aby je zamknąć. Dopiero teraz zrozumiałem, że muszę zamknąć to okno, bo w przeciwnym razie zawsze już będzie z niego wyskakiwać.

Zgodnie z tym, co nam powiedział, nawet nie krzyknął. Nie pragnął kontaktu z cieniem swojej córki, nie próbował dowiedzieć się, dlaczego się zabiła, nie chciał także prosić o wybaczenie czy czynić jej wyrzuty. Ruszył tylko przed siebie, muskając ją w przelocie, aby zamknąć okno. Jednak gdy to robił, duch odwrócił się i pan Lisbon zobaczył, że to była tylko Bonnie, zawinięta w prześcieradło. – Nie martw się – powiedziała cicho. – Zlikwidowali ten płot.

* * *

W odręcznie napisanej notatce, stanowiącej dowód pięknego charakteru pisma, jaki doskonalił w czasach studiów na uniwersytecie w Zurychu, doktor Hornicker wezwał państwa Lisbonów na drugą wizytę, na którą oni jednak nie poszli. Zauważyliśmy natomiast, że przez pozostałą część lata pani Lisbon ponownie zajęła się domem, a pan Lisbon zaczął zniknąć we mgle. Gdy go zobaczyliśmy później, wyglądał jak jakiś zażenowany ubogi krewny. Pod koniec sierpnia, w tygodniach, w których rozpoczęły się przygotowania do szkoły, zaczął wychodzić tylnymi drzwiami, jakby wymykał się z domu. Najpierw słyszeliśmy wycie jego samochodu w garażu, później otwierały się automatyczne drzwi i pojazd wysuwał się ostrożnie, przechylony na bok, jak zwierzę bez jednej nogi. Przez przednią szybę widać było pana Lisbona siedzącego za kierownicą, z włosami mokrymi po porannej toalecie i często ze śladami kremu do golenia na

twarzy, która jednak pozostawała obojętna, gdy rura wydechowa uderzała w koniec podjazdu, sypiąc iskrami, co zdarzało się za każdym razem. Do domu wracał o szóstej. Gdy wjeżdżał na podjazd, drzwi garażu trzęsły się, aby go pochłonąć, i znowu nie widzieliśmy go aż do następnego ranka, gdy brzęk rury wydechowej oznajmiał jego odjazd.

Jedyny poważniejszy kontakt z dziewczętami miał miejsce w sierpniu, kiedy to Mary zjawiała się z niezapowiedzianą wizytą w gabinecie ortodontycznym doktora Beckera. Rozmawialiśmy z nim po latach, w otoczeniu dziesiątków gipsowych odlewów dentystycznych, stojących w szklanych szafkach i szczerzących do nas zęby w krzywym uśmiechu. Na każdym zestawie zębów widniało nazwisko nieszczęśliwego dzieciaka, któremu kazano połykać gips, a ten widok cofnął nas w czasie do średniowiecznych tortur, jakie cierpieliśmy podczas naszych własnych ortodontycznych historii. Doktor Becker mówił przez jakiś czas, ale dopiero po chwili mogliśmy skupić uwagę, ponieważ raz jeszcze poczuliśmy, jak wbija metalowe klamry w nasze zęby trzonowe, albo wiąże nasze górne i dolne zęby razem za pomocą gumowych pasków. Nasze języki przeszukiwały stare blizny, pozostawione w dziąsłach przez sterczące do tyłu uchwyty, i pomimo upływu piętnastu lat znowu zdawało się nam, że zagłębienia są słodkie od krwi. Ale doktor Becker opowiadał:

– Pamiętam Mary, bo przyszła bez rodziców. Żadne dziecko wcześniej tego nie zrobiło. Gdy zapytałem, po co przyszła, włożyła dwa palce do ust i podciągnęła górną wargę. Potem zapytała „Ile to będzie kosztować?” Martwiła się, że rodziców nie będzie na to stać.

Doktor Becker odmówił Mary podania kwoty.

– Przyrowadź mamę i wtedy o tym porozmawiamy – powiedział. Faktem było, że cały proces leczenia mógł być długotrwały, ponieważ wyglądało na to, że Mary, podobnie jak jej siostry, miała dwa dodatkowe kły. Rozczarowana, leżała na fotelu dentystycznym, z podniesionymi stopami, przy radosnym bulgotaniu wody sączącej się srebrną rurką do kubeczka.

– Musiałem zostawić ją tam w fotelu – powiedział doktor Becker. – Czekają na mnie jeszcze pięćdziesiąt dzieciaków. Później pielęgniarka powiedziała mi, że słyszała, jak ta dziewczynka płakała.

Dziewczyny pojawiły się razem dopiero na rozpoczęciu szkoły. Siódmego września, w dniu tak zimnym, że nawet najwięksi optymiści przestali marzyć o babim lecie, Mary, Bonnie, Lux i Therese przyszły do szkoły, jakby nic się nie wydarzyło. Raz jeszcze, pomimo tworzonej przez

nie zwartej grupy, mogliśmy zauważyć pojawiające się między nimi różnice i poczuliśmy, że jeśli będziemy wystarczająco uważnie się przyglądać, możemy zacząć rozumieć uczucia dziewcząt oraz kim naprawdę były. Pani Lisbon nie kupiła córkom nowych ubrań przed rozpoczęciem roku szkolnego, więc były w tych samych rzeczach, co w zeszłym roku. Ich skromne sukienki były za ciasne (pomimo wszystko, dziewczyny wciąż się rozwijały) i chyba było im w nich niewygodnie. Mary przystroiła swoją sukienkę dodatkami – bransoletką z kiści drewnianych wisienek w kolorze tak jaskrawoczerwonym jak jej chustka. Noszona przez Lux szkolna spódniczka w kratę, również już za krótka, ukazywała kolana i kawałek uda. Bonnie miała na sobie coś na kształt namiotu, z nierównym wykończeniem u dołu. Therese była ubrana w białą sukienkę, przypominającą laboratoryjny fartuch. Jednak gdy dziewczęta z nieoczekiwaną godnością weszły jedna za drugą do auli, wszyscy ucichli. Bonnie zebrała prosty bukietik późnych mleczy ze szkolnego skweru. Dla żartu podsunęła je pod twarz Lux, aby sprawdzić, czy ta się uśmiechnie, co miało oznaczać, że Lux lubiła masło. Wcale nie było widać po nich, że niedawno przeżyły wstrząs, jednak gdy siadały, zostawiły jedno wolne miejsce, jakby dla Cecylii.

Dziewczęta nie opuściły ani jednego dnia w szkole, podobnie jak pan Lisbon, który uczył ze swoim zwykłym zapałem. Nadal wyciągał od uczniów odpowiedzi, udając że ich dusi, i pisał równania w chmurze pyłu kredowego. Jednak w porze lunchu, zamiast iść do pokoju nauczycielskiego, zaczął spożywać posiłek w klasie, przynosząc sobie ze stołówki jabłko i talerz twarożku. Również pod innymi względami zaczynał się dziwnie zachowywać. Widzieliśmy, jak spaceruje po skrzydle naukowym, zatopiony w rozmowach z zielistkami zwisającymi z tablic geodezyjnych. Już w drugim tygodniu szkoły zaczął uczyć na siedząco, ze swojego obrotowego krzesła, kręcąc się do tablicy i z powrotem i nigdy nie wstając, a tłumaczył się poziomem cukru w krwi. Po lekcjach, gdy pełnił funkcję asystenta trenera piłki nożnej, stał za bramką i beznamiętnie podawał wynik, a po skończonym treningu wałęsał się po przyprószonym kredą boisku i zbierał futbolówki do brudnego, płóciennego worka.

Jeździł do szkoły sam, godzinę wcześniej niż jego córki, które wstawały jak najpóźniej i dojeżdżały szkolnym autobusem. Po wejściu przez główne drzwi i minięciu zbroi (nasze drużyny sportowe nosiły nazwę „Rycerze”), wchodził prosto do swojej klasy, w której pod sufitem z perforowanych płyt (sześćdziesiąt sześć dziur w każdym kwadracie, według Joe Willa Conleya, który je policzył podczas lekcji) wisiało dziewięć planet naszego układu słonecznego. Prawie niewidoczne białe nitki łączyły planety z szynami. Planety codziennie wirowały i obracały się,

cały kosmos sterowany przez pana Lisbona, który sprawdzał dane w tablicach astronomicznych i kręcił korbą umieszczoną obok temperówki. Pod planetami zwisały czarno-białe trójkąty, pomarańczowe spirale, błękitne stożki z odpinanymi szpicami. Na biurku pana Lisbona stała kostka trójwymiarowego tangramu, rozwiązana i na stałe owinięta taśmą klejącą. Obok tablicy leżało pięć kawałków kredy w drucianym uchwycie, aby pan Lisbon mógł pisać nuty dla swojej męskiej grupy śpiewaczej. Tak długo był nauczycielem, że w swojej sali miał nawet umywalkę.

Z kolei jego córki wchodziły przez boczne drzwi, obok klombu z uśpionymi o tej porze roku żonkilami, którymi każdej wiosny zajmowała się szczupła, pracowita żona dyrektora. Dziewczęta rozchodziły się do swoich szafek i ponownie zbierały się w stołówce podczas przerwy na sok. Julie Freeman była najlepszą koleżanką Mary Lisbon, ale po samobójstwie przestały ze sobą rozmawiać.

– Była porządną dziewczyną, ale ja po prostu nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Ona mnie trochę wkurzała. A poza tym w tym czasie zaczęłam chodzić z Toddem.

Dziewczyny kroczyły spokojnie po korytarzach, trzymając książki przy piersiach, zapatrzone w jakiś niewidoczny dla naszych oczu punkt w przestrzeni. Były jak Eneasz, który (powoływany przez nas do życia w obłoku cuchnącego potu doktora Timmermana) zszedł do świata podziemnego, spotkał zmarłych i powrócił, szlochając skrycie.

Kto mógł wiedzieć, co myślały albo co czuły? Lux nadal głupkowato chichotała, Bonnie wkładała dłonie głęboko do kieszeni swojej sztruksowej spódniczki i przekładała w palcach znajdujący się tam różaniec, Mary nosiła kostiumy, w których wyglądała jak Pierwsza Dama, Therese nie zdejmowała w korytarzu swoich okularów ochronnych – ale równocześnie oddalały się od nas, od innych dziewcząt, od swojego ojca, a raz zauważyliśmy je stojące na dziedzińcu, w padającym deszczu, jak pogryzają tego samego pączka i spoglądają w niebo, powoli przemakając do suchej nitki.

* * *

Rozmawialiśmy z nimi w przelocie, każdy z nas dodawał zdanie do wspólnej rozmowy. Zaczął Mike Orriyo. Jego szafka znajdowała się obok szafki Mary i pewnego dnia wyjrzał zza krawędzi i zapytał:

– Jak leci?

Miała opuszczoną głowę, a włosy zakrywały jej twarz, i nie był pewien, czy go usłyszała, aż wymamrotała:

– Nieźle.

Nie patrząc w jego stronę, zatrzasnęła metalowe drzwiczki i odeszła, przyciskając książki do piersi. Po kilku krokach obciągnęła spódniczkę z tyłu.

Następnego dnia czekał już na nią i gdy otworzyła szafkę, dodał nowe zdanie:

– Mam na imię Mike.

Tym razem zza włosów doszło go coś innego:

– Wiem, kim jesteś. Prawie całe życie spędziłam w tej szkole. Mike Orriyo chciał coś jeszcze powiedzieć, ale gdy w końcu odwróciła się w jego stronę, zaniemówił. Stał, gapiąc się na nią i bezużytecznie otwierając usta, aż ona powiedziała:

– Nie musisz ze mną rozmawiać.

Innym chłopakom bardziej się poszczęściło. Pewnego dnia, gdy patrzyliśmy z okna mansardowego na piętrze, zobaczyliśmy Chipa Willarda, rekordzistę w siedzeniu w kozie, który podszedł do Lux, zażywającej kąpieli słonecznej – był to jeden z ostatnich ciepłych dni lata – i usiadł obok niej. Lux miała na sobie szkolną spódniczkę w kratę i białe podkolanówki. Jej adidasy wyglądały na nowe. Przed przyjściem Willarda bezmyślnie grzebała nimi w kurzu. Po chwili rozłożyła szeroko nogi, założyła ręce za plecy i zwróciła twarz w stronę ostatnich promieni tego lata. Willard zasłonił jej słońce i coś do niej powiedział. Zsunęła nogi, podrapała się w kolano i ponownie rozsunęła nogi. Willard złożył swoje cielsko na miękkiej ziemi. Pochylił się w jej kierunku, szczerząc zęby w uśmiechu, i chociaż nigdy nie słyszeliśmy, żeby powiedział coś inteligentnego, doprowadził Lux do śmiechu. Wyglądało na to, że wie, co ma robić, a nas zdumiało, jak wielką wiedzę posiadał, prowadząc swoją niecną działalność w różnych zakamarkach szkoły. Zgniółł suchy liść nad głową Lux. Kilka kawałków wpadło jej za kołnierz bluzki, więc go uderzyła. Potem już tylko pamiętaliśmy, że szli razem na tyłach szkoły, obok kortów tenisowych, przez szpaler pamiątkowych wiązków, w kierunku wysokiego ogrodzenia, oznaczającego teren rezydencji stojących przy prywatnym podjeździe po drugiej stronie.

Tak było nie tylko z Willardem. Paul Wanamaker, Kurt Siles, Peter McGuire, Tom Sellers i Jim Czeslawski, wszyscy przez kilka dni chodzili z Lux. Powszechnie wiadomo było, że państwo Lisbon nie zezwalają swoim córkom na randki, i że zwłaszcza pani Lisbon nie pochwałała potańcówek, szkolnych balów i ogólnego przyzwolenia na obmacywanie się nastolatków w

samochodach. Krótkie związki Lux musiały być potajemne. Kielkowały w martwych godzinach nauki własnej, rozkwitały po drodze do wodotrysku z wodą do picia i były konsumowane w kabinie nad aulą, wśród niewygodnych lamp scenicznych i kabli. Spotkania chłopców z Lux miały charakter przelotny, widywali się podczas załatwiania ważnych spraw, w korytarzu apteki, gdy pani Lisbon czekała na zewnątrz w samochodzie, a nawet raz, podczas najśmielszej randki, w samym kombi Lisbonów, przez piętnaście minut kiedy pani Lisbon stała w kolejce w banku. Ale wszyscy chłopcy, z którymi wymykała się Lux, należeli do najgłupszych, najbardziej samolubnych i najgorzej traktowanych w domu i stanowili beznadziejne źródło informacji. O co byśmy nie pytali, zawsze odpowiadali wulgarnymi stwierdzeniami, typu:

– Cipka jest w porządku. Zaraz ci opowiem – albo; – Chcesz wiedzieć co było? Stary, powąchaj moje palce.

To, że Lux chciała spotykać się z nimi w zagajnikach i gęstwinach na terenie naszej szkoły, wyraźnie świadczyło o jej niezrównoważeniu. Pytaliśmy, czy mówiła coś o Cecylii, ale chłopcy zawsze odpowiadali, że tak w zasadzie to z nią nie rozmawiali, jeśli wiecie o co chodzi.

Jedynym godnym zaufania chłopakiem, który w tym czasie bliżej poznał się z Lux, był Trip Fontaine, ale jego poczucie honoru powodowało, że przez całe lata tkwiliśmy w nieświadomości. Zaledwie osiemnaście miesięcy przed samobójstwami Trip Fontaine, ku radości zarówno dziewcząt, jak i kobiet, przeobraził się z pulchnego dzieciaka w atrakcyjnego młodzieńca. Ponieważ znaliśmy go jako niskiego grubasa, obdarzonego zębami jak u ryby głębinowej, ukośnie wystającymi z jego wiecznie otwartych ust, nie od razu zauważyliśmy jego przemianę. Ponadto nasi ojcowie, starsi bracia i zgrzybiali wujowie zapewniali nas, że w przypadku chłopaków wygląd nie ma specjalnego znaczenia. Wydawało nam się, że nie ma sensu wyczekiwać na pojawienie się w nas męskiej urody, i wierzyliśmy, że jest to kwestia marginalna – aż do momentu, gdy znane nam dziewczyny, wraz ze swoimi matkami, zaczęły zakochiwać się w Tripie Fontaine. Ich pożądanie było milczące, a zarazem wspaniałe, podobne ruchowi tysiąca stokrotek zwracających swoje twarzyczki w kierunku wędrującego słońca. Na początku prawie nie zwracaliśmy uwagi na zwinięte karteczki wsuwane przez szpary w drzwiczkach szafki Tripa, czy też na wiatry równikowe, jakie ciągnęły za nim w korytarzu, wywołane tak dużą ilością rozgrzanej krwi; ale w końcu, w obliczu gromady rozsądnych dziewcząt płonących się na widok Tripa czy też szarpiących swoje warkocze, aby się zbyt otwarcie nie uśmiechać, zdaliśmy sobie sprawę, że nasi ojcowie, bracia i wujowie kłamali, i że nikt nas nigdy nie pokocha za nasze dobre

stopnie. Po latach, w ośrodku odwykowym na farmie, dokąd Trip Fontaine pojechał, aby za ostatnie oszczędności swojej byłej żony przejść kurację odwykową, wspominał żarliwe uczucia, jakie wybuchaly w czasie, gdy na piersiach wyrastały mu pierwsze włosy. Wszystko zaczęło się podczas wyjazdu do Acapulco, kiedy to jego ojciec ze swoim chłopakiem poszli na spacer po plaży, zostawiając Tripa, aby ten sam zatroszczył się o siebie w hotelu (dowód rzeczowy nr 7 – zdjęcie zrobione na tym wyjeździe, gdzie widać opalonego na brąz pana Fontaine pozującego z Donaldem, obaj ściśnięci udo przy udzie na palmowym tronie Montezumy, jakim jawiło się krzesło na hotelowym patio). W barze, w którym nie zwracano uwagi na wiek pijących, Trip spotkał Ginę Desander, kobietę niedawno rozwiedzioną, która zamówiła mu jego pierwszą pina coladę. Trip Fontaine, zawsze dżentelmen, po powrocie podzielił się z nami jedynie najbardziej przyzwoitymi szczegółami z życia Giny Desander, tym że rozdawała karty w Las Vegas i nauczyła go wygrywać w blackjacka, że pisała wiersze i jadła surowe kokosy za pomocą szczyryka. Dopiero po latach, spoglądając na pustynię zniszczonymi oczami, gdy jego rycerskość już nie była w stanie chronić tej wtedy już pięćdziesięciokilkuletniej kobiety, Trip wyznał, że Gina Desander to był jego „pierwszy raz”.

To wiele wyjaśniało. Tłumaczyło, dlaczego nigdy nie zdejmował otrzymanego od niej hawajskiego naszyjnika z białych muszelek puka. Tłumaczyło wiszący nad jego łóżkiem plakat biura turystycznego, z wizerunkiem mężczyzny szybującego nad zatoką Acapulco na latawcu ciągniętym przez motorówkę. Tłumaczyło, dlaczego na rok przed samobójstwami zaczął się inaczej ubierać, zastępując szkolne koszule i spodnie strojem z Zachodu, koszulami z perłowymi guzikami, dekoracyjnymi klapkami na kieszeniach i przeszyciem na ramionach, z każdą częścią garderoby tak dobraną, aby przypominać mężczyzn z Las Vegas, jacy stali ramię w ramię z Giną Desander na zdjęciach w jej portfelu, które pokazywała Tripowi podczas ich wspólnej wycieczki, trwającej siedem dni i sześć nocy. Trzydziestosiemioletnia Gina Desander potrafiła wyobrazić sobie surową męskość ukrytą w puciołowatym kształcie ubranego w same kąpielówki Tripa Fontaine’a i podczas tygodnia spędzonego z nim w Meksyku uformowała z niego prawdziwego mężczyznę. Mogliśmy tylko domyślać się, co się działo w jej pokoju hotelowym, wyobrażaliśmy sobie Tripa pijanego po zaprawionym alkoholem soku ananasowym, patrzącego na Ginę Desander rozdającą szybko karty na jej pozbawionym pościeli łóżku. Prowadzące na mały betonowy balkon drzwi przesuwne wyskoczyły z szyn. Trip, jako mężczyzna, starał się je naprawić. Toaletki i stoliki nocne były zaśmiecone resztkami imprezy z poprzedniego wieczoru –

pustymi szklankami, tropikalnymi pałeczkami do mieszania koktajli, wyciśniętymi skórkami z pomarańczy. Ze swoją wakacyjną opalenizną Trip musiał wyglądać bardzo podobnie jak pod koniec lata, gdy kręcił się w swoim basenie, z sutkami jak dwie różowe wisienki osadzone w brązowym cukrze. Czerwonawa, lekko zmięta skóra Giny Desander płonęła jak starzejące się liście. As kier. Dziesiątka pik. Dwadzieścia jeden. Wygrałeś. Potargała jego włosy, ponownie rozdała karty. Nigdy nie opowiadał nam żadnych szczegółów, nawet później, gdy już wszyscy byliśmy na tyle dojrzałi, aby móc zrozumieć. Ale patrzyliśmy na to jak na cudowną inicjację dokonaną przez miłosierną matkę i chociaż pozostawało to tajemnicą, wiedzieliśmy, że ta noc okryła Tripa płaszczem kochanka. Po jego powrocie usłyszeliśmy nowy, głęboki głos dobywający się jakieś trzydzieści centymetrów nad naszymi głowami, podziwialiśmy, choć nie w pełni rozumieliśmy, ciasne siedzenie jego dżinsów, wachaliśmy jego wodę kolońska i porównywaliśmy naszą skórę w kolorze sera do jego opalenizny. Ale ani piżmowy zapach, ani gładkość jego twarzy po olejku kokosowym, czy też złote ziarenka niesfornego piasku błyszczące w jego brwiach nie wpływały na nas tak, jak wpływały na dziewczyny, które, najpierw pojedynczo, a potem całymi grupkami, wprost omdlewały na jego widok.

Otrzymywał listy ozdobione pieczęcią dziesięciu różnych ust (linie odcisniętych fałd różniły się jak odciski palców). Z powodu tych wszystkich dziewczyn, które przychodziły zakuwać z nim w łóżku, przestał uczyć się do klasówek. Spędzał czas na dbaniu o opaleniznę, unosząc się na materacu w swoim basenie wielkości wanny. Dziewczęta słusznie wybierały Tripa na obiekt miłości, ponieważ był jedynym chłopakiem, który potrafił trzymać język za zębami. Trip Fontaine z natury zachowywał dyskrecję największych kochanków świata, uwodzicieli większych niż Casanova, ponieważ nie zostawili po sobie dwunastu tomów wspomnień i nawet nie wiemy, kim byli. Czy to na boisku futbolowym, czy to nagi w szatni, Trip Fontaine nigdy nawet słowem nie skomentował kawałków ciasta, starannie zawiniętych w folię aluminiową, jakie trafiały do jego szafki, ani wstążek z włosów, związanych jak podwiązka na antenie jego samochodu, ani nawet tenisówki zawieszanej na sznurówce pod wstecznym lusterkiem, z przepoconym napisem wciśniętym w nosek: „Stan miłosnej rozgrywki: zero : zero. Trip, twój serw”.

W korytarzach zaczęło rozbrzmiewać, szeptem, jego imię. Chociaż my nazywaliśmy go Trypek albo Fontanna, dziewczęta mówiły tylko Trip, Trip, to był temat całej rozmowy, a gdy został wybrany „Najprzystojniejszym”, „Najelegantszym”, „Największą osobowością” i

„Najlepszym sportowcem” (choć, na przekór, nikt z nas na niego nie głosował, a jego samego nigdy nie cechowała wybitna koordynacja ruchowa), zdaliśmy sobie sprawę z rozmiaru zauroczenia, jakie ogarnęło dziewczyny. Nawet nasze matki mówiły o jego dobrym wyglądzie i zapraszały go na kolację, nie zważając na jego przydługie, tłuste włosy. Wkrótce żył jak pasza, przyjmując hołdy i ofiary na ołtarzu swojej syntetycznej kołderki – drobne banknoty zwędzone z matczyńskich portmonetek, torebki z trawką, pierścionki absolwentkie, batony zawinięte w papier woskowy, fiołki azotynu amylu, butelki Asti Spumante, wybomy ser z Holandii, od czasu do czasu grudkę haszu. Dziewczyny przynosiły prace semestralne przepisane na maszynie i opatrzone przypisami i tak zwane „dziewczęce notatki”, które opracowywały, aby Tripowi wystarczyło przeczytać jedną stronę na temat każdej książki. Z czasem z obfitości ich podarunków stworzył własną muzealną wystawę „Wielkie jointy świata”, gdzie każdy eksponat, umieszczony w pustym słoiczku po przyprawach, stał na jego półce na książki, od „Błękitu Hawajów” po „Czerwień Panamy”, z wieloma znajdujących się pomiędzy nimi bardziej brunatnymi eksponatami, z których jeden wyglądał i śmierdział jak stary dywan. Niewiele mogliśmy powiedzieć o dziewczynach przychodzących do Tripa Fontaine’a, wiedzieliśmy jedynie, że jeździły własnymi samochodami i zawsze coś wyjmowały z bagażnika. Były to dziewczyny z brzęczącymi kolczykami, z zafarbowanymi na jasno grzywkami i wiązаныmi wokół kostek butami na korkowej podeszwie. Niosąc misy z sałatkami przykryte wzorzystymi ścierkami, szły przez trawnik na krzywych nogach, trzaskając gumą balonową i uśmiechając się. W łóżku na górze najpierw karmiły Tripa łyżeczką, wycierając mu usta pościelą, a potem zrzucały miskę na podłogę i omdlewały w jego ramionach. Od czasu do czasu przechodził pan Fontaine, wędrując między pokojem Donalda i swoim, ale wątpliwy charakter jego własnego postępowania uniemożliwiał mu kwestionowanie szmerów dochodzących spod drzwi pokoju syna. Ta dwójka, ojciec i syn, mieszkający jak koledzy z akademika, natykali się przypadkowo na siebie, obaj ubrani w dopasowane pawie szlafroki, psioczyli na to, kto zużył kawę, ale po południu wspólnie unosili się basenie, objijając się o siebie, pobratymcy w swoim poszukiwaniu odrobiny namiętności na ziemi.

Mieli najbardziej lśniąca ojcowsko-synowską opaleniznę w miasteczku. Nawet włoscy robotnicy, codziennie pracujący na słońcu, mogli tylko marzyć o takim mahoniowym odcieniu. O zmierzchu skóra pana Fontaine’a i Tripa nabierała błękitnej barwy i gdy zakładali turbany z ręczników, wyglądali jak bliźniacza para wyznawców Kriszny. Ich mały, okrągły nadmuchiwany

basen przylegał do ogrodzenia ogrodu na tyłach domu, a przelewająca się z niego woda czasami oblewała psa sąsiadów. Zamarynowani dziecięcym olejkiem, pan Fontaine i Trip wchodzili na pokład swoich materaców z zagłówkami i uchwytyami na napoje, aby dryfować pod naszym chłodnym niebem północy, jakby znajdowali się na Costa del Sol. Obserwowaliśmy ich, jak powoli zmieniają zabarwienie na kolor pasty do butów. Podejrzewaliśmy, że pan Fontaine rozjaśnia sobie włosy, a ponadto jaskrawość ich zębów była wprost nie do zniesienia. Dziewczyny z nieprzytomnym wzrokiem nagabywały nas na przyjęciach tylko dlatego, że znaleźliśmy Tripa i już po chwili mogliśmy zauważyć, że były tak opętane w szponach miłości, jak i my sami. Mark Peters, idąc pewnego wieczoru do swojego samochodu, poczuł, że ktoś go chwyta za nogę. Spojrzał w dół i zobaczył Sarah Sheed, która mu wyznała, że jest tak zakochana w Tripie, że po prostu nie może chodzić. Wciąż jeszcze pamięta ogarnięty panicznym strachem wzrok, jakim patrzyła na niego ta duża, zdrowa dziewczyna, znana z rozmiaru swych piersi, leżąca jak kaleka w mokrej od rosy trawie.

Nikt nie wiedział, jak doszło do spotkania Tripa i Lux, nikt nie wiedział też, co powiedzieli do siebie, ani też czy zauroczenie było wzajemne. Nawet po latach Trip niechętnie poruszał ten temat, dochowując ślubu wierności czterystu osiemnastu dziewczynom i kobietom, z jakimi kochał się w czasie swojej długiej kariery. Mówił nam tylko:

– Chłopaki, po rozstaniu z tą dziewczyną nigdy nie doszedłem do siebie. Nigdy.

Na pustyni jego ciałem targały dreszcze i miał niezdrowe wałki żółtej skóry pod oczami – ale wzrok tych oczu wyraźnie kierował się wstecz, w kierunku lat młodości. Stopniowo, dzięki nieustannym namowom i w dużym stopniu z powodu potrzeby ciągłego mówienia, charakterystycznej dla powracającego do zdrowia człowieka, który nadużywał środków odurzających, udało się nam skłecić historię ich miłości.

Zacząło się to w dniu, w którym Trip Fontaine wszedł na lekcję historii do nieodpowiedniej klasy. Podczas godzin nauki własnej na piątej lekcji, Trip Fontaine, jak to miał w zwyczaju, wyszedł do swojego samochodu, aby zapalić marihuanę, którą brał tak regularnie jak Peter Petrovich, diabetyk, brał insulinę. Przy razy dziennie Petrovich pojawiał się w gabinecie pielęgniarki po swoje zastrzyki, zawsze wyekwipowany we własne igły, jak najtchórzliwszy ćpun, ale po zastrzyku grał w auli koncert fortepianowy ze zdumiewającym kunsztem, jakby insulina była eliksirem geniuszu. Podobnie Trip Fontaine trzy razy dziennie chodził do swojego samochodu, o dziesiątej piętnaście, dwunastej piętnaście i trzeciej piętnaście, jakby nosił zegarek

taki jak miał Petrovich, dźwiękiem przypominający o porze brania leku. Zawsze parkował swojego trans ama na samym końcu parkingu, przodem do szkoły, aby widzieć nadchodzących nauczycieli. Nachylona maska, elegancki dach i opadający tył nadawały samochodowi wygląd aerodynamicznego skarabeusza. Choć czas już zaczynał odciskać swoje piętno i niszczyć złoty lakier, Trip na nowo namalował czarne wyścigowe pasy i wypucował felgi, które wyglądały jak ostrze broni. Wewnątrz samochodu, w skórzanych kubelkowych fotelach zachowały się specyficzne ślady potu – widać było, gdzie pan Fontaine opierał głowę, stojąc w korkach, a chemikalia z lakieru do włosów zmieniły brązowy kolor skóry obicia na jasnofioletowy. Delikatny zapach odświeżacza „Boots and Saddle” wciąż wisiał w powietrzu, chociaż obecnie wnętrze było bardziej przesiąknięte zapachem piżma i marihuany Tripa. Drzwi samochodu wyścigowego zamykała hermetyczna uszczelka i Trip opowiadał nam, że w jego aucie można lepiej odlecieć niż w jakimkolwiek innym miejscu, bo oddycha się dymem zamkniętym w niewielkiej przestrzeni. Podczas każdej przerwy na sok, na lunch i podczas godzin nauki własnej Trip Fontaine szedł niespiesznie do swojego samochodu i zanurzał się w kąpieli parowej z dymu. Piętnaście minut później otwierał drzwi, a dym kłębammi wydobywał się na zewnątrz jak z komina, rozpraszając się i wirując w rytm muzyki – zazwyczaj był to Pink Floyd lub Yes – której Trip słuchał w trakcie sprawdzania silnika i polerowania maski samochodu (rzekome powody wychodzenia na parking). Po zamknięciu samochodu Trip spacerował za szkołą, aby przewietrzyć ubranie. W dziurze po sęku w jednym z pamiątkowych drzew (w tym, które zasadzono dla Samuela O. Hastingsa, absolwenta rocznik 1918) trzymał ukryte pudełeczko miętusów. Dziewczęta obserwowały Tripa z okien w klasach, samotnego, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami jak Indianin pod drzewami, i jeszcze zanim wstał, wyobrażały sobie lekkie plamy brudu na jego pośladkach. Zawsze było tak samo – Trip Fontaine podnosił się, poprawiał oprawki swoich szpanerskich okularów słonecznych, odrzucał włosy do tyłu, zapinał na zamek kieszeń na piersi swojej brązowej skórzanej kurtki i ruszał do przodu, miażdżąc po drodze wszystko siłą swych butów. Przechodził szpalerem pamiątkowych drzew, przez skwer za szkołą, obok klombów bluszczu i podchodził do tylnych drzwi szkoły.

Żaden chłopak nigdy nie był tak wyluzowany i tak zdystansowany. Fontaine sprawiał wrażenie, jakby awansował do kolejnego etapu życia, jakby już włożył ręce w samo jądrowe prawdziwego świata, podczas gdy my wszyscy wciąż uczyliśmy się na pamięć cytatów i goniliśmy za stopniami. Choć wyjmował książki ze swojej szafki, wiedzieliśmy, że służyły

jedynie za rekwizyty i że jego przeznaczeniem był kapitalizm, a nie kariera naukowa, co już zwiastowały jego zakupy narkotyków. Jednak tego niezapomnianego dla niego dnia, we wrześniowe popołudnie, gdy liście dopiero co zaczęły zmieniać kolor, Trip Fontaine wszedł do budynku szkoły i zobaczył zbliżającego się korytarzem dyrektora, pana Woodhouse'a. Trip już wcześniej dosyć często spotykał ważne osobistości szkolne, będąc nawalonym, i mówił nam, że nigdy nie wpadał w paranoję. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego widok naszego dyrektora, w przykrótkich spodniach i kanarkowożółtych skarpetkach, nagle wywołał u niego przyspieszony puls i poczuł, jak po karku zaczyna mu spływać pot. Jednym niedbałym ruchem Trip wszedł do najbliższej klasy, aby się tam schronić.

Siadając na miejscu, nie zauważył ani jednej twarzy. Nie widział ani nauczyciela, ani uczniów, docierało do niego tylko niebiańskie światło w klasie, pomarańczowy blask bijący z jesiennego listowia na dworze. Klasa sprawiała wrażenie wypełnionej słodkim, lepkiem płynem, miodem lekkim prawie jak powietrze, który wdychał. Czas zaczął biec wolniej, a w jego lewym uchu pojawiło się dzwonienie kosmicznego Om, wyraźnie jak dźwięk telefonu. Gdy sugerowaliśmy, że podawane przez niego szczegóły były wynikiem odpowiedniego stężenia tetrahydrocannabinolu w krwi, Trip podniósł palec w górę i jedyny raz podczas całej rozmowy jego ręce przestały się trząść.

– Wiem, co to znaczy być nawalonym – powiedział. – To było inaczej.

W pomarańczowym świetle głowy uczniów wyglądały jak cichutko falujące ukwiały, a panujący w klasie spokój odpowiadał ciszy na dnie oceanu.

– Każda sekunda była jak wieczność – powiedział Trip, opisując nam, jak po tym, gdy usiadł w ławce, siedząca przed nim dziewczyna bez żadnego powodu obróciła się i spojrzała na niego.

Nie mógł powiedzieć, czy była piękna, bo widział tylko jej oczy. Pozostała część jej twarzy – mięsiste wargi, meszek blond baczków, nos z różowiutkimi, przezroczystymi nozdrzami – nie zapisała się zbyt wyraźnie w jego pamięci, ale dwoje błękitnych oczu uniosło go na fali i trzymało w zawieszeniu.

– Była nieruchomym punktem w tym wirującym świecie – powiedział nam, cytując Eliota, którego *Poezje zebrane* znalazł na półce w zakładzie odwykowym.

Przez tę trwającą wieczność chwilę, przez którą Lux Lisbon patrzyła na niego, Trip Fontaine odwzajemniał jej spojrzenie, a miłość, jaką poczuł w tym momencie, prawdziwsza niż wszystkie następne, ponieważ nie musiała przechodzić próby rzeczywistego życia, dręczyła go nadal, nawet

teraz na pustyni, po tym, jak zmarnował swój wygląd i zdrowie.

– Nigdy nie wiadomo, co przywoła wspomnienia – powiedział nam. – Twarz dziecka. Dzwoneczek na obroży kota. Cokolwiek.

Nie zamienili ani jednego słowa. Ale w następnych tygodniach Trip spędzał dni na wałęsaniu się po korytarzach, z nadzieją, że zobaczy Lux, najbardziej obnażoną osobę w ubraniu, jaką kiedykolwiek widział. Nawet w praktycznych szkolnych pantoflach szurała nogami, jakby była bosa, a workowaty strój, który kupiła jej pani Lisbon, jedynie podkreślał jej urodę, jak gdyby po rozebraniu się nałożyła na siebie to, co miała pod ręką. Jej uda w sztruksach ocierały się o siebie z cichym szmerem, a w jej stroju zawsze był przynajmniej jeden cudownie nieuporządkowany element, który go urzekał – koniec koszuli wystający ze spodni, dziurawa skarpetka, rozdarty szew ukazujący włosy pod pachą. Nosila książki z klasy do klasy, ale ich nie otwierała. Jej pióra i ołówki miały taki sam tymczasowy charakter, jak miotła Kopciuszka. Gdy się uśmiechała, w jej ustach widać było zbyt wiele zębów, ale w nocy Trip Fontaine marzył, aby być kąsanym przez każdy z nich po kolei.

Nie wiedział, jak zacząć zabiegać o jej względy, ponieważ dotąd to zawsze jego podrywano. Pomału, wypytując odwiedzające jego sypialnię dziewczęta, dowiedział się, gdzie Lux mieszka, aczkolwiek pytania musiał zadawać dyskretnie, aby nie wzbudzić w nich zazdrości. Zaczął jeździć obok domu Lisbonów, mając nadzieję, że ją ujrzy, albo przynajmniej, na pocieszenie, którąś z jej sióstr. W przeciwieństwie do nas, Trip Fontaine nigdy nie miał problemów z rozróżnieniem sióstr Lisbon, jednak od samego początku uważał Lux za najbardziej olśniewającą. Jadąc swoim trans amem, opuszczał szybę i włączał odtwarzacz, aby w swoim pokoju mogła usłyszeć jego ulubioną melodię. Zdarzało się czasami, że nie mogąc opanować burzy uczuć w lędźwiach, wciskał w podłogę pedał gazu, zostawiając za sobą w dowód miłości tylko zapach palonej gumy.

Nie rozumiał, jak to się stało, że tak go oczarowała, ani dlaczego zaraz po tym zapomniała o jego istnieniu, i stojąc przed lustrem pytał w rozpacz swego odbicia, dlaczego jedyna dziewczyna, na punkcie której oszalał, była tą dziewczyną, która nie szalała na jego punkcie. Przez dłuższy czas próbował uciekać się do swoich sprawdzonych metod przyciągania dziewczyn, odrzucając włosy do tyłu, gdy przechodziła Lux, albo stawiając buty na biurku, a raz nawet opuścił swoje przyciemniane okulary, aby mogła ujrzeć piękno jego oczu. Ale ona nawet nie spojrzała.

Faktem było, że nawet najbardziej gamoniowaci chłopcy lepiej sobie radzili z umawianiem się na randki niż Trip, ponieważ to oni, obdarzeni zapadniętymi klatkami piersiowymi i krzywymi nogami, musieli nauczyć się wytrwałości, podczas gdy Trip nigdy nawet nie musiał wykręcić numeru telefonu do dziewczyny. Było to dla niego czymś zupełnie nowym – to zapamiętywanie kluczowych odpowiedzi, ćwiczenie ewentualnych rozmów, głębokiego oddechu joginów, to wszystko, co miało prowadzić do skoku na oślep w morze szumiące trzaskami linii telefonicznych. Nie znał cierpienia towarzyszącego wiecznemu oczekiwaniu, aż ktoś odbierze telefon, nie znał gwałtownego bicia serca, jakie pojawia się, gdy słyszy się, jak ten niezrównany głos nagle łączy się z naszym własnym; to uczucie bycia zbyt blisko, aby ją widzieć, istnienia prawie wewnątrz jej ucha. Nigdy nie poczuł bólu spowodowanego beznamiętną odpowiedzią:

– Och... cześć – nie zaznał też błyskawicznej klęski pytania: – Kto?

Jego uroda pozbawiła go sprytu, więc zrozpaczony opowiedział o swojej namiętności ojcu i Donaldowi. Zrozumieli jego kłopotliwe położenie i uspokoiwszy go lampką Sambuki udzielili mu rady, jakiej mogli udzielić tylko dwaj ludzie doświadczeni przez własny ciężar potajemnej miłości. Przede wszystkim powiedzieli mu, że pod żadnym pozorem nie powinien dzwonić do Lux.

– To wszystko kwestia subtelności – powiedział Donald. – Tu grają rolę niuanse.

Poradzili Tripowi, żeby zamiast składania otwartych deklaracji rozmawiał z Lux na najbardziej prozaiczne tematy, o pogodzie, zadaniach domowych, o czymkolwiek, co da mu sposobność nawiązania milczącej, ale doskonałej komunikacji językiem spojrzeń. Polecili mu pozbyć się przyciemnianych okularów i za pomoce lakieru do włosów odsunąć włosy z twarzy. Następnego dnia Trip Fontaine zajął miejsce w skrzydle naukowym i czekał na Lux, która przechodziła tamtędy w drodze do swojej szafki. Wschodzące słońce zaróżowiło boazerię ułożoną w kształt plastra miodu. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi wejściowe, Trip widział wpływająca do środka twarz Lux i dopiero po chwili jej oczy, nos i usta przekształcały się w twarz innej dziewczyny. Traktował to jako zły znak, jakby Lux stale przebierała się, chcąc go unikać. Obawiał się, że nigdy nie przyjdzie lub, co gorsza, że przyjdzie.

Po tygodniu bez spotkania z nią, postanowił podjąć środki nadzwyczajne. W następny piątek po południu opuścił swoje miejsce w skrzydle naukowym i poszedł na wykład dla wszystkich klas. Był to pierwszy taki wykład, w jakim uczestniczył od trzech lat, ponieważ opuszczanie tych zajęć było łatwiejsze od opuszczania wszelkich innych lekcji, a Trip wolał spędzać czas na

paleniu nargili umieszczonych w schowku samochodu. Nie miał pojęcia, gdzie może usiąść Lux i kręcił się przy wodotrysku z wodę do picia, mając zamiar wejść do środka za swoją ukochaną. Wbrew radom ojca i Donalda nałożył okulary słoneczne, aby ukryć swój wzrok wgapiony w korytarz. Trzykrotnie serce zabiło mu gwałtowniej, ale za każdym razem był to fałszywy alarm (to tylko były jej siostry) i pan Woodhouse zdążył już przedstawić dzisiejszego gościa – prezentera pogody w regionalnej telewizji – nim Lux wyszła z dziewczęcej toalety. Trip Fontaine był tak skoncentrowany na jej postaci, że praktycznie przestał istnieć. W tej chwili cały świat składał się z Lux. Otaczała ją jakaś mglista aura, migotanie rozpadających się atomów, wywołane, jak później stwierdziliśmy, ogromną ilością krwi odpływającej z głowy Tripa. Przeszła tuż obok, nie zwracając na niego uwagi, a on w tym momencie nie wyczuł oczekiwanej woni papierosów, ale zapach gumy arburowej.

Podążył za nią do przejrzystej sali w stylu kolonialnym, z kopułą jak w Monticello, doryckimi pilastrami i imitacją lamp gazowych, które jawniej wypełnialiśmy mlekiem. Usiadł obok niej w ostatnim rzędzie i chociaż starał się na nią nie patrzeć, nic to nie dawało – organami zmysłów, z posiadania których nie zdawał sobie sprawy, Trip Fontaine czuł bliskość Lux, rejestrował temperaturę jej ciała, bicie serca, tempo oddychania, całe pulsowanie i krążenie wewnątrz niej. W auli pociemniało, gdy prezenter pogody zaczął pokazywać slajdy, i wkrótce znaleźli się wspólnie w ciemnościach, samotni pomimo towarzystwa czterystu uczniów i czterdziestu pięciu nauczycieli. Sparaliżowany miłością, Trip ani razu się nie poruszył, gdy na ekranie błyskały tornada, i dopiero po piętnastu minutach nabrał na tyle odwagi, aby lekko oprzeć przedramię na podłokietniku. Teraz oddzielało ich tylko kilka centymetrów wolnej przestrzeni, więc przez następne dwadzieścia minut, niezmiernie nieznaczными ruchami, powodującymi, że całe ciało miał zlane potem, Trip Fontaine przesuwał swoją rękę w jej kierunku. Podczas gdy wszystkie pozostałe oczy obserwowały huragan Zeldy uderzający w kierunku nadbrzeżnego miasta na Karaibach, włosy na ramieniu Tripa zaczęły głaskać włosy na ręce Lux, a przez nowo powstały obwód popłynął prąd. Nie odwracając się i prawie nie oddychając, Lux odpowiedziała podobnym naciskiem, więc Trip nacisnął mocniej, ona odpowiedziała, i tak powoli zbliżali ręce, aż powstała linia łącząca ich całe przedramiona. W tym momencie wydarzyło się coś nowego – siedzący z przodu kawalarz, przykładając dłonie do ust, wydał odgłos pierdzenia, a cała aula ryknęła śmiechem. Lux pobladła i odsunęła rękę, ale Trip Fontaine skorzystał z okazji, aby szepnąć pierwsze słowa, jakie kiedykolwiek powiedział jej do

ucha:

– To musiał być Conley – powiedział. – Oberwie za swoje.

W odpowiedzi ledwo skinęła głową. Ale Trip, wciąż pochylony w jej stronę, kontynuował:

– Zapytam się twojego starego, czy mogę się z tobą umówić.

– Marne szanse – odpowiedziała Lux, nie patrząc na niego. Zapaliły się światła i siedzący wokół nich uczniowie zaczęli klaskać. Trip odczekał, aż oklaski się wzmogą, i ponownie się odezwał.

Powiedział:

– Najpierw przyjdę i pooglądam telewizję w twoim domu. W najbliższą niedzielę. Dopiero potem zaproszę cię na randkę.

Znowu czekał na jej reakcję, ale jedyny sygnał, jaki do niego dotarł, pochodził z jej odwróconej dłonią do góry ręki, sugerującej, że może zrobić, co zechce. Trip podniósł się, zbierając się do wyjścia, ale zanim to zrobił, nachylił się nad oparciem dopiero co opuszczonego fotela i wyrzucił z siebie wstrzymywane od tygodni słowa:

– Jesteś super laska – powiedział i odszedł.

Trip Fontaine był pierwszym chłopakiem, po Peterze Sissenie, który wszedł samotnie do domu Lisbonów. Załatwił to w bardzo prosty sposób, mówiąc Lux, kiedy przyjdzie, i pozostawiając jej kwestię poinformowania o tym rodziców. Trudno wyjaśnić nam, jak mogliśmy go nie zauważyć, zwłaszcza że podczas rozmowy opowiadał nam, że nie używał żadnych podstępów i przyjechał zupełnie otwarcie, parkując swojego trans arna przed pniakiem po ściętym wiązcie, aby maska nie ubrudziła się od soków kapiących z drzew. Z tej okazji podciął sobie włosy i zamiast westernowego stroju miał na sobie białą koszulę i czarne spodnie, jak pracownik firmy cateringowej. Lux powitała go w drzwiach i niewiele mówiąc (liczyła oczka w robótce) poprowadziła go na przydzielone mu miejsce w salonie. Usiadł na kanapie obok pani Lisbon, a po jej drugiej stronie zasiadła Lux. Trip Fontaine powiedział nam, że dziewczyny nie zwracały na niego specjalnej uwagi, a z pewnością mniejszą, niż mógłby tego oczekiwać szkolny obiekt kobiecych westchnień. Therese usiadła w kącie, trzymając wypchaną iguanę i tłumacząc Bonnie, co te zwierzęta jedzą, jak się rozmnażają i jakie jest ich naturalne środowisko. Jediną siostrą, która odzywała się do Tripa, była Mary, która ciągle pytała go, czy nie dolać mu coli. W telewizji pokazywali wydanie specjalne kreskówek Walta Disneya i Lisbonowie oglądali ten program jak typowa rodzina, przyzwyczajona do mdłej rozrywki, śmiejąc się wspólnie przy tych

samych kiepskich dowcipach i z podekscytowaniem śledząc wyreżyserowane momenty kulminacyjne. Trip Fontaine nie zauważył w dziewczynach żadnych oznak skrzywienia psychiki, jednak sam później przyznał:

– Człowiek mógłby się tam zabić, tylko po to, żeby coś się działo. Pani Lisbon pilnowała, czy Lux dobrze robi na drutach. Zanim zmieniła kanał w telewizorze, sprawdzała w *TV Guide*, czy program jest odpowiedni. Wiszące na oknach zasłony były grube jak brezent. Na parapecie stało kilka tyczkowatych roślinek, zupełnie inaczej niż w pełnym zieleni salonie w jego domu (pan Fontaine był miłośnikiem ogrodnictwa), i Trip mógłby czuć się, jak na martwej planecie, gdyby nie życie pulsujące w ciele Lux siedzącej na drugim końcu kanapy. Mógł zobaczyć jej gołe stopy, gdy kładła je na stoliku do kawy. Podeszwy stóp były czarne, a na paznokciach widniały plamy różowego lakieru. Gdy tylko pojawiały się na stoliku, pani Lisbon stukała w nie drutem i zganiała je z powrotem pod stolik.

Nie wydarzyło się nic więcej. Tripowi nie udało się usiąść obok Lux czy porozmawiać z nią, ani nawet spojrzeć na nią, ale już sam wspaniały fakt jej bliskości wprost wypalał mu umysł. O dziesiątej, na sygnał dany przez żonę, pan Lisbon klepnął Tripa w plecy i powiedział:

– No, mój drogi, zazwyczaj o tej porze uderzamy w kimono.

Trip uściśnął rękę gospodarza, następnie chłodniejszą dłoń pani Lisbon, a Lux podeszła do przodu, aby odprowadzić go do wyjścia. Chyba musiała zauważyć beznadziejność tej sytuacji, ponieważ prawie na niego nie patrzyła, gdy szli w kierunku drzwi. Kroczyła z opuszczoną głową, wydłubując woskwinę z ucha, i dopiero gdy otworzyła drzwi, podniosła wzrok, aby obdarzyć go smutnym uśmiechem, który mógł wróżyć jedynie niespełnione nadzieje. Trip Fontaine wyszedł załamany, wiedząc, że może jedynie oczekiwać kolejnego wieczoru spędzonego na kanapie obok pani Lisbon. Przeszedł przez trawnik, nieścinany od śmierci Cecylii. Usiadł w samochodzie i patrzył na dom, obserwując, jak światła na górze pojawiają się w miejsce świateł na dole, a potem, jedno po drugim, gasną. Myślał o Lux przygotowującej się do pójścia spać, i sama myśl o niej, trzymającej szczoteczkę do zębów, podniecała go bardziej niż zupełna nagość, jaką prawie co noc oglądał w swoim łóżku. Oparł głowę o zagłówek i rozchylił usta, aby złagodzić duszenie w piersiach, gdy nagle powietrze w samochodzie wzburzyło się. Poczuł, że coś chwyta go za kłapy, ciągnie do przodu i pcha w tył, a istota o stu ustach zaczyna wysysać szpik z jego kości. Nic nie powiedziała, gdy tak wpadła, jak wygłodzone zwierzę, i nie wiedziałby, kto to był, gdyby nie smak jej arbuzowej gumy, którą po kilku ognistych pocałunkach poczuł we własnych ustach.

Nie miała już na sobie spodni, tylko flanelową koszulę nocną. Jej wilgotne od trawy stopy pachniały pastwiskiem. Czuł jej lepkie łydki, rozgrzane kolana, pokryte włosami uda i nagle, z przerażeniem, włożył palec w żarłoczna paszczę zwierzęcia uwiązane poniżej jej pasa. Miał wrażenie, jakby nigdy wcześniej nie dotykał dziewczyny; czuł futro i oleiste substancje, jakby dotykał skóry wydry. W samochodzie poruszały się dwie bestie, jedna u góry, sapiąca i gryząca go, i jedna na dole, walcząca, aby wyrwać się ze swojej wilgotnej klatki. Mężnie starał się nasycić obie, obłaskawić je, ale i tak nie mógł przemóc ogamiającego go poczucia niewystarczalności, aż po kilku minutach, mówiąc jedynie kilka słów.

– Muszę wrócić, zanim tato przyjdzie sprawdzić – Lux zostawiła go samego, na pół żywego.

I chociaż ten błyskawiczny atak trwał tylko trzy minuty, zostawił na nim niezatarty ślad. Mówił o tym, jak niektórzy wspominają doświadczenie religijne, boskie nawiedzenie lub wizję, jakieś nieopisywalne słowami wtargnięcie z zewnątrz w ziemskie życie.

– Czasami wydaje mi się, że to był tylko sen – opowiadał nam, wspominając nienasycenie tych stu ust, które wysysały jego soki w ciemnościach, i chociaż później nadal cieszył się godnym pozazdrosczenia życiem seksualnym, Trip Fontaine wyznał, że to wszystko go rozczarowywało.

Już nigdy więcej jego wnętrzości nie miały się z tak rozkoszną siłą, ani też nigdy już nie poczuł, co to znaczy być całkowicie zwilżonym przez cudzą ślinę.

– Czułem się jak znaczek – opowiadał.

Po latach nadal był zdumiony pożądaniem Lux, jej brakiem jakichkolwiek zahamowań, jej mityczną zdolnością do metamorfozy, pozwalającą jej posiadać trzy lub cztery ręce na raz.

– Większość ludzi nigdy nie zasmakuje takiej miłości – powiedział, nabierając odwagi po katastrofie swojego życia. – Przynajmniej raz udało mi się tego skosztować.

Zupełnie inaczej było z jego kochankami, jakie miał, gdy dorastał i później, gdy był już dojrzałym mężczyzną, które były potulnymi istotami o gładkich taliach, wydającymi odpowiednie okrzyki na zawołanie. Nawet w trakcie miłosnego aktu mógł wyobrazić sobie, jak przynoszą mu gorące mleko, płacą jego podatki czy też stoją zapłakane przy jego łożu śmierci. Były to kochające, ciepłe jak termofor kobiety. Nawet te najgłośniejsze wyrażające ekstazę kochanki z późniejszych lat zawsze uderzały w fałszywą nutę, a żadna intensywność erotyczna nie mogła równać się z ciszą, z jaką Lux żywcem obdarła go ze skóry.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy pan Lisbon złapał Lux, gdy starała wślizgnąć się

niepostrzeżenie do domu, ale z niewiadomych powodów, gdy Trip próbował umówić się na kolejną randkę siedzenia na kanapie, Lux powiedziała mu, że ma szlaban i że matka zakazała następnych wizyt. W szkole Trip Fontaine był bardzo ostrożny w komentowaniu tego, co wydarzyło się między nimi, i chociaż krążyły różne plotki o ich wymykaniu się do różnych pomieszczeń, on uparcie twierdził, że dotykali się tylko jeden raz, wtedy w samochodzie.

– W szkole nigdy nie było gdzie pójść. Jej stary pilnował jej jak oka w głowie. To była męczarnia. Cholema męczarnia.

* * *

Zdaniem doktora Homickera angażowanie się Lux w przypadkowe związki seksualne było typowa reakcja na potrzeby emocjonalne.

– Osoby dojrzewające poszukują miłości tam, gdzie mogą ją znaleźć – napisał w jednym z wielu artykułów, jakie miał nadzieję opublikować. – Lux myliła akt seksualny z miłością. Dla niej seks stał się substytutem pociechy, jakiej potrzebowała po samobójstwie siostry. – Faktycznie, kilku chłopców dostarczyło bardzo szczegółowych informacji, potwierdzających tę teorię. Willard opowiadał, że raz, gdy leżeli razem w szatni przy boisku, Lux zapytała go, czy sądzi, że to, co robią, jest nieprzyzwoite.

– Wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Powiedziałem, że nie. Wtedy chwyciła mnie za rękę i zaczęła: „Ale lubisz mnie, prawda?” Nic nie odpowiedziałem. Lepiej trzymać panienki w niepewności.

Po latach Trip Fontaine złościł się, gdy sugerowaliśmy, że namiętność Lux mogła wynikać ze źle rozumianych potrzeb.

– A co wy myślicie, że ja byłem tylko narzędziem? Tego nie da się udawać. To było autentyczne.

Udało się nam poruszyć ten temat nawet z matką dziewcząt, podczas naszej jedynej z nią rozmowy, która odbyła się w stołówce na dworcu autobusowym, ale na nasze słowa pani Lisbon zeszywniała.

– Żadnej z moich córek nie brakowało miłości. Nasz dom był pełen miłości.

Nie bardzo było to widać. Z nadejściem października dom Lisbonów zaczął wyglądać jeszcze mniej radośnie. Dach z niebieskiej łupkowej dachówki, który przy odpowiednim

oświetleniu przypominał staw zawieszony w powietrzu, wyraźnie pociemniał. Żółte cegły zbrązowiały. Wieczorami z komina wylatywały nietoperze, podobnie jak ze znajdującej się na sąsiedniej ulicy rezydencji Stamarowskiego. Przyzwyczajaliśmy się do oglądania nietoperzy krążących nad domem Stamarowskich, kluczących i nurkujących przy wtórze pisków dziewczyn, które zakrywały przed nimi swoje długie włosy. Pan Stamarowski, ubrany w czarny golf, stał na balkonie. O zachodzie słońca pozwalał nam włóczyć się po ich wielkim trawniku i pewnego razu znaleźliśmy na klombie martwego nietoperza, z twarzą pokurczonego starca i dwoma wspaniałymi zębami. Zawsze myśleliśmy, że nietoperze przyjechały ze Stamarowskimi z Polski – i wszystko było w porządku, gdy pikowały nad tym ponurym domem, z jego aksamitnymi zasłonami i degrengoladą Starego Świata, ale nie nad praktycznymi dwoma kominami domu Lisbonów. Były jeszcze inne oznaki nadciągającego zniszczenia. Zepsuł się oświetlony dzwonek przy drzwiach. Karmnik w ogródku za domem przewrócił się i nikt go nie podniósł z ziemi. Na skrzynce na mleko pani Lisbon zostawiła kartkę do mleczarza: „Proszę nie przynosić zepsutego mleka!” Wspominając te czasy, pani Higbie twierdziła, że pan Lisbon pozamykał okiennice za pomocą długiego kija. Gdy rozpytaliśmy wśród sąsiadów, wszyscy potwierdzili ten fakt, jednak na ekspozycji nr 3, czyli na zdjęciu zrobionym przez pana Buella, widać Chase’a przygotowującego się do uderzenia swoim nowym kijem baseballowym Louisville Slugger, a w stojącym w tle domu Lisbonów wszystkie okiennice są pootwierane (przydało nam się tu szkło powiększające). Zdjęcie zostało zrobione 13. października, w dniu urodzin Chase’a i otwarcia mistrzostw w baseballu.

Córki Lisbonów nie chodziły nigdzie prócz szkoły i kościoła. Raz w tygodniu ciężarówka ze sklepu Krogera dowoziła artykuły spożywcze. Mały Johnny Buell i Vince Fusilli zatrzymali ją pewnego dnia, trzymając wyimaginowaną linę w poprzek ulicy, każdy z jednej strony, jak dwie kopie mima Marcela Marceaux. Kierowca pozwolił im usiąść, a oni przeglądali jego kartki z zamówieniami, kłamiąc, że sami chcą zostać dostawcami, jak dorosną. Okazało się, że zamówienie Lisbonów, które Vince Fusilli schował do kieszeni, przypominało zapotrzebowanie dla dostaw wojskowych:

- 1 – *5fi. mąki Krog.*
- 5 – *1 gal. mleka w prósz. Carnat.*
- 18 roi. *mlek. pap. toal. White Cloud*
- 24 pus. *brzoskw. Del Monte*

24 pusz.	ziel. grosz. Del Monte
W fi.	miel. wof.
3 boch.	chle. Won. Br.
1	mas. orzech. Jiff
3	piat. kukur. Kell.
5	tuńcz. Stkst.
1	maj. Krog.
1	sał. lod.
I fi.	bek. O. May.
1	mas. L. Lks.
1	nap. pom.
1	czek. Hersh.

Zastanawialiśmy się, co się stanie z liśćmi. Spadały już od dwóch tygodni, pokrywając trawniki, ponieważ w tamtych czasach wciąż jeszcze mieliśmy drzewa. Obecnie jesienią zaledwie kilka listków spływa z czubków kilku pozostałych wiązów, a większość liści spada z metrowych młodych drzewek podtrzymywanych przez paliki, karłowate zastępstwo, jakie miasto zasadziło, aby pocieszyć nas wizją, jak nasza ulica będzie wyglądać za sto lat. Nikt dokładnie nie wie, jakiego gatunku są te nowe drzewa. Gość z wydziału zieleni powiedział tylko, że zostały specjalnie wyselekcjonowane w związku z ich „odpornością na ogłodka wiązowca”.

– To znaczy, że nawet robaki ich nie lubią – skomentowała pani Scheer.

W przeszłości jesień zaczynała się zbiorowym szelestem na czubkach drzew; następnie, w niekończącej się obfitości, liście odrywały się i opadały w dół, wirując i trzepocząc na wietrze, jakby świat pozbywał się własnej skorupy. Czekaliśmy, aż się nazbierają. Staliśmy na uboczu, wytłumaczeni z naszego nieróbstwa, a gałęzie codziennie odsłaniały rosnące plamy nieba.

W pierwszy weekend po opadnięciu liści zaczynaliśmy je grabić, ustawieni szeregiem jak żołnierze, i usypywaliśmy z nich stosy na ulicy. Różne rodziny korzystały z różnych metod. Rodzina Buellów stosowała formację trójkową, w której dwie osoby grabiły równolegle, a trzecia prostopadle do nich, imitując formację, używana przez pana Buela nad Himalajami. Pitzenbergerowie harowali w dziesiątkę – dwójka rodziców, siódemka nastolatków i dwuletni szkrab, owoc katolickiej pomyłki, idący za nimi z zabawkowymi grabkami. Gruba pani Amberson korzystała z dmuchawy do liści. Wszyscy wypełnialiśmy swoje zadania. Wygląd

wygrabionej i wyczyszczonej trawy, przypominającej dokładnie rozczesane włosy, sprawiał nam dogłębną przyjemność. Czasami przyjemność była tak silna, że grabiliśmy samą trawę, zostawiając odkryte połącze ziemi. Pod wieczór stawaliśmy na chodniku i przyglądaliśmy się naszym trawnikom, na których każde źdźbło trawy było wyprostowane, każda grudka ziemi roztarta, a czasami nawet widać było wyrzucone na powierzchnię śpiące cebulki krokusów. W tamtych czasach, przed ogólnoswiatowym zanieczyszczeniem środowiska naturalnego, wolno nam było palić nasze liście i wieczorem, zgodnie z jednym z ostatnich obrzędów naszego zanikającego plemienia, wszyscy ojcowie schodzili na ulicę, aby rozpalić rodzinne stosy.

Pan Lisbon zazwyczaj sam zajmował się grabieniem, podśpiewując cienkim głosikiem, i dopiero gdy Therese skończyła piętnaście lat, zaczęła mu pomagać, pochylona i grabiąca w męskim ubraniu, gumowych butach do kolan i w czapce rybackiej. Wieczorem pan Lisbon, podobnie jak pozostali ojcowie, rozpałał swój stos, ale jego przyjemność palenia ogniska była tłumiona przez niepokój, że ogień może wyrwać się spod kontroli. Pilnował swojego stosu, dorzucając liście na środek i porządkując pożogę, a gdy pan Wadsworth chciał poczęstować go łykiem ze swojej butelki z monogramem, jak proponował każdemu z pracujących ojców, pan Lisbon odpowiadał:

– Nie, dziękuję bardzo, ale nie.

W roku samobójstw liście na trawniku Lisbonów nie zostały zagrabione. Kiedy wyszliśmy na trawniki w sobotę, pan Lisbon nie wytknął nosa z domu. Od czasu do czasu, podczas grabienia, patrzyliśmy w stronę domu Lisbonów, na jego ściany zbierające jesienną wilgoć, na jego zaśmiecony i wielobarwny trawnik otoczony trawnikami coraz bardziej obnażonymi i zielonymi. Im więcej liści odgarnialiśmy, tym więcej zdawało się leżeć w ogródku Lisbonów, pokrywając zarośla i przykrywając pierwszy stopień werandy. Tego wieczoru, gdy rozpaliliśmy nasze ogniska, każdy dom jakby wynurzał się z ciemności, w jasnopomarańczowym kolorze. Tylko dom Lisbonów pozostał ciemny, jak tunel czy pustka w otoczeniu naszego dymu i płomieni. Mijały kolejne tygodnie, a ich liście pozostawały na miejscu. Kiedy wiatr zawiewał je na trawniki innych osób, zaczynało się zrzędenie.

– To nie są moje liście – powiedział pan Amberson, wpychając je do kosza. Dwa razy padało, liście namokły i zrobiły się brązowe, w związku z czym trawnik Lisbonów wyglądał jak pole błota.

* * *

Pierwszych reporterów zwabiło coraz większe zaniedbanie, w jakie popadał dom. Pan Baubee, redaktor naczelny lokalnej gazety, wciąż bronił swojego zdania i nie chciał publikować informacji o takich osobistych tragediach jak samobójstwa. Postanowił natomiast zajmować się kontrowersjami, jakie wzbudzały nowe barierki przesłaniające brzeg jeziora, czy zastoje w negocjacjach ze strajkującymi pracownikami cementarni, które ciągnęły się już piąty miesiąc (zwłoki wysyłano ze stanu w chłodniach). W kolumnie „Witamy sąsiadów” nadal pojawiali się nowi mieszkańcy, skuszeni zielonością i spokojem naszego miasteczka, jego zapierającymi dech w piersiach werandami – kuzyn Winstona Churchilla w swoim domu przy Windmill Pointe Boulevard, zbyt chudy, aby być spokrewnionym z premierem Wielkiej Brytanii, pani Shed Turner, pierwsza biała kobieta, jaka spenetrowała dżunglę Papui Nowej Gwinei, trzymająca w rękach coś, co wyglądało na skurczoną ludzką głowę, chociaż podpis pod zdjęciem mówił, że był to: „jej yorkshire, Wilhelm Zdobywca”.

Tego lata ukazujące się w mieście gazety nie publikowały informacji o samobójstwie Cecilii przede wszystkim dlatego, że samobójstwa nie były niczym niezwykłym. Fabryki samochodów prowadziły szeroko zakrojona akcję zwolnień i nieomal codziennie jakaś zrozpaczona dusza tonęła w powodzi recesji, znajdowano mężczyzn leżących w garażach przy uruchomionych samochodach, albo zwiniętych w kabinach prysznicowych, jeszcze w ubraniu roboczym. W gazetach opisywano tylko przypadki samobójstw po dokonaniu morderstwa, i to tylko na stronie trzeciej lub czwartej, historie ojców, którzy po wystrzeleniu całej rodziny kierowali broń w swoją głowę, opisy mężczyzn podpalających własne domy, po wcześniejszym pozamykaniu wszystkich drzwi. Pan Larkin, redaktor naczelny największej gazety w mieście, mieszkał o niecały kilometr od Lisbonów i w związku z tym z pewnością wiedział, co się wydarzyło u jego sąsiadów. Joe Hill Conley, który od czasu do czasu kręcił z Missy Larkin (już od roku była w nim zadurzona, mimo że na jego twarzy często widać było ślady po nieostrożnym goleniu), oświadczył nam, że Missy i jej matka rozmawiały o samobójstwie Cecilii w obecności pana Larkina, ale on zupełnie się tym nie zainteresował i tylko leżał na leżaku pod gorącym słońcem, z mokrym ręcznikiem na oczach. Niemniej jednak 15. października, ponad trzy miesiące później, opublikowano list do redakcji, zawierający bardzo pobieżny opis samobójstwa Cecilii i apel do szkół, aby zajęły się „rosnącymi lękami wśród dzisiejszej młodzieży”. List podpisała niejaka „pani I. Dew Hopewell”, co było

oczywistym pseudonimem, ale z pewnych szczegółów można było wyraźnie wywnioskować, że był to ktoś z naszej ulicy. Przede wszystkim pozostała część miasteczka zapomniała już do tego czasu o samobójstwie Cecyllii, natomiast nam coraz gorszy stan domu Lisbonów stale przypominał o istniejącym tam problemie. Po latach, gdy już nie było żadnych dziewcząt do uratowania, pani Denton przyznała się do napisania tego listu, jak sama powiedziała, w porywie świętego oburzenia pod suszarką do włosów. Wcale tego nie żałowała.

– Nie można po prostu stać i patrzeć jak twoi sąsiedzi się marnują – oznajmiła. – My tu jesteśmy dobrymi ludźmi.

Dzień po pojawieniu się jej listu pod dom Lisbonów podjechał niebieski pontiac, z którego wysiadła nieznajoma kobieta. Po sprawdzeniu adresu na kartce papieru podeszła do nieużywanej od tygodni werandy przed domem. Nawet gazeciarz, Shaft Tiggs, rzucał gazety pod drzwi z odległości trzech metrów. Przestał również odbierać zapłatę w czwartki (jego matka wyrównywała mu tę stratę z własnych pieniędzy, napominając go, aby nic nie mówił ojcu). Obecnie weranda domu Lisbonów, z której po raz pierwszy zobaczyliśmy Cecylię nadziana na pręty płotu, kojarzyła się nam przesądnie z płytami chodnikowymi – stąpienie na szczelinę między płytami mogło mieć fatalne skutki. Wycieraczka zwijała się na brzegach. Nieprzeczytane gazety leżały w namokniętym stosie, a czerwony tusz wypływał z kolorowych fotografii sportowych. Z metalowej skrzynki na listy zionęła woń rdzy. Młoda kobieta odsunęła gazety stopą w błękitnym czółenku i zapukała. Drzwi uchyliły się nieznacznie i kobieta, patrząc w ciemność spod przymrużonych powiek, zaczęła przedstawiać powód swojej wizyty. W pewnym momencie zdała sobie sprawę z tego, że jej rozmówczyni znajdowała się jakieś trzydzieści centymetrów niżej, niż jej się pierwotnie wydawało, więc obniżyła wzrok. Wyjęła z żakietu notes, wymachując nim, jak to robią szpiegowie w filmach wojennych, gdy przedstawiają fałszywe dokumenty. Podziałało. Drzwi otworzyły się jeszcze trochę bardziej i mogła wejść.

Artykuł Lindy Perl pojawił się następnego dnia, ale pan Larkin nigdy nie skomentował powodów, dla których pozwolił go wydrukować. W reportażu przedstawiono szczegółowe informacje o samobójstwie Cecyllii. Z zamieszczonych tam cytatów (artykuł jest do wglądu dla wszystkich zainteresowanych – stanowi dowód rzeczowy nr 9) wyraźnie widać, że pani Perl, ostatnio zatrudniona reporterka, poprzednio z prowincjonalnej gazety w Makinac, zdążyła jedynie porozmawiać z Bonnie i Mary, zanim pani Lisbon wyrzuciła ją z domu. Historia skupia się na tak zwanym „aspekcie ludzkim”, popularnym wśród artykułów, które zaczęły się w tym

okresie mnożyć jak grzyby po deszczu. Przedstawia obraz domu Lisbonów w bardzo szerokim kontekście. Sformułowania, takie jak „*szukowne przedmieście bardziej znane z przyjęć dla młodych dam niż z pogrzebów młodych dam*” czy „*Bystre, pełne wigoru dziewczęta nie wykazują zbyt wielu oznak niedawnej tragedii*”, oddają charakter stylu pani Perl. Po przedstawieniu bardzo powierzchownego obrazu Cecilii („*lubiła balować i pisać swój pamiętnik*”), artykuł proponuje rozwiązanie tajemnicy jej śmierci, prowadząc do takich, na przykład, wniosków; „*Psychologowie zgadzają się, że obecnie dojrzewająca młodzież podlega dużo większym naciskom, a sam proces dojrzewania jest dużo bardziej złożony niż w przeszłości. W dzisiejszym świecie często przedłużone dzieciństwo, jakim amerykańskie życie obdarzyło nasze dzieci, okazuje się być pustynią, w której dorastający młody człowiek czuje się odcięty zarówno od dzieciństwa, jak od wieku dojrzałego. Próby wyrażania własnego ja często są bezskuteczne. Jak mówią lekarze, takie frustracje mogą prowadzić do aktów przemocy, których rzeczywistości młody człowiek nie jest w stanie oddzielić od wymaganych dramatów.*”

Pozornie artykuł unika taniej sensacji, starając się poinformować odbiorcę o powszechnym zagrożeniu społecznym. Następnego dnia pojawił się ogólny artykuł na temat samobójstw wśród nastolatków, również pióra pani Perl, z wykresami i tabelami, w którym Cecilia została wspomniana tylko w pierwszym zdaniu: „*Samobójstwo nastolatki z East Side zeszłego lata wyraźnie wyczuliło społeczeństwo na narodowy kryzys*”. Od tego momentu zaczęła się nagonka mediów. Pojawiły się artykuły przedstawiające listę samobójstw wśród nastolatków w całym stanie. Publikowano fotografie, zazwyczaj szkolne zdjęcia portretowe, na których widać było zakłopotanych nastolatków w odświętnych ubraniach, chłopców z cieniutkimi wąsikami i krawatami zawiązanymi pod szyją w ogromny węzeł na kształt wola, dziewczęta z włosami lakierowanymi na grzybkę, ich bezbronne szyje oznaczone złotymi łańcuszkami z napisem „*Sherri*” lub „*Gloria*”. Na zdjęciach z albumów rodzinnych widać nastolatki śmiejące się w tych szczęśliwszych chwilach, często nad tortami urodzinowymi, na których płonęła znamienna liczba świeczek. W związku z tym, że państwo Lisbon odmówili udzielania wywiadów, gazeta musiała zdobyć fotografie Cecilii ze szkolnej książki pamiątkowej o nazwie „*Duch*”. Na stronie wydartej z tej książki (dowód rzeczowy nr 4) widać przenikliwą twarz Cecilii wyglądającą między obleczonymi w swetry barkami górujących nad nią dwóch szkolnych kolegów. Przyjeżdżały ekipy telewizyjne, aby sfilmować coraz bardziej przerażające zewnątrz domu Lisbonów, najpierw Kanał 2, potem Kanał 4, a w końcu Kanał 7. Oglądaliśmy telewizję, w nadziei, że

zobaczymy tam dom Lisbonów, ale materiał został wyemitowany dopiero po miesiącach, gdy pozostałe dziewczęta odebrały sobie życie i kiedy była już zupełnie inna pora roku. Tymczasem w jednym z programów lokalnej telewizji skoncentrowano się na temacie samobójstw wśród nastolatków i zaproszono do niego dwie dziewczęta i jednego chłopca, aby wyjaśnili powody podejmowania takich prób. Słuchaliśmy ich, ale jasne było, że przeszli zbyt intensywną terapię, aby móc wyznaczyć prawdziwe pobudki swoich czynów. Udzielane przez nich odpowiedzi brzmiały jak przećwiczone i wszystkie oparte były na koncepcji poczucia własnej wartości oraz innych słowach dziwnie brzmiących w ich ustach. Jedną z dziewcząt, Rannie Jilson, aby zakończyć życie upiekła ciasto wypełnione trutką na szczury, które mogłaby zjeść bez wzbudzania podejrzeń, ale skończyło się na tym, że zmarła jej osiemdziesięciosześcioletnia babcia, wielbicielka słodyczy. Opowiadając to, Rannie wybuchła płaczem, prowadzący program zaczął ją pocieszać, a nam puszczone reklamy.

Wiele osób protestowało przeciw artykułom i programom telewizyjnym, powstającym tak długo po tym wydarzeniu. Pani Eugene powiedziała:

– Dlaczego nie dają jej spoczywać w spokoju? – a pani Larson uzalała się, że zainteresowanie mediów nadeszło „w momencie, gdy sprawy zaczynały wracać do normy”.

Niemniej jednak takie relacje prasowe i telewizyjne wyczuliły nas na sygnały o grożącym niebezpieczeństwie i podświadomie zaczęliśmy szukać oznak zagrożenia. Czy córki Lisbonów miały rozszerzone źrenice? Czy nadużywały kropli do nosa? A może kropli do oczu? Czy straciły zainteresowanie dla zajęć szkolnych, sportu, hobby? Czy odsunęły się od swoich rówieśników? Czy zdarzały się im niczym nie usprawiedliwione wybuchy płaczu? Czy skarżyły się na bezsenność, bóle w klatce piersiowej, nieustanne zmęczenie? Pojawiły się broszury, drukowane białymi literami na ciemnozielonym tle i rozsyłane przez naszą lokalną Izbę Handlową.

– Uważaliśmy, że kolor zielony to kolor w miarę radosny – tłumaczył pan Babson, przewodniczący Izby. – Ponadto zieleń jest również dosyć poważna, dlatego zdecydowaliśmy się na ten kolor.

W broszurkach nie wspomiano o śmierci Cecylii, zagłębiano się natomiast w ogólne przyczyny samobójstw. Dowiedzieliśmy się z nich, że w Ameryce codziennie dochodziło do 80 samobójstw; 30 tysięcy rocznie, że co minutę miała miejsce udana lub nieudana próba samobójstwa, przy czym udane co osiemnaście minut, że samobójstwo popełniało od trzech do czterech razy więcej mężczyzn, natomiast trzy razy więcej kobiet podejmowało próby

samobójcze, że samobójstwa były powszechniejsze wśród białych niż wśród kolorowych, że wskaźnik samobójstw wśród osób młodych (15 – 24 lata) potroił się w czasie ostatnich czterech dziesięcioleci, że samobójstwa były drugą z kolei najczęstszą przyczyną śmierci licealistów, że 25 procent wszystkich samobójstw miało miejsce wśród osób z przedziału wiekowego 15 – 24 lata, ale że, wbrew naszym oczekiwaniom, najwyższy wskaźnik samobójstw przypadał na białych mężczyzn po pięćdziesiątce. Wiele osób mówiło potem, że członkowie prezydium lokalnej Izby Handlowej, pan Babson, pan Laurie, pan Peterson i pan Hocksteder, wykazali się ogromnym wyczuciem, przewidując negatywny wpływ, jaki samobójstwa mogą mieć na wizerunek naszego przedmieścia, jak również na późniejszy spadek działalności handlowej. W okresie plagi samobójstw, a także jakiś czas później, Izba Handlowa mniej martwiła się wzrastającą liczbą czarnych klientów, bardziej trapiąc się spadającą liczbą białych. Dzielni Murzyni już od lat wślizgiwali się do sklepów białych obywateli, aczkolwiek zazwyczaj były to kobiety, które wtapiały się w tłum naszych służących. Centrum miasta podupadło do tego stopnia, że większość Murzynów nie miała już gdzie pójść. Bynajmniej nie z własnego wyboru przechodzili obok naszych witryn, w których starannie ubrane manekiny prezentowały zielone spódniczki, różowe espadryle czy niebieskie torebki zamykane na złote klamery w kształcie całujących się żab. I chociaż zawsze bawiliśmy się w Indian, a nie w kowbojów, i uważaliśmy, że czarny Travis Williams jest najlepszym na pozycji kick-off returner, a Willie Horton najwspanialszym pałkarzem, jednak nie bardziej nas nie szokowało, niż widok czarnego robiącego zakupy na Kercheval. Bezwiednie zastanawialiśmy się, czy pewne „usprawnienia” w naszym miasteczku nie zostały wprowadzone, aby odstraszyć Murzynów. Na przykład stojący w witrynie sklepu z kostiumami duch miał okropnie szpiczasty kaptur na głowie, a restauracja, bez żadnych wyjaśnień, usunęła z menu smażone kurczaki. Nigdy jednak nie uzyskaliśmy pewności, czy takie działania były zaplanowane, ponieważ zaraz po pierwszym samobójstwie Izba Handlowa skupiła się na „kampanii o zdrowe społeczeństwo”. Pod przykrywką oświaty zdrowotnej Izba ustawiła w szkolnych salach gimnastycznych tablice, informujące o przeróżnych zagrożeniach, od raka odbyticy po cukrzycę. Wyznawcom Hare Krishna zezwolono na śpiewy z ogolonymi głowami i na darmowe rozdawanie słodkiego wegetariańskiego jedzenia. Tej nowej strategii towarzyszyły zielone broszury i sesje terapii rodzinnej, na których dzieci musiały wstawać i opowiadać o swoich koszmarach nocnych. Willie Kuntz, zabrany przez swoją matkę na jedno z takich spotkań, opowiadał:

– Nie chcieli mnie stamtąd puścić, dopóki nie zacznę płakać i mówić mojej mamie, że ją kocham. Więc to zrobiłem. Ale płkanie to udawałem. Wystarczy potrzebę oczy, aż zaczną boleć. To zazwyczaj działa.

Pomimo coraz większego zainteresowania, jakim darzono siostry Lisbon, jakoś udawało się im nie rzucać się w oczy w szkole. Z przelotnych spotkań z nimi pozostał nam dosyć ogólny obraz dziewcząt ostrożnie poruszających się razem po głównym korytarzu. Przechodziły pod wielkim szkolnym zegarem, którego czarny palec minutowej wskazówki wskazywał w dół, na ich miękkie głowy. Zawsze oczekiwaliśmy, że zegar w końcu na nie spadnie, ale nigdy do tego nie doszło i wkrótce dziewczęta były już bezpieczne, a ich spódniczki stawały się przejrzyste w świetle docierającym z dalekiego końca korytarza, ukazując rozwidlenie ich nóg. Jeśli jednak próbowaliśmy podążać za nimi, dziewczęta znikaly – i gdy zaglądaliśmy do klas, do których mogły wejść, widzieliśmy twarze wszystkich innych uczniów, ale nie siostr Lisbon, albo w jakiś dziwny sposób gubiliśmy ich trop i znajdowaliśmy się wśród młodszych klas, pośród nic nie znaczącego kłębowiska bazgrołów malowanych rękami. Zapach tempery nadal przypomina nam te beznadziejne pościgi. W korytarzach, sprzątanym w nocy przez samotnych woźnych, panowała cisza, a my podążaliśmy za strzałką, którą jakiś dzieciak ciągnął na ścianie ołówkiem przez piętnaście metrów, i przekonywaliśmy się nawzajem, że tym razem porozmawiamy z siostrami Lisbon i zapytamy, co je trapi. Czasami zdawało nam się, że kątem oka widzimy rozdartą podkolanówkę znikającą za zakrętem albo prawie wpadaliśmy na dziewczęta, jak zgięte w pół chowały książki do schowka, odrzucając włosy z oczu. Ale zawsze było tak samo: ich blade twarze przepływały przed nami jak na zwolnionym filmie, a my udawaliśmy, że wcale ich nie szukamy, że nawet nie wiemy o ich istnieniu.

Dysponujemy kilkoma dokumentami z tego okresu (dowody rzeczowe od nr 13 do 15) – notatki Therese z chemii, wypracowanie z historii o Simone Weil napisane przez Bonnie, częste fałszowane zwolnienia Lux z lekcji WF-u. Zawsze korzystała z tej samej metody, podrabiając sztywne litery *t* i *b* w podpisie matki i następnie, aby wyróżnić własny charakter pisma, pisząc poniżej własny podpis, Lux Lisbon, w którym dwie błagalnie wzniesione litery *L* łączą się ze sobą nad zagłębieniem litery *u* i kolczastą *x*. Julie Winthrop, która również opuszczała lekcje WF-u, spędziła wiele godzin siedząc z Lux w szatni dziewcząt.

– Często wlażyliśmy na szafki i tam paliliśmy – opowiadała nam. – Z dołu nie było nas widać, a jeśli przychodził jakiś nauczyciel, nie mógł rozpoznać, skąd dochodził dym. Z reguły

myśleli, że palacz już sobie poszedł.

Zgodnie z tym, co powiedziała Julie Winthrop, były z Lux jedynie koleżankami „od szluga” i niewiele rozmawiały na szafkach, zbyt zajęte wdychaniem dymu albo nasłuchiowaniem, czy ktoś nie nadchodzi. Powiedziała jednak, że Lux zachowywała się ze sztuczną oschłością, która mogła być reakcją na ból.

– Wciąż powtarzała: „Pieprzę szkołę” albo „Nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wyrwę”. Ale tak mówiła większość uczniów.

Jednak raz, po wypaleniu papierosów, Julie zeskoczyła z szafki i zaczęła zbierać się do wyjścia. Kiedy Lux nie podążała za nią, Julie ją zawołała.

– Ciągle nie odpowiadała, więc wróciłam się i zajrzałam na szafki. Nadal tam leżała, obejmując się obiema rękami. Nie wydawała żadnego dźwięku. Tylko trzęsa się, jakby jej było bardzo zimno.

Wspomnienia naszych nauczycieli o tych dziewczętach z tego okresu różnią się, w zależności od przedmiotu, jakiego uczyli. Pan Nillis powiedział o Bonnie:

– Uczyłem ją algebry. Prawdę mówiąc, to zbyt nie kochaliśmy. A señor Lorca powiedział o Therese:

– Wielka dziewczyna! Mniejsze są szczęśliwsze, myślę, tak to już jest w świecie i w męskich sercach.

Podobno, chociaż nie miała daru do języków, Therese mówiła z dosyć dobrym kastylijskim akcentem i miała duże zdolności do zapamiętywania słówek.

– Potrafiła mówić po hiszpańsku – powiedział señor Lorca – ale nie *czuła* tego języka.

W swojej pisemnej odpowiedzi na nasze pytania (potrzebowała czasu, aby „wszystko przemyśleć i rozważyć”), panna Arndt, nauczycielka plastyki, napisała: „Akwarele Mary charakteryzowało coś, co z braku lepszego słowa określe jako „żałobny nastrój”. Ale z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że są tylko dwa rodzaje dzieci: głupie (fowistyczne kwiatki, psy i żaglówki) oraz inteligentne (gwasze o tematyce upadku miasta, ponure abstrakcje) – podobne zresztą do moich własnych obrazów; malowanych na uniwersytecie i podczas tych trzech ekscytujących lat w „Village”. Czy mogłam przewidzieć, że popełni samobójstwo? Z żalem muszę przyznać, że nie. Przynajmniej dziesięć procent moich uczniów miało wrodzone skłonności modernistyczne. Mogę postawić pytanie – czy tępota jest darem? inteligencja przekleństwem? Mam czterdzieści siedem lat i mieszkam samotnie.”

Dzień po dniu siostry usuwały się poza margines towarzystwa. W związku z tym, że trzymały się razem, innym dziewczynom trudno było rozmawiać czy przechadzać się z nimi i wiele zakładało, że one po prostu chcą, aby zostawić je w spokoju. A im bardziej zostawiano je w spokoju, tym bardziej one się odsuwały. Sheila Davis opowiadała, jak była na zajęciach z angielskiego wspólnie z Bonnie Lisbon:

– Omawialiśmy książkę *Portret damy*. Naszym zadaniem było przygotować charakterystykę postaci Ralpa. Na początku Bonnie niewiele mówiła. Ale po chwili przypomniała nam, że Ralph zawsze trzymał ręce w kieszeniach. A potem ja się głupio odezwałam: „To jest takie smutne, gdy on umiera”. Nawet się nie zastanawiałam. Grace Hilton szturchnęła mnie łokciem i zrobiłam się czerwona ze wstydu. Zapadła całkowita cisza.

Z pomysłem Dnia Żałoby wystąpiła pani Woodhouse, żona dyrektora szkoły. Na uczelni specjalizowała się w psychologii i obecnie, dwa razy w tygodniu, pracowała społecznie przy programie edukacji Przedszkolnej „Head Start” w zubożałej części śródmieścia.

– W gazetach ciągle pisali o samobójstwie, ale czy wiecie, że my w szkole przez cały ten rok ani razu o tym nie wspomnieliśmy? – powiedziała nam prawie dwadzieścia lat później. – Chciałam, żeby Dick poruszył ten temat podczas rozpoczęcia roku szkolnego, ale był odmiennego zdania i musiałam poczekać. Ale powolutku, wraz z coraz większym nagłośnieniem sprawy, zaczął się przychylić do mojego zdania.

I faktycznie, pan Woodhouse poruszył ten temat, chociaż nie wprost, podczas swego powitalnego przemówienia na rozpoczęcie roku szkolnego. Po przedstawieniu nowych nauczycieli, powiedział: „Dla niektórych z nas, zebranych tutaj, było to długie, ciężkie lato. Ale dziś zaczyna się nowy rok nadziei i celów”.

Pani Woodhouse podzieliła się swoim pomysłem z kilkoma kierownikami wydziałów podczas obiadu w skromnym parterowym domku typu ranczo, jaki przydzielono jej mężowi w związku z zajmowanym stanowiskiem, a w następnym tygodniu przedstawiła ten plan na zebraniu wszystkich nauczycieli. Pan Pulff, który wkrótce potem odszedł ze szkoły i zajął się pracą w reklamie, wspomina kilka słów wypowiedzianych tego dnia przez panią Woodhouse:

– „Rozpacz jest czymś naturalnym”, powiedziała. „A umiejętność radzenia sobie z nią jest kwestią wyboru.” Pamiętam to, ponieważ użyłem tego sformułowania przy reklamie produktów dietetycznych: „Jedzenie jest czymś naturalnym. Przybieranie na wadze jest twoim wyborem.” Być może widzieliście ją.

Pan Pulff głosował przeciw organizowaniu Dnia Żałoby, ale był w mniejszości. Ustalono datę.

Większość osób pamięta Dzień Żałoby jako święto o niezbyt jasnym przesłaniu. Odwołano pierwsze trzy lekcje, a nam kazano siedzieć w naszych klasach. Nauczyciele rozdali uczniom powielone materiały, stosowne do tematyki tego dnia, która nigdy jednak nie została oficjalnie ogłoszona, ponieważ pani Woodhouse uważała za niestosowne, aby wyróżniać tragedię dziewcząt. Dlatego też sama tragedia była rozproszona i zuniwersalizowana. Jak to określił Kevin Tiggs, „wyglądało na to, że powinno być nam przykro za wszystko, co się wydarzyło kiedykolwiek, ale to kiedykolwiek.” Nauczyciele mieli swobodę w wyborze materiału, jaki chcieli zaprezentować. Pan Hedlie, nauczyciel angielskiego, który do szkoły dojeżdżał na rowerze i spinał mankiety spodni metalowymi klamerkami, rozdał zbiór poezji wiktoriańskiej poetki Christiny Rossetti. Deborah Ferentell pamiętała kilka wersów z wiersza pod tytułem „Spoczynek”:

*Ziemi, złóż swój ciężar na jej oczach,
Złóż pieczęć na jej słodkich oczach, utrudzonych patrzeniem,
Otuł ją szczelnie, nie dopuść gromkiego śmiechu,
Radości, nie dopuść cichych westchnień.
Ona nie ma pytań, ona nie ma odpowiedzi.*

Wielebny Pike mówił o chrześcijańskim przesłaniu śmierci i zmartwychwstania, wspominając własną, rozdzierającą serce stratę, gdy drużynie futbolowej z jego uczelni nie udało się zdobyć mistrzowskiego tytułu. Pan Tonover, który uczył chemii i wciąż jeszcze mieszkał ze swoją matką, tego dnia nie znajdował odpowiednich słów i pozwolił swoim uczniom prażyć cukierki z orzeszkami ziemnymi nad palnikiem bunsenowskim. Uczniowie innych klas, podzieleni na grupy, mieli za zadanie wyobrazić sobie, że są konstrukcjami budowlanymi.

– Wyobraź sobie, że jesteś budowlą – mówiła osoba prowadząca – i opisz nam swój wygląd.

Musieli bardzo dokładnie opisywać konstrukcje, a potem wprowadzać ulepszenia. Siostry Lisbon, osamotnione w różnych klasach, albo odmówiły udziału w zabawie, albo pytały, czy mogą wyjść do toalety. Nauczyciele nie zmuszali ich do uczestnictwa w zabawie i skończyło się na tym, że całe uzdrawianie zostało wykonane przez tych z nas, którzy nie odnieśli żadnych ran. W południe Becky Talbridge widziała wszystkie córki Lisbonów w toalecie dla dziewcząt w skrzydle naukowym.

– Po prostu przyniosły sobie krzesła z korytarza i siedziały tam, czekając, aż się wszystko skończy. Mary poleciało oczko w nylonach – czy możecie to sobie wyobrazić, że Mary nosiła nylony? – i łąpała je lakierem do paznokci. Jej siostry patrzyły na nią od czasu do czasu, ale wyglądały na wyraźnie znudzone. Weszłam do kabiny, ale wciąż wyczuwałam ich obecność i nie mogłam, no wiecie, załatwić się.

Pani Lisbon nigdy nie dowiedziała się o Dniu Żałoby. Ani jej mąż, ani córki nie wspomnieli o tym po powrocie tego dnia do domu.

Oczywiście, pan Lisbon był obecny na zebraniu nauczycieli, gdy pani Woodhouse wystąpiła ze swoją propozycją, ale brak jest zgodności w relacjach o jego reakcji na ten pomysł. Pan Rodriguez pamięta, że „kiwał głową, ale nic nie mówił”, natomiast panna Shuttleworth wspomina, że wyszedł z zebrania zaraz na początku i już nie wrócił.

– Nawet nie usłyszał o Dniu Żałoby. Wyszedł w rozterce i w zimowym płaszczu – powiedziała, jak dawniej odpytując nas z figur retorycznych (w tym przypadku była to zeugma), które musieliśmy rozpoznać, zanim mogliśmy się oddalić.

Gdy panna Shuttleworth przysłała na spotkanie z nami, wstaliśmy z szacunkiem, kiedy wchodziła, tak jak zawsze robiliśmy to w szkole, i chociaż już osiągnęliśmy wiek średni, a niektórzy z nas łysieli, nadal zwracała się do nas mówiąc „dzieci”, zupełnie jak w jej klasie, tak dawno temu. Na jej biurku nadal stało gipsowe popiersie Cyncerona i imitacja greckiej umy, jaką daliśmy jej na zakończenie szkoły, a także wciąż otaczała ją aura upudrowanej, niezamężnej, wszechstronnie uzdolnionej kobiety.

– Nie sądzę, aby pan Lisbon wiedział o tym *Dies Lacrimarum*, nim obchody się na dobre rozpoczęły. Przechodziłam obok jego klasy podczas drugiej lekcji i widziałam, jak siedział przy tablicy w swoim krześle, prowadząc lekcję. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek miał tyle odwagi, aby zapoznać go z planem zajęć na ten dzień.

I faktycznie, gdy po latach rozmawialiśmy z nim, pan Lisbon miał jedynie mgliste wspomnienie Dnia Żałoby:

– To już tyle lat minęło – powiedział nam.

Przez dłuższy czas nie było powszechnej zgody co do skuteczności różnych prób zmierzenia się z tak poważnym tematem, jakim było samobójstwo Cecylii. Pani Woodhouse uważała, że Dzień Żałoby posłużył żywotnym celom, a wielu nauczycieli było zadowolonych, że w końcu przerwano ciszę otaczającą ten temat. Szkolna pani psycholog przychodziła do pracy raz w

tygodniu i korzystała z małego gabinetu higienistki. Każdy uczeń odczuwający potrzebę rozmowy mógł się z nią spotkać. Nigdy nie korzystaliśmy z jej usług, ale w każdy piątek zerkaliśmy, czy któraś z sióstr Lisbon nie przyjdzie na spotkanie. Panią psycholog była panna Lynn Kilsem, która rok później, po pozostałych samobójstwach, zniknęła bez słowa. Okazało się, że miała sfalszowany dyplom pracownika socjalnego i nikt tak naprawdę nie wie, czy rzeczywiście nazywała się Lynn Kilsem, kim była naprawdę, czy też dokąd się później udała. W każdym razie – właśnie ona jest jedną z kilku osób, których nie udało nam się odnaleźć i, jak na ironię, które być może mogłyby nam powiedzieć coś więcej. Bo wygląda na to, że dziewczęta regularnie chodziły na piątkowe spotkania z panną Kilsem, chociaż nigdy nie widzieliśmy ich w tej mizernie wyposażonej w sprzęt medyczny namiastce gabinetu pielęgniarskiego. Prowadzone przez pannę Kilsem akta pacjentów zginęły pięć lat później w pożarze gabinetu (usterka w ekspresie do kawy – stary kabel zasilania) i nie dysponujemy żadnymi konkretnymi informacjami o tych wizytach. Jednak Muffie Perry, której panna Kilsem pomagała jako psycholog sportowy, wspominała, że w gabinecie często widziała Lux lub Mary, a czasami również Therese i Bonnie. Samo znalezienie Muffie Perry sprawiło nam sporo kłopotu, w związku z różnymi plotkami o nazwisku, jakie miała rzekomo nosić po mężu. Niektórzy mówili, że teraz nazywa się Muffie Friewald, inni, że Muffie von Rechewicz, ale gdy w końcu udało się nam ją odnaleźć, pielęgnującą rzadkie orchidee, które jej babka przekazała ogrodowi botanicznemu na Belle Isle, powiedziała nam, że wciąż nazywa się Muffie Perry i kropka, tak jak w czasach, gdy odnosiła sukcesy w hokeju na trawie. W pierwszej chwili nie poznaliśmy jej, stojącej w otoczeniu winorośli i grubych pnączy, w mglistym powietrzu palmiarni, i gdy nawet udało się nam nakłonić ją, aby stanęła pod światłem lampy sztucznego wzrostu, zobaczyliśmy, że spuchła i pofałdowała się, że jej wspaniała sylwetka zawodniczki, tak często zdobywającej bramki, zgarbiła się, ale równocześnie zauważyliśmy, że zupełnie nie zmieniły się jej drobne zęby, które nadal były osadzone w ciasnych dziąsłach. Na nasze posępne wrażenie wpływ miał również upadek Belle Isle. Pamiętaliśmy delikatną wyspę w kształcie figi, wciśniętą między amerykańskie imperium a pokojową Kanadę, jak wyglądała przed laty, z jej powitalnymi czerwono-biało-niebieskimi klombami w kształcie flagi, tryskającymi fontannami, europejskim kasynem i konnymi ścieżkami prowadzącymi przez lasy, w których Indianie zginali drzewa w wielkie łuki. Teraz kępki trawy rosły na drodze do zaśmieconej plaży, na której dzieci wędkowały za pomocą przywiązanych do sznurka uchwytów z puszek. Farba odchodziła z niegdyś jasnych altan. Wodotryski z wodą do

picia stały w pełnych błota kałużach, zaśmieconych popękkanymi kawałkami cegieł ze schodów. Przy drodze granitowa ściana Pomnika Bohatera Wojny Secesyjnej została zamalowana sprayem na czarno. Pani Huntington Perry przekazała swoje konkursowe orchidee ogrodowi botanicznemu jeszcze przed zamieszkami, gdy publiczne fundusze wciąż były pokaźne, ale po jej śmierci spadająca podstawa opodatkowania wymusiła cięcia w budżecie, co z kolei powodowało, że co rok zwalniano jednego wykwalifikowanego ogrodnika, i rośliny, które przetrzymały transport z rejonów równikowych, aby ponownie zakwitnąć w tym fałszywym raj, obecnie więdły, pomiędzy szczegółowymi tabliczkami informacyjnymi wyrastały chwasty, a sztuczne słońce świeciło tylko przez kilka godzin dziennie. Jedyne, co pozostało z dawnych czasów, to para wodna, skraplająca się na pochyłych oknach palmiarni i wypełniająca nasze nozdrza wilgocią i zapachem gnijącego świata.

To właśnie niszczenie roślin ściągnęło Muffie Perry z powrotem. Storczyki cycnoches jej babki nieomal zupełnie powiędły od zarazy; pasożyty spustoszyły jej trzy wyjątkowe dendrobia, a kępa miniaturowych masdevallii o fioletowych, aksamitnych płatkach z czerwonymi jak krew obrzeżami, które pani Huntington Perry własnoręcznie wyhodowała przez starannie dobraną hybrydyzację, wyglądała jak bukiet tanich bratków. Jej wnuczka poświęcała swój wolny czas w nadziei na przywrócenie kwiatom ich wcześniejszej świetności, ale sama nam powiedziała, że to było beznadziejne zajęcie, zupełnie beznadziejne. Oczekiwano, że te rośliny będą rosnać w świetle lochów. Chuligani przeskakowali przez ogrodzenie z tyłu ogrodu i biegali po palmiarni, dla zabawy wrywając rośliny z ziemi. Muffie Perry zraniła jednego z wandalów rydlem. Trudno nam było odciągnąć jej uwagę od świata popękanych szyb, stert brudu, niezapłaconych biletów wstępu i szczurów gnieźdzących się wśród egipskiego sitowia. Jednak stopniowo, karmiąc drobne twarzyczki storczyków za pomocą kroplomierza do oczu wypełnionego substancją przypominającą mleko, opowiedziała nam, jak to dziewczyny pojawiały się na swoich spotkaniach z panną Kilsem:

– Na początku wyglądały na bardzo przygnębione. Mary miała strasznie podkrążone oczy. Jej twarz wyglądała jak maska.

Muffie Perry wciąż jeszcze pamiętała panujący w gabinecie zabobonny zapach środków antyseptycznych, który – jak jej się wtedy zdawało – był wonią żałoby dziewcząt. Gdy Muffie wchodziła do gabinetu, siostry właśnie zbierały się do wyjścia, ze spuszczonymi oczami i rozwiązanymi butami, ale zawsze pamiętały, aby poczęstować się miętową czekoladką z

naczynia, jakie pielęgniarka trzymała na stolczku przy drzwiach. Pozostawiały pannę Kilsem zupełnie wytrąconą z równowagi po ich wyznaniach. Często po ich wyjściu siadała przy biurku i zamykała oczy, kciukami przyciskając punkty akupresury, i nie odzywała się przez całą minutę.

– Zawsze miałam wrażenie, że siostry zwierzały się właśnie pannie Kilsem – powiedziała Muffie Peny. – Z niewiadomych przyczyn. Może dlatego potem się wyniosła.

Niezależnie od tego, czy dziewczyny zwierzały się pannie Kilsem, czy nie, wyglądało na to, że terapia jest skuteczna. Prawie natychmiast poprawiły się im nastroje. Przychodząc na swoją wizytę, Muffie Perry słyszała, jak się śmieją albo mówią coś w podnieceniu. Czasami okno było otwarte i, lekceważąc szkolne przepisy, Lux z panną Kilsem paliły papierosy albo dziewczęta objadały się słodyczami, rozrzucając na biurku pozwijane papierki.

My również zauważyliśmy zmiany. Dziewczęta nie wyglądały już na tak zmęczone. W klasie mniej patrzyły w okno, częściej podnosiły ręce, zaczęły się odzywać. Na chwałę zapomniały o ciężącym na nich piętnie i znowu brały udział w szkolnych zajęciach. Therese uczestniczyła w zebraniach koła naukowego, odbywających się w ponurej klasie pana Tonovera z ogniotrwałymi stołami i głębokimi, czarnymi zlewami. Mary dwa popołudnia w tygodniu pomagała pewnej rozwódce szyć kostiumy na szkolne przedstawienie. Bonnie pojawiła się nawet na spotkaniu towarzystwa chrześcijańskiego w domu Mike'a Firkina, który później został misjonarzem i zmarł na malarię w Tajlandii. Lux spróbowała dostać się do szkolnego musicalu, a ponieważ durzył się w niej Eugie Kent, a pan Oliphant, kierownik szkolnego teatru, leciał na Eugie Kenta, dostała małą rolę w chórze, gdzie śpiewała i tańczyła, jakby była znowu szczęśliwa. Eugie powiedział później, że pan Oliphant celowo trzymał Lux na scenie, gdy nie było na niej Eugie'go, aby ten nie mógł znaleźć jej w ciemnościach za kulisami i zawinąć się z nią w kurtynę. Oczywiście, cztery tygodnie później, po ostatecznym uwięzieniu dziewcząt, Lux musiała wycofać się z przedstawienia, ale osoby, które widziały przedstawienie wystawione na scenie, mówiły, że Eugie Kent śpiewał swoim zwykłym, ostrym, beznamiętnym głosem, bardziej zakochany w sobie niż w chórzystce, której nieobecności nikt nie zauważył.

Tymczasem nastąpiła już sroga jesień, zamykając niebo stalowym uchwytem. Planety w klasie pana Lisbona każdego dnia podnosiły się o kilka centymetrów i gdy spojrzano się w górę, jasne było, że ziemia odwróciła swoją błękitną twarz od słońca, że zmierzała swoją własną aleją w kosmosie, tam gdzie pajęczyny zbierały się w narożu sufitu, poza zasięgiem miotły woźnego. Gdy wilgotne powietrze lata stało się już tylko wspomnieniem, samo lato zaczęło stawać się

nierealne, aż zupełnie straciliśmy je z pola widzenia. Biedna Cecilia pojawiała się w naszej pamięci tylko od czasu do czasu, najczęściej gdy się budziliśmy albo gdy gapiliśmy się przez zalane deszczem okno samochodu jednego z rodziców dowożących kilkoro dzieci do szkoły – była zawsze w swojej sukni ślubnej, ubłoconej życiem pozagrobowym, ale w tym momencie nagle odzywał się klakson albo nasze radio z budzikiem włączało popularną piosenkę i gwałtownie powracaliśmy do rzeczywistości. Inni ludzie jeszcze łatwiej radzili sobie ze wspomnieniami o Cecylii. Gdy o niej mówili, to jedynie po to, aby stwierdzić, że od dawna spodziewali się, że Cecilia źle skończy i że nie postrzegali córek Lisbonów jak jednego gatunku, natomiast zawsze widzieli Cecylię jako wyizolowaną, jako wybryk natury. Pan Hillyer w następujących słowach podsumował panujące w tym okresie powszechne mniemanie:

– Te dziewczęta czeka świetlana przyszłość, natomiast tamtej od zawsze pisane było zwariować.

I tak, pomalutku, ludzie zaprzestawali rozmów na temat tajemnicy samobójstwa Cecylii, woleli traktować to jak coś nieuniknionego, albo jak coś, o czym należy zapomnieć. I chociaż pani Lisbon nadal wiodła swoje zagadkowe życie, z rzadka opuszczając dom i zamawiając artykuły spożywcze z dowozem do domu, nikt tego nie krytykował, a niektórzy nawet jej współczuli.

– Najbardziej żał mi matki – powiedziała pani Hugene. – Ja bym nigdy nie mogła pozbyć się myśli, że może coś się dało zrobić.

Wyraźnie wzrosła natomiast ranga pozostałych przy życiu i cierpiących sióstr, podobnie jak po tragedii w rodzinie Kennedych. Znowu koleżanki siedziały obok nich w autobusie. Leslie Tompkins pożyczyła od Mary szczotkę, aby ułożyć swoje długie, rude włosy. Julie Winthrop paliła z Lux papierosy na szafkach i powiedziała, że epizod z drzeniem ciała Lux już się nie powtórzył. I tak, dzień po dniu, wyglądało, że dziewczęta zaczęły radzić sobie ze swoją tragedią.

To właśnie w tym okresie rekonwalescencji Trip Fontaine zdobył się na śmiałe posunięcie. Nie radząc się nikogo i nie wyznając swoich uczuć do Lux, Trip Fontaine wszedł do klasy pana Lisbona i stanął na baczność przed jego biurkiem. Pan Lisbon był sam i siedział w swoim obrotowym fotelu, gapiąc się bezmyślnie na wiszące nad jego głową planety. Młodzieńczy kosmyk włosów sterczał z jego siwej głowy.

– To czwarta lekcja, Trip – odezwał się zmęczonym głosem. – Z tobą spotykam się na piątej.

– Proszę pana, ja nie przyszedłem tu w związku z matematyką.

– Nie?

– Przyszedłem, aby powiedzieć panu, że moje zamiary względem pana córki są całkowicie uczciwe.

Brwi pana Lisbona podniosły się, ale wyraz jego twarzy pozostał niezmienny, jakby tego ranka już sześciu czy siedmiu chłopców złożyło taką samą deklarację.

– A jakież to mogą być zamiary? Trip trzasnął obcasami.

– Chciałbym zaprosić Lux na bal z okazji zjazdu absolwentów. W tym momencie pan Lisbon poprosił Tripa, żeby usiadł, i przez kilka minut wyjaśniał cierpliwym głosem, że wraz z żoną mają pewne zasady i że te zasady obowiązywały starsze córki, w związku z czym nie może ich zmieniać dla młodszych, a nawet gdyby chciał, to żona i tak mu na to nie pozwoli, cha, cha, cha, i chociaż nie miał nic przeciwko temu, aby Trip znowu przyszedł do nich pooglądać telewizję, jednak nie może – powtórzył – Trip nie może nigdzie wybrać się z Lux, zwłaszcza samochodem. Pan Lisbon mówił – jak opowiedział nam to Trip – z zaskakującym współczuciem, jakby on również odczuwał gorejący poniżej pasa ból dorastania. Widać było również, jak bardzo pan Lisbon pragnął mieć syna, ponieważ podczas swojej przemowy wstał i trzy razy klepnął Tripa solidnie po ramionach.

– Przykro mi, ale tak wychowujemy nasze córki – powiedział na koniec.

Trip Fontaine już widział zamykające się drzwi, ale zaraz potem ujrzał stojące na biurku pana Lisbona zdjęcie rodzinne. Przed diabelskim młynem stała Lux, trzymając w czerwonej pięści kandyzowane jabłko, na wypolerowanej powierzchni którego widać było odbicie dziecięcego tłuszczu pod jej podbródkiem. Spomiędzy jej rozchylonych, pokrytych cukrem warg wystawał ząb.

– A gdyby tak była nas cała grupa chłopaków? – powiedział Trip Fontaine. – I zabralibyśmy również pozostałe dziewczęta, wszystkie razem? I odprowadzilibyśmy je dokładnie o tej porze, o której państwo będziecie chcieli?

Trip Fontaine przedstawił swoją nową propozycję opanowanym głosem, choć ręce mu się trzęsły, a oczy zwilgotniały. Pan Lisbon patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

– Chłopcze, ty grasz w drużynie futbolowej?

– Tak, proszę pana.

– Na jakiej pozycji?

– Tackler w formacji ataku.

– Ja grałem kiedyś w obronie.

– To najważniejsza pozycja. Między obrońcą a linią punktową file ma już nikogo.

– Właśnie.

– Rzecz w tym, proszę pana, że będziemy grali mecz z okazji zjazdu absolwentów przeciwko Country Day, a potem będą tańce i cała zabawa, a wszyscy koledzy z drużyny idą z dziewczynami.

– Jesteś bardzo przystojny, młody człowieku. Jestem pewien, że dużo dziewcząt chciałoby z tobą pójść na bal.

– Ale mnie nie interesują inne dziewczęta, proszę pana – powiedział Trip Fontaine.

Pan Lisbon ponownie usiadł w swoim fotelu. Odetchnął głęboko. Spojrzał na zdjęcie swojej rodziny, na którym, wśród dziewczęcych twarzątek, widać było buzię marzycielsko uśmiechniętej dziewczynki, która już nie istniała.

– Porozmawiam o tym z ich matką – w końcu powiedział. – Zrobię, co w mojej mocy.

* * *

I w ten właśnie sposób kilku z nas przyszło zabrać dziewczęta na ich jedyne w życiu przyjęcie bez rodziców. Zaraz po wyjściu z klasy pana Lisbona, Trip Fontaine zabrał się za zbieranie swojej ekipy. Po południu, na treningu futbolu, podczas ćwiczeń biegowych, powiedział:

– Zapraszam Lux Lisbon na bal. Potrzebuję trzech facetów, którzy zabiorą pozostałe trzy siostry. Kto się zgłasza?

Biegając dwudziestometrowe odcinki, dysząc dla złapania tchu, ubrani w niewygodne ochraniacze i brudne sportowe skarpety, każdy z nas starał się przekonać Tripa Fontaine'a, że właśnie jego ma wybrać. Jerry Burden zaofiarował trzy darmowe jointy. Parkie Denton powiedział, że mogą wziąć cadillaca jego ojca. Każdy z nas coś powiedział. Buzz Romano, którego nazywaliśmy „Pytą” z powodu niesamowicie wyszkolonego zwierzątka, jakie pokazywał nam pod prysznicem, zakrył swój ochraniacz dłońmi i położył się w strefie końcowej boiska, jęcząc:

– Ja skonam! No, skonam! Trypek, musisz mnie wybrać! Ostatecznie wygrał Parkie Denton, z powodu cadillaca, Kevin Head, ponieważ pomagał Tripowi Fontaine podrasować jego

samochód, i Joe Hill Conley, ponieważ zdobył wszystkie szkolne nagrody, a to, jak miał nadzieję Trip, może zrobić dobre wrażenie na państwu Lisbon. Następnego dnia Trip przedstawił panu Lisbonowi listę kandydatów, a pod koniec tygodnia pan Lisbon ogłosił podjętą z żoną decyzję. Dziewczęta mogły iść pod następującymi warunkami: (1) pójdą wszystkie razem; (2) pójdą tylko na tańce i nigdzie indziej; (3) wrócą do domu o jedenastej. Pan Lisbon powiedział Tripowi, że absolutnie nie ma możliwości obejścia tych warunków.

– Sam będę jednym z opiekunów podczas balu – powiedział. Trudno jest nam powiedzieć, co ta randka znaczyła dla dziewcząt.

Gdy pan Lisbon udzielił im zezwolenia, Lux podbiegła do niego i objęła go mocno, całując go z nieskrępowanym uczuciem małej dziewczynki.

– Już od lat mnie tak nie całowała – powiedział.

Pozostałe dziewczęta nie wykazały aż tak dużego entuzjazmu. W tym momencie Therese i Mary grały w halnę, a Bonnie przyglądała się ich grze. Oderwały się od metalowej planszy z wgłębieniami tylko na chwilę i zapytały ojca, kim są pozostali chłopcy. Gdy im powiedział, Mary zapytała:

– Kto kogo zabiera?

– Oni nas po prostu rozlosują – powiedziała Therese i sześcioma szybkimi ruchami przeprowadziła pionka do swojej strefy.

Ich chłodną reakcję łatwo można wytłumaczyć tym, co działo się w przeszłości w ich rodzinie. Pani Lisbon już wcześniej organizowała grupowe randki wspólnie z innymi pobożnymi matkami z kościoła. Synowie Perkinsów wiosłowali, wioząc córki Lisbonów w pięciu aluminiowych kajakach po ciemnych wodach kanału na Belle Isle, a za nimi, w odpowiedniej odległości, rowerami wodnymi płynęli państwo Lisbon i państwo Perkins. Pani Lisbon uważała, że przez odpowiednio zaaranżowane zabawy na wolnym powietrzu można zaspokoić mroczne popędy młodzieży na randkach – miłość oczyszczona przez grę w strzałki na trawie. Kiedy wybraliśmy się ostatnio na przejażdżkę (bez specjalnego powodu, za wyjątkiem nudy i szarego nieba), zatrzymaliśmy się w Pensylwanii, gdzie podczas zakupu świec w sklepiku z nieociosanych bali dowiedzieliśmy się o pewnym popularnym wśród Amisów zwyczaju prowadzenia zalotów, polegającym na tym, że chłopak zabiera swoją przyszłą narzeczoną na przejażdżkę w czarnym powoziku, a jej rodzice podążają za nimi w swoim. Również pani Lisbon wierzyła, że amory należy trzymać pod kontrolą. Różnica polegała jednak na tym, że młody

Amisz później wraca w nocy i rzuca kamkami w okno dziewczyny (a wszyscy udają, że tego nie słyszą), natomiast w doktrynie pani Lisbon nie było miejsca na nocną amnestię. Jej kajaki nigdy nie płynęły do ognisk obozowych.

Dziewczęta mogły spodziewać się jedynie tego samego. A biorąc pod uwagę, że na balu miał być ich ojciec, perspektywy swobody były bardzo ograniczone. Już wystarczająco ciężko było mieć ojca nauczyciela, widzieć go dzień w dzień ubranego w jeden z jego trzech garniturów, zarabiającego na życie. W związku ze stanowiskiem ojca, córki Lisbonów otrzymywały edukację za darmo, ale Mary zwierzyła się raz Julie Ford, że czuła się przez to jak „przedmiot działalności charytatywnej”. A teraz miał patrolować parkiet taneczny, wspólnie z innymi ojcami, z których jedni zgodzili się na ochotnika, aby pełnić rolę przyzwoitki, a drudzy zostali do tego zmuszeni. Byli to z reguły najbardziej niezgrabni nauczyciele, którzy nie prowadzili zajęć sportowych, albo ci najbardziej nieporadni towarzysko, dla których taniec był sposobem na wypełnienie kolejnego samotnie spędzanego wieczoru. Zdawało się, że Lux nie zwraca na to uwagi, ponieważ przez cały czas myślała o Tripie Fontaine. Ponownie zaczęła wypisywać imię ukochanego na bieliźnie, tym razem używając tuszu rozpuszczalnego w wodzie, dzięki czemu mogła zmyć wszystkie „Tripy”, zanim jeszcze zobaczyła je matka (choć jego imię przez cały czas było widoczne na jej skórze.) Można przypuszczać, że zwierzyła się siostrze ze swego uczucia do Tripa, ale żadna dziewczyna w szkole nigdy nie słyszała, żeby wymawiała jego imię. Trip i Lux siedzieli obok siebie podczas lunchu i czasami widzieliśmy ich, jak spacerują korytarzem w poszukiwaniu jakiegoś pomieszczenia, pojemnika albo kanału grzewczego, w którym mogliby się schować, ale nawet w szkole pan Lisbon był w pobliżu i po zatoczeniu kilku coraz wolniejszych kólek, przechodzili obok stołówek i szli w górę pokrytą linoleum pochylnią prowadzącą do klasy pana Lisbona, a potem, przelotnie zetknąwszy dłonie, rozchodzili się każde w swoją stronę.

Pozostałe dziewczyny prawie nie znały swoich kawalerów.

– Nikt ich nawet na bal nie zaprosił– powiedziała Mary Peters. – To było jak małżeństwo skojarzone przez rodziców czy coś takiego. Po prostu okropne.

Nie protestowały jednak przeciw tej randce, aby sprawić przyjemność Lux, aby samym sobie sprawić przyjemność albo, po prostu, aby przerwać monotonię kolejnego piątkowego wieczoru. Gdy rozmawialiśmy po latach z panią Lisbon, powiedziała nam, że nie miała żadnych wyrzutów sumienia odnośnie tej randki i na poparcie swojego twierdzenia wspomniała o sukienkach, jakie uszyła specjalnie na ten wieczór. Rzeczywiście, na tydzień przed balem zabrała dziewczyny do

sklepu z materiałami. Chodziły między stojakami z wzorami, na których znajdowały się narysowane na bibułce rysunki wymarzonej sukni, ale w praktyce nie miało żadnego znaczenia, jaki wzór wybrały córki. Pani Lisbon dodała po parę centymetrów w biuście, kilka centymetrów w talii i na długości i w efekcie wszystkie cztery sukienki wyglądały jak identyczne, bezkształtne worki.

Pozostało nam z tego wieczoru zdjęcie (dowód rzeczowy nr 10). Dziewczęta stoją w szeregu ubrane w swoje sukienki, ramię przy ramieniu, jak pierwsze osadniczki w drodze na Zachód. Ich sztywne fryzury (a raczej „szopy”, jak to określiła kosmetyczka Tessie Nepi) charakteryzowały się stoicka arogancja europejskiej mody, niebacznej na dzicz. Również sukienki wyglądały jak wzięte prosto z pogranicza, z wykończonymi koronka karczkami i prawie bez dekolców. Na tym zdjęciu widać je takimi, jakimi je znaleźliśmy jakimi wciąż je poznajemy: filuterna Bonnie, cofająca się przed błyskiem flesza, Therese, której mózgowca zamyka podejrzliwe szparki oczu, Mary, przyzwoita i upozowana, oraz Lux, patrząca gdzieś w przestrzeń ponad aparatem. Tego wieczoru padało, dokładnie nad jej głową sufit zaczął przeciekać i ciężka kropla spadła na jej policzek na sekundę przed tym, jak pan Lisbon powiedział:

– Uśmiech proszę.

Chociaż fotografii daleko do ideału (z lewej strony dociera rozpraszające światło), jednak dobrze oddaje dumę atrakcyjnych latorośli i pełen napięcia obrzęd przekraczania życiowego progu. W twarzach dziewcząt widać żar oczekiwania. Trzymając jedna drugą i wciągając się nawzajem w kadr, wyglądają, jakby przygotowały się na jakieś odkrycie czy zmianę w życiu. Zmianę życia. Tak przynajmniej my to postrzegamy. Prosimy nie dotykać dowodów. Teraz włożymy zdjęcie z powrotem do koperty.

Po zrobieniu tego portretu dziewczęta, każda na swój sposób, oczekiwały na chłopców. Bonnie i Therese zasiadły do gry w karty, natomiast Mary stała nieruchomo na środku salonu, starając się nie pognieść sukienki. Lux otworzyła główne drzwi i chwiejnym krokiem wyszła na werandę. W pierwszej chwili myśleliśmy, że zwicnęła kostkę, ale zobaczyliśmy, że założyła buty na wysokim obcasie. Przechadzała się tam i z powrotem, ćwicząc chodzenie, dopóki na końcu ulicy nie pojawił się samochód Parkie Dentona. Wtedy odwróciła się, zadzwoniła do własnych drzwi, aby ostrzec siostry, i ponownie zniknęła we wnętrzu domu.

Pozostawieni sami sobie, patrzyliśmy na nadjeżdżających chłopców. Żółty cadillac Parkie Dentona sunął ulicą, a w środku chłopcy unosili się zawieszeni w wewnętrznej atmosferze

samochodu. Chociaż padał deszcz i pracowały wycieraczki, wewnątrz samochodu wypełniał ciepły blask. Gdy mijali dom Joe Larsona, chłopcy pozdrowili nas podniesionymi kciukami.

Pierwszy wysiadł Trip Fontaine. Miał podciągnięte rękawy marynarki, jak podejrział u modeli w czasopismach o modzie, które czytywał jego ojciec. Pod szyją miał zawiązany wąski krawat. Parkie Denton miał na sobie niebieską marynarkę, podobnie jak Kevin Head, a na końcu z tylnego siedzenia samochodu wyskoczył Joe Hill Conley, ubrany w za dużą tweedową marynarkę, należącą do jego ojca, nauczyciela i komunisty. W tym momencie chłopcy zawahali się, zgrupowani wokół samochodu i obojętni na padający deszcz, aż w końcu Trip Fontaine ruszył chodnikiem prowadzącym do domu. Straciliśmy ich z oczu przy drzwiach, ale opowiadali nam, że początek randki wyglądał tak, jak zawsze. Dziewczyny poszły na górę, udając, że jeszcze nie są gotowe, a pan Lisbon wprowadził chłopców do salonu.

– Dziewczęta zaraz zejdą – powiedział, patrząc na zegarek. – Jezu. Ja chyba też muszę się pospieszyć.

Pani Lisbon podeszła do przejścia. Trzymała dłonie przy skroniach, jakby bolała ją głowa, ale na jej twarzy malował się uprzejmy uśmiech:

– Dzień dobry, chłopcy.

– Dzień dobry, pani Lisbon – odpowiedzieli chórem.

Biło od niej jakieś sztywne przekonanie o swojej nieomyślności, jak powiedział później Joe Hill Conley, jak od osoby, która właśnie wyszła z drugiego pokoju, w którym płakała. Mógł wyczuć (oczywiście Joe Hill Conley opowiadał nam to po wielu latach, gdy twierdził, że jest w stanie korzystać z energii swoich czakr, kiedy tylko chce) starożytny ból wydobywający się z pani Lisbon, całą sumę żalu jej ludu.

– Pochodziła ze smutnej rasy – powiedział. – To nie była tylko kwestia Cecylii. Ten smutek zaczął się dużo wcześniej. Jeszcze przed przybyciem do Ameryki. To istniało również w dziewczętach.

Nigdy wcześniej nie zauważył jej okularów dwuogniskowych.

– Przecinały jej oczy na pół.

– Który z was prowadzi? – zapytała pani Lisbon

– Ja – odpowiedział Parkie Denton.

– Od kiedy masz prawo jazdy?

– Od dwóch miesięcy. Ale już przez cały rok przedtem jeździłem z opiekunem.

– Nie lubimy, jak dziewczęta jeżdżą samochodami. Teraz jest tyle wypadków. Pada deszcz i droga na pewno będzie śliska. Mam nadzieję, że będziecie ostrożni.

– Oczywiście.

– No, dobra – powiedział pan Lisbon. – Koniec przesłuchania. Dziewczynki! – zawołał w kierunku sufitu – Muszę już iść. Do zobaczenia na tańcach, chłopcy.

– Do zobaczenia, panie Lisbon.

Wyszedł z domu, zostawiając chłopców ze swoją żoną. Nie patrzyła im w oczy, ale lustrowała ich twarze, jak siostra oddziałowa sprawdzająca karty pacjentów. Następnie podeszła do schodów i spojrzała w górę. Nawet Joe Hill Conley nie potrafił odgadnąć, o czym myślała. Być może o Cecilii, wchodzącej po tych samych schodach cztery miesiące wcześniej. A może o schodach, po których sama schodziła, idąc na swoją pierwszą randkę. O dźwiękach, jakie tylko matki są w stanie usłyszeć. Żaden z chłopców nie pamiętał pani Lisbon tak nieobecnej. Jakby nagle zupełnie zapomniała o tym, że oni tam byli. Dotknęła skroni (to jednak był ból głowy).

W końcu dziewczęta pojawiły się u szczytu schodów. Panował tam półmrok (trzy z dwunastu żarówek w żyrandolu były przepalone) i schodziły trzymając się lekko poręczy. Ich luźne sukienki skojarzyły się Kevinowi Headowi z sukniami dziewcząt z chóru w kościele.

– Jednak chyba one tego nie widziały. Wydaje mi się, że podobały im się te sukienki. A może tak cieszyły się z tego wyjścia, że nie przejmowały się strojem. Ja też na to nie zwracałem uwagi. Wyglądały świetnie.

Dopiero gdy dziewczęta zeszły na dół, chłopcy zdali sobie sprawę, że jeszcze się nimi nie podzielili. Oczywiście było, że Trip Fontaine zarezerwował sobie Lux, ale pozostałe trzy były do wzięcia. Na szczęście, dzięki identycznym sukienkom i fryzynom, praktycznie nie różniły się od siebie. Znowu chłopcy nie byli pewni, która jest która. Zamiast zapytać, zrobili jedyną rzecz, o jakiej mogli pomyśleć w tym momencie – wyjęli bukietki kwiatów.

– Wybraliśmy białe – powiedział Trip Fontaine. – Nie wiedzieliśmy, w jakie kolory będziecie ubrane. W kwaciarni powiedzieli, że biały pasuje do wszystkiego.

– Cieszę się, że wybraliście białe – odpowiedziała Lux. Wyciągnęła rękę i wzięła bukiet, umieszczony w małym, plastikowym pojemniku.

– Woleliśmy nie brać tych przypinanych do ręki – odezwał się Parkie Denton. – One zawsze odpadają.

– Tak, są beznadziejne – powiedziała Mary.

Nikt już nic więcej nie powiedział. Nikt się nie ruszył. Lux przyglądała się swoim kwiatom zamkniętym w kapsule czasu. W tle odezwał się głos pani Lisbon:

– Może chłopcy je wam przypną?

Na te słowa dziewczęta ruszyły do przodu, wstydliwie wypinając piersi. Chłopcy zaczęli szarpać się z kwiatami, wyjmując je delikatnie z pojemniczków, aby się nie pokłuć dekoracyjnymi szpilkami. Czuli na sobie wzrok pani Lisbon, a równocześnie bliskość dziewczyn, ich oddech i zapach perfum, których po raz pierwszy w życiu pozwolono im użyć. Chłopcy starali się nie ukłuć dziewczyn, ani nawet ich nie dotknąć. Delikatnie podnosili materiał z piersi dziewcząt i zawieszali białe kwiaty nad ich sercami. Dziewczyna, której dany chłopak przypiął kwiaty, automatycznie stawała się jego towarzyszką. Potem pożegnali się z panią Lisbon i wyszli z dziewczynami do cadillaca, trzymając nad ich głowami puste opakowania po kwiatkach, aby osłonić ich włosy przed deszczem.

Od tego momentu sprawy poszły lepiej niż się spodziewali. W domu każdy z chłopców wyobrażał sobie siostry Lisbon pośród szablonowej scenerii naszej zubożałej wyobraźni – hasające wśród morskiej piany albo w rozbawieniu uciekające po lodowisku i wymachujące nam przed twarzami pomponami z narciarskich czapeczek, jak dojrzałymi owocami. Jednak w samochodzie, siedząc obok rzeczywistych, żywych dziewczyn, chłopcy uzmysłowili sobie, jak ubogie były te wyobrażenia. Natychmiast odrzucili również przeciwne teorie – opinie o tym, że dziewczyny mają jakiś uraz psychiczny lub że są obłąkane. (Spotykana codziennie w windzie stara wariatka, gdy w końcu zdecydujemy się do niej odezwać, okazuje się być zupełnie przy zdrowych zmysłach.) Chłopcy doświadczyli właśnie tego typu objawienia.

– One w zasadzie nie różniły się od mojej siostry – powiedział Kevin Head.

Lux chciała usiąść z przodu, skarżąc się, że nigdy jej na to nie pozwalano. Wcisnęła się między Tripa Fontaine'a a Parkie Dentona.

Marie, Bonnie i Therese tłoczyły się na tylnym siedzeniu, przy czym Bonnie musiała siedzieć na środku. Joe Hill Conley i Kevin Head usiedli po bokach, przy tylnych drzwiach.

Nawet z tak bliskiej odległości dziewczyny nie wyglądały na przygnębione. Rozsiadły się na fotelach, nie zważając na ciasnotę. Mary na pół siedziała na kolanach Kevina Heada. Od razu zaczęły trajkotać. Mijając domy sąsiadów, zawsze miały coś do powiedzenia o mieszkających w każdym z nich rodzinach, a to oznaczało, że wypatrywały nas równie intensywnie, jak my zaglądaliśmy do nich. Dwa lata wcześniej widziały pana Tubbsa, kierownika średniego szczebla

w związku United Auto Workers, jak uderzył pięścią kobietę, która po niewielkiej stłuczce przyjechała za jego żoną aż do ich domu. Podejrzały, że Hessenowie byli kiedyś nazistami albo przynajmniej z nimi sympatyzowali. Nie cierpiały aluminiowego sidingu na domu Kriegerów. – Pan Belveder kontratakuje – powiedziała Therese, nawiązując do wieczornej reklamy i zamieszczonej w niej wypowiedzi prezesa spółki zajmującej się ulepszeniami w domu. Podobnie jak i my, dziewczęta miały własne wspomnienia związane z różnymi krzewami, drzewami, a nawet dachami garaży. Wspominały zamieszki na tle rasowym, gdy na końcu naszej ulicy pojawiły się czołgi, a w ogródkach za naszymi domami lądowali spadochroniarze z Gwardii Narodowej. W końcu były naszymi sąsiadkami.

Początkowo chłopcy nic nie mówili, zalani potokiem słów wypływających z ust sióstr Lisbon. Któż mógł wiedzieć, że tak dużo mówią, że mają tak wiele opinii, że rozcapierzonymi palcami wpijają się w obrazy świata? W okresach między naszymi przelotnymi spotkaniami z dziewczynami, one nieustannie żyły i rozwijały się w sposób dla nas niewyobrażalny, czytały wszystkie książki z ocenzurowanej biblioteczki rodzinnej. Ponadto, może z telewizji, może z obserwacji poczynionych w szkole, a może jeszcze w jakiś inny sposób, wiedziały, jak się zachowywać na randkach, jak podtrzymywać rozmowę czy jak wypełnić chwile niezręcznego milczenia. Brak doświadczenia w chodzeniu na randki można było rozpoznać jedynie po ich upiętych włosach, które wyglądały jak wyłazące na wierzch trociny albo kłębowisko kabli. Pani Lisbon nigdy nie udzielała córkom rad, jak mają dbać o siebie, i nie pozwalała im trzymać kobiecych czasopism w domu (miary dopełnił sondaż w Cosmopolitanie „Czy jesteś poliorgazmiczna?”). Widać było, że starały się, jak mogły.

Podczas jazdy Lux przez cały czas szukała w radiu swojej ulubionej piosenki:

– Można oszaleć – powiedziała. – Wiadomo, że gdzieś ją grają, ale trzeba ja znaleźć.

Parkie Denton jechał do Jefferson Avenue, obok domu Wainwrightów z zieloną tablicą pamiątkową i w kierunku posiadłości stojących nad jeziorem. Na trawnikach przed domami paliły się latarnie imitujące gazowe oświetlenie. Na każdym rogu stała czarna służąca, czekająca na autobus. Jechali wzdłuż skrzyżującego się jeziora, aż w końcu znaleźli się pod postrzępionym baldachimem wiązów w pobliżu szkoły.

– Poczekajcie chwilę – odezwała się Lux. – Przed wejściem chcę zapalić.

– Tato poczuje – powiedziała Bonnie z tylnego siedzenia.

– Nie, mam miętówki. – Potrząsnęła pudełeczkiem.

– Ubrania będą nam śmierdzieć.

– Powiemy mu, że ktoś palił w toalecie.

Parkie Denton opuścił szybę w przednich drzwiach, a Lux paliła papierosa. Nie spieszyła się, wypuszczając dym przez nos. W pewnym momencie wysunęła podbródek w stronę Tripa Fontaine'a, zaokrągliła wargi i, ukazując profil szympansa, wypuściła trzy idealne kółeczka z dymu.

– Nie może skończyć jako dziewica – powiedział Joe Hill Conley. Przechylił się przez oparcie przedniego siedzenia i palcem przebił jedno z kółeczek.

– Ohydne – powiedziała Therese.

– No, Conley – odezwał się Trip Fontaine. – Spowaźniałbyś trochę. W drodze na tańce pary się rozłączyły. Szpilka Bonnie utknęła w żwirze i dziewczyna musiała oprzeć się na Joe Hill Conleyu, aby wyjąć obcas. Trip Fontaine szedł razem z Lux, już teraz stanowili parę. Kevin Head wszedł z Therese, a Parkie Denton podał rękę Mary.

Słaby deszcz ustał na chwilę i spomiędzy chmur wyjrzały gwiazdy. Uwolniwszy obcas, Bonnie spojrzała w górę i zwróciła uwagę na niebo.

– Zawsze ten Wielki Wóz – odezwała się. – Jak się patrzy na te mapy nieba, to widać, że tam wszędzie są jakieś gwiazdy, ale jak spojrzysz w górę, to widać tylko Wielki Wóz.

– To przez te światła – powiedział Joe Hill Conley. – Światła z miasta.

– E tam – odrzekła Bonnie.

Dziewczęta z uśmiechem wchodziły do sali gimnastycznej, wśród błyszczących dyń i strachów na wróble udekorowanych barwami szkoły. Na temat balu komitet taneczny wybrał zniwa. Boisko do koszykówki pokrywała rozsypana słoma, a leżący na stole z ponczem jabłkowym róg obfitości wypływał guzowate tykwy. Pan Lisbon był już na miejscu, z zawiązanym na szyi pomarańczowym krawatem, zarezerwowanym na święta. Rozmawiał z panem Tonoverem, nauczycielem chemii. Nie dał po sobie poznać, że zauważył nadejście córek, ale być może ich po prostu nie widział. Oświetlenie boiska zostało przykryte pomarańczowymi filtrami z teatru, a na trybunach było zupełnie ciemno. Z tablicy wyników zwisała wypożyczona kula dyskotekowa, rozsiewając w całym pomieszczeniu cętki światła.

Do tego czasu wszyscy już przyszliśmy z naszymi dziewczynami i tańczyliśmy z nimi, jakbyśmy trzymali manekiny, patrząc znad ich szyfonowych ramion na siostry Lisbon. Widzieliśmy, jak wchodzi niepewnym krokiem w butach na wysokim obcasie. Z szeroko

otwartymi oczami rozglądały się po sali gimnastycznej i po chwili, zamieniwszy ze sobą kilka słów, zostawiły swoich partnerów i poszły na pierwszą ze swoich siedmiu wizyt w toalecie. Hopie Riggs stała przy umywalce, gdy weszły do środka.

– Widać było, że wstydzą się swoich sukienek – powiedziała. – Nic nie mówiły, ale to było widać. Tamtego wieczoru miałam na sobie suknię z aksamitną górą i spódnicą z tafty. Nadal się w nią mieszczę.

Z toalety musiały skorzystać tylko Mary i Bonnie, ale Lux i Therese wiernie dotrzymywały im towarzystwa, Lux patrzyła w lustro przez mgnienie, które wystarczyło dla potwierdzenia jej urody, natomiast Therese starała się lustra unikać.

– Nie ma papieru – odezwała się Mary z kabiny. – Rzućcie mi. Lux oderwała zwój papierowych ręczników z podajnika i rzuciła do kabiny.

– Pada śnieg – powiedziała Mary.

– Zachowywały się bardzo głośno – powiedziała nam Hopie Riggs. – Jakby były u siebie. Ale były miłe; gdy coś się przyczepiło do moich pleców, Therese mi to zdjęła.

Gdy zapytaliśmy, czy w zaciszu toalety siostry mówiły coś o swoich partnerach, Hopie odrzekła:

– Mary powiedziała, że cieszy się, że ten jej facet to nie jest zupełny palant. Ale to było wszystko. Wydaje mi się, że dla nich ważniejsze od chłopaków było samo przebywanie na tańcach. Ja czułam to samo. Byłam tam z tym kurduplem, Timem Carterem.

Gdy dziewczęta wyszły z toalety, na parkiecie zaczęło się już robić tłoczno od par wirujących po całej sali gimnastycznej. Kevin Head poprosił Therese do tańca i wkrótce zginęli w tłumie.

– Boże, byłem taki młody – powiedział po latach. – Tak przerażony. Podobnie jak ona. Wziąłem ją za rękę i oboje nie wiedzieliśmy, co robić. Czy spleść palce, czy nie. Ostatecznie spleśliśmy je. To pamiętam najlepiej. To splecenie rąk.

Parkie Denton doskonale pamięta wyszkolone ruchy Mary, jej wystudiowaną pozę.

– To ona prowadziła – opowiadał. – W jednej ręce trzymała zwiniętą chusteczkę higieniczną.

Podczas tańca prowadziła uprzejma konwersację, jak piękna młoda dama tańcząca walca z księciem w starym filmie. Trzymała się niewiarygodnie prosto, jak Audrey Hepburn, ubóstwiana przez kobiety, a prawie niezauważana przez mężczyzn. Wydawała się wiedzieć dokładnie, jaki wzór powinny rysować na parkiecie ich stopy i zawzięcie starała się go zrealizować.

– Zachowywała spokój na twarzy, ale wewnątrz była bardzo spięta – ciągnął Parkie Denton.

– Mięśnie na jej plecach były napięte jak struny fortepianu.

Kiedy puścili szybszy utwór, Mary tańczyła już gorzej.

– Jak staruszki na weselach, gdy próbują zatańczyć coś szybszego. Lux i Trip na początku nie tańczyli, zaczęli natomiast kręcić się po sali w poszukiwaniu miejsca, w którym mogliby być sami. Bonnie podążała za nimi.

– Więc ja szedłem za nią – powiedział Joe Hill Conley. – Udawała, że tylko się przechadza, ale kątem oka śledziła ruchy Lux.

Weszli z jednej strony tłumu tańczących, a wyszli z drugiej.

Przesuwali się pod ścianą po drugiej stronie sali, przeszli pod udekorowanym koszem do koszykówki i dotarli do trybun. W przerwie między piosenkami pan Durid, zastępca dyrektora do spraw uczniowskich, otworzył konkurs na królową i króla balu, i gdy wszyscy patrzyli na stojącą na stoliku z jablecznikiem szklaną urnę do głosowania, Trip Fontaine i Lux Lisbon wślizgnęli się za trybuny. Bonnie ruszyła w ślad za nimi.

– Jakby się bała zostać sama – powiedział Joe Hill Conley.

Chociaż go o to nie prosiła, poszedł za nią. Pod spodem, w pasmach światła przechodzącego przez szczeliny w trybunach, zobaczył Tripa Fontaine'a trzymającego butelkę przed twarzą Lux, tak aby mogła przeczytać etykietę.

– Czy ktoś widział, jak tu wchodziłaś? – Lux zapytała siostrę.

– Nie.

– A ciebie?

– Nie – odpowiedział Joe Hill Conley.

Nikt się nie odezwał. Uwaga wszystkich ponownie skupiła się na butelce, którą trzymał w rękach Trip Fontaine. Na jej powierzchni skrzyły się refleksy z kuli dyskotekowej, oświetlając rozpalony owoc na etykiecie.

– Brzoskwiniówka – tłumaczył Trip Fontaine, na pustyni, po latach, lecząc się z uzależnienia od tej i wszystkich innych używek. – Panienki to uwielbiają.

Kupił alkohol tego popołudnia, używając podrobionego dowodu tożsamości, i przez cały wieczór nosił butelkę pod podszewką marynarki. Teraz, obserwowany przez pozostałą trójkę, odkręcił zakrętkę i zaczął sączyć syrop przypominający nektar lub miód.

– Musisz tego posmakować z pocałunkiem – powiedział. Podniósł butelkę do ust Lux,

mówiąc:

– Nie połykaj.

Następnie, biorąc kolejny łyk, przysunął swoje usta do ust Lux w pocałunku zaprawionym brzoskwinia. W gardle jej zabulgotało od uwięzionej radości. Zaśmiała się, cienka strużka wódki popłynęła jej po brodzie, a Lux starała się złapać ją w podstawioną rękę ozdobioną pierścieniem na palcu, ale nagle oboje spowaźnieli, twarze przy lgnęły do siebie, a oni równocześnie połykali i całowali się. Gdy skończyli, Lux powiedziała:

– To jest naprawdę dobre.

Trip podał butelkę Joe Hill Conleyowi. Ten podniósł ją do ust Bonnie, ale ona odwróciła się:

– Nie chcę tego – powiedziała.

– Daj spokój – odezwał się Trip. – Tylko spróbuj.

– Nie bądź taka świętoszka – powiedziała Lux.

Widać było tylko wąski paseczek oczu Bonnie, które w srebrnej poświacie wypełniły się łzami. Joe Hill Conley podsunął butelkę nieco niżej, tam gdzie w ciemnościach znajdowały się jej usta. Jej wilgotne oczy rozszerzyły się. Policzki się wypełniły.

– Nie połykaj – poleciła Lux.

I wtedy Joe Hill Conley wlał zawartość swoich ust do ust Bonnie. Opowiadał nam, że w trakcie pocałunku trzymała zęby zaciśnięte, co skojarzyło mu się z uśmiechniętą czaszką. Wódka z brzoskwinii wędrowała tam i z powrotem między ich ustami, aż w końcu poczuł, że dziewczyna połyka ją i rozluźnia się. Po latach Joe Hill Conley przechwalał się, że potrafi określić emocjonalną naturę kobiety na podstawie smaku jej ust i utrzymywał, że nabrał tej przenikliwości tego właśnie wieczoru, pod trybunami z Bonnie. Mówił, że przez pocałunek potrafił wyczuć jej całą istotę, jakby jej dusza uciekała przez rozchylone wargi, jak wierzone w czasach renesansu. Najpierw poczuł tłusty krem do warg, potem przykry smak brukselki z jej ostatniego posiłku, a potem kurz straconych popołudni i sól kanałów łzowych. Smak brzoskwinii zanikał, a on kosztował soków z jej organów wewnętrznych, nieco zakwaszonych żalostí. Chwilami jej wargi robiły się dziwnie zimne i, zerkając spod przymrużonych powiek, widział, że całowała z oczami szeroko otwartymi z przerażenia. Potem butelka krążyła tam i z powrotem między jedną a drugą parą. Pytaliśmy chłopaków, czy prowadzili intymne rozmowy z dziewczynami, albo czy pytali je o Cecilię, ale zaprzeczyli.

– Nie chciałem popsuć czegoś, co się dobrze zapowiadało – powiedział Trip Fontaine.

A Joe Hill Conley stwierdził:

– Czasami się mówi, a czasami się milczy.

I chociaż poczuł tajemniczą głębię w ustach Bonnie, nie starał się jej spenetrować, bo nie chciał, aby dziewczyna przestała go całować.

Ujrzeliśmy dziewczyny jak wychodzą spod trybun, obciągając sukienki i ocierając usta. Lux poruszała się zgrabnie w rytm muzyki. To wtedy, w końcu, Trip Fontaine z nią zatańczył, a po latach powiedział nam, że jej workowata suknia tylko spotęgowała jego pożądanie. – Można było wyczuć, jaka była wiotka pod tymi zasłonami. To mnie rajcowało.

– W miarę jak mijał wieczór, dziewczęta przyzwyczajaly się do swoich sukienek i nauczyły się w nich poruszać. Lux wymyśliła sposób takiego wyginania pleców; aby sukienka opinała ją z przodu. Przechodziliśmy obok nich, gdy tylko nadarzała się okazja, dwadzieścia razy chodząc do toalety i wypijając dwadzieścia kieliszków jabłecznika. Próbowaliśmy brać chłopaków na spytki, aby móc pośrednio uczestniczyć w tej randce, lecz oni ani na chwilę nie odstępowali dziewczyn. Po zakończeniu głosowania na króla i królową balu, pan Durid wszedł na przenośną scenę i ogłosił nazwiska zwycięzców. Wszyscy wiedzieli, że królem i królową muszą zostać Trip Fontaine i Lux Lisbon i gdy ta para szła w kierunku sceny, brawo były nawet dziewczęta w sukienkach za sto dolarów. Potem zatańczyli, a za nimi my wszyscy ruszyliśmy do tańca, odbijając dziewczyny Headowi, Conleyowi i Dentonowi, abyśmy również mogli z nimi zatańczyć. Zanim udało się nam je przechwycić, miały już wypieki na twarzy, były wilgotne pod pachami i buchały żarem ze swych małych dekoltów. Trzymając je za spocone dłonie, obracaliśmy dziewczyny pod kulą z lusterkami. Gubiły się nam w swych obszernych sukienkach i ponownie je odnajdywaliśmy, przyciskaliśmy ich miękkie ciała i wdychaliśmy perfumy ich wysiłku. Kilku z nas nabrało na tyle odwagi, aby wsunąć nogi między ich nogi i przyciskać do nich agonię naszych zmysłów. W tych sukienkach siostry Lisbon znowu wyglądały identycznie, przepływające z rąk do rąk, uśmiechnięte, mówiące: dziękuję, dziękuję. Luźna nitka zaplątała się w zegarek Davida Starka i gdy Mary ją rozplątywała, zapytał:

– Dobrze się bawisz?

– W życiu tak się nie bawiłam – odpowiedziała.

Mówiła prawdę. Jeszcze nigdy siostry Lisbon nie wyglądały na tak radosne, nigdy tak łatwo nie nawiązywały znajomości, nie rozmawiały tak swobodnie. Po jednym z tańców, gdy Therese i Kevin Head stanęli w drzwiach, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, Therese zapytała:

- Dlaczego nas zaprosiliście?
- Co masz na myśli?
- Pytam, czy wam jest nas żal?
- Absolutnie nie.
- Kłamiesz.
- Uważam, że jesteś śliczna. To dlatego.
- Czy wyglądamy na takie wariatki, jak wszyscy sądzą?
- A kto tak myśli?

Nie odpowiedziała, tylko wystawiła rękę na zewnątrz, aby sprawdzić, czy pada.

– Cecilia była dziwaczką, ale my jesteśmy normalne. I po chwili:

– My po prostu chcemy żyć. Gdyby tylko dano nam możliwość. Później, w drodze do samochodu, Bonnie zatrzymała Joe Hill Conleya, aby jeszcze raz spojrzeć na gwiazdy. Całe niebo było zakryte chmurami. Gdy tak patrzyli w pochmurne niebo, zapytała go:

– Czy myślisz, że istnieje Bóg?

-Tak.

– Ja też.

Zrobiła się już dziesiąta trzydzieści i dziewczynom zostało tylko pół godziny na dotarcie do domu. Bal kończył się i z parkingu wyłonił się samochód pana Lisbona, kierując się w stronę domu. Kevin Head z Therese, Joe Hill Conley z Bonnie, Parkie Denton z Mary, wszyscy skupili się przy cadillacu, ale nigdzie nie było widać Lux i Tripa. Bonnie pobiegła z powrotem, aby sprawdzić w sali gimnastycznej, ale nigdzie ich nie było.

– Może pojechali do domu z waszym tatą – powiedział Parkie Denton.

– Wątpię – odrzekła Mary, patrząc na bok w ciemność i przebijając palcami po zmiądzonym bukieciku.

Dziewczęta zdjęły szpilki, aby im się szło wygodniej, i ruszyły na poszukiwania pośród zaparkowanych samochodów i w okolicach masztu, na którym flaga została opuszczona do połowy w dniu śmierci Cecylii, chociaż było to w lecie i nikt poza ogrodnikami tego nie zauważył. Dziewczęta, jeszcze chwilę temu tak szczęśliwe, ucichły i zapomniały o swoich kawalerach. Szły razem, rozdzielały się i ponownie schodziły. Przeszukały okolice teatru, poszły za skrzydło naukowe, a nawet na dziedziniec, na którym stała, ufundowana dla upamiętnienia Laury White, statuetka dziewczyny z brązu, w spódniczce pokrywającej się warstwą tlenków. Na

jej spawanych nadgarstkach widniały symbolicznie blizny, ale dziewczyny nie zwracały na to uwagi, nic też nie powiedziały po powrocie do samochodu o dziesiątej pięćdziesiąt. Wsiadły, aby je odwieziono do domu.

Powrotna jazda odbywała się w prawie absolutnej ciszy. Joe Hill Conley i Bonnie usiedli z tyłu, obok Kevina Heada i Therese. Samochód prowadził Parkie Denton, który później skarżył się, że przez to nie mógł podrywać Mary. Jednak Mary przez całą drogę do domu poprawiała sobie włosy, wpatrzona w lusterko umieszczone pod osłoną przeciwsłoneczną. Therese powiedziała do niej:

– Daj spokój. Mamy przewalone.

– Luxie ma przewalone. Nie my.

– Macie może miętówkę albo jakąś gumę? – zapytała Bonnie. Nikt nie miał, więc odwróciła się do Joe Hill Conleya. Przez chwilę przyglądała się mu badawczo, a potem palcami zaczesła mu włosy na lewą stronę.

– Tak jest lepiej – powiedziała.

Prawie dwadzieścia lat później, ta niewielka ilość włosów, jaka pozostała na jego głowie, nadal jest przedzielona przez niewidzialną rękę Bonnie.

Pod domem Lisbonów Joe Hill Conley po raz ostatni pocałował Bonnie, a ona nie oponowała. Therese nastawiła policzek Kevinowi Headowi. Przez zaparowane okna chłopcy obserwowali dom. Pan Lisbon już wrócił i w głównej sypialni świeciło się światło.

– Odprowadzimy was do drzwi – zaproponował Parkie Denton.

– Nie, nie odprowadzajcie – powiedziała Mary.

– Dlaczego nie?

– Bo nie. – Wysiadła, nie podając im nawet ręki na pożegnanie.

– Świetnie się bawiliśmy – powiedziała Therese z tyłu. Bonnie szepnęła do ucha Joe Hill Conleya:

– Zadzwońisz do mnie?

– Jasne.

Skrzypnęły otwierane drzwi samochodu. Dziewczęta wysiadły, poprawiły sukienki i weszły do domu.

Dwie godziny później wuj Tucker właśnie wychodził do garażu, aby przynieść sobie kolejny karton piwa z lodówki, gdy pod dom Lisbonów zajechała taksówka. Widział, jak wysiada z niej

Lux i jak sięga do torebki po pięciodolarowy banknot, jaki każdej z siostr wręczyła pani Lisbon przed ich wyjściem na bal. – Zawsze trzeba mieć na taksówkę – często powtarzała, chociaż tego wieczoru dziewczyny pierwszy raz mogły gdzieś wyjść i, co za tym idzie, potrzebować tych pieniędzy. Lux nie czekała na resztę. Podniosła sukienkę i ze wzrokiem utkwionym w ziemię ruszyła w kierunku domu. Z tyłu jej płaszcz widać było białą smugę. Otworzyły się główne drzwi i na werandę wyszedł pan Lisbon. Był bez marynarki, ale nadal miał założony pomarańczowy krawat. Zszedł po schodkach i spotkał się z Lux w połowie drogi. Lux zaczęła się tłumaczyć, gestykulując gwałtownie. Gdy pan Lisbon przerwał jej, opuściła głowę i niechętnie nią skinęła. Wuj Tucker nie potrafił przypomnieć sobie dokładnie, kiedy do tej sceny dołączyła pani Lisbon. Ale w pewnym momencie zdał sobie sprawę z płynącej w tle muzyki i, spojrzawszy na dom, zobaczył panią Lisbon stojącą w otwartych drzwiach. Miała na sobie szlafrok w szkocka kratę, a w ręku trzymała drinka. Z tyłu dochodziła muzyka, pełna rozbrzmiewających organów i seraficznych harf. Od południa, kiedy to zaczął popijać, wuj Tucker prawie już skończył swoją codzienną skrzynkę piwa. Rozplakał się, patrząc ze swojego garażu i słuchając tej muzyki wypełniającej całą ulicę.

– To była taka muzyka, jaką grają na pogrzebie – powiedział. Była to muzyka kościelna, wybrana z trzech albumów, jakich pani Lisbon lubiła na okrągło słuchać w niedzielę. O tej muzyce dowiedzieliśmy się z pamiętnika Cecylii („Niedziela rano. Mama znowu słucha tego gówna”), a po kilku miesiącach, gdy państwo Lisbon się wyprowadzali, znaleźliśmy te albumy wśród rupieci, jaki wystawili na chodniku. Były to – zgodnie z naszą listą dowodów rzeczowych – „Pieśni wiary”, w wykonaniu Tyrone’a Little i zespołu Wierni, „Wieczne Uniesienie”, w wykonaniu chóru baptystów z Toledo i „Śpiewając Twą chwałę”, w wykonaniu zespołu gospel z Grand Rapids. Na okładkach wszystkich płyt widać promienie światła przebijające się przez chmury. Nigdy nie udało się nam wysłuchać żadnej z tych płyt w całości. Taka muzykę często spotykamy przeszukując skalę w radiu, gdzieś między stacjami nadającymi muzykę z Motown a rock and rollem: światło przewodnie w świecie ciemności i absolutnie do dupy. Chóry śpiewające jasnymi głosami, gamy wznoszące się w kierunku harmonicznego crescendo, wszystko jak słodkie toffi zatykające nam uszy. Zawsze zastanawialiśmy się, kto słucha takiej muzyki i oczami wyobraźni widzieliśmy samotne wdowy w domach spokojnej starości albo rodziny pastorów, podające sobie talerze z szynką. Nigdy nie potrafiliśmy wyobrazić sobie tych nabożnych głosów przenikających przez deski w podłodze i uświęcających nisze, w których

siostry Lisbon klękały, aby pumeksem zdrapać zgrubienia skóry na wielkich palcach u stóp. Ojciec Moody słyszał tę muzykę kilka razy, gdy w niedzielne popołudnie przychodził na kawę.

– To nie było w moim guście – opowiedział nam później. – Mnie podobają się bardziej dostojne kompozycje. „Mesjasz” Haendla, „Requiem” Mozarta. To była w zasadzie taka muzyka, jeśli wolno mi tak powiedzieć, jakiej można się spodziewać w protestanckim domostwie.

Pani Lisbon stała w drzwiach, nieruchoma pośród rozbrzmiewającej muzyki. Pan Lisbon zagonił Lux do domu. Dziewczyna weszła po schodach i przeszła przez werandę, jednak matka nie wpuściła jej do środka. Pani Lisbon powiedziała coś, czego wuj Tucker nie dosłyszał. Lux otworzyła usta. Pani Lisbon nachyliła się do przodu, a jej twarz na chwilę znieruchomiła przed twarzą córki.

– Alkomat – jak nam wytłumaczył wuj Tucker.

Badanie trwało nie więcej niż pięć sekund, po czym pani Lisbon cofnęła się i zamachnęła się na Lux. Dziewczyna wzdygnęła się, ale cios nie padł. Pani Lisbon znieruchomiła z podniesioną ręką. Odwróciła się w kierunku ciemnej ulicy, jakby obserwowała ją setka oczu, a nie tylko dwoje oczu wuja Tuckera. Również pan Lisbon odwrócił się. Podobnie zrobiła Lux. Cała trójka stała wpatrzona w prawne zupełnie ciemną okolicę, gdzie słychać było tylko krople spadające z drzew ociekających po deszczu i delikatne brząkanie stygnących przez całą noc silników w samochodach śpiących w garażach i pod wiatami. Stali tak bez ruchu i po chwili ręka pani Lisbon opadła bezwładnie, a Lux wykorzystała okazję. Przebiegła obok matki i popędziła po schodach do swojego pokoju.

Dopiero po latach dowiedzieliśmy się, co się wydarzyło z Lux i Tripem Fontaine. Nawet wtedy, po upływie tak długiego czasu, Trip Fontaine opowiadał nam to nad wyraz niechętnie, uparcie twierdząc – zgodnie z tym, do czego upoważniał go program dwunastu kroków anonimowych alkoholików – że teraz jest innym człowiekiem. Po tańcu w roli króla i królowej balu Trip poprowadził Lux przez gromadę klaszczących ludzi do tych samych drzwi, w których wcześniej stali Therese i Kevin Head, aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Było nam gorąco po tańcu – powiedział. Lux nadal miała na głowie diadem Miss America, jaki założył jej pan Durid. Oboje mieli na piersiach założone królewskie wstęgi.

– Co teraz robimy? – zapytała Lux.

– Co chcemy.

– To znaczy, jako król i królowa. Czy mamy coś zrobić?

- To wszystko. Zatańczyliśmy. Mamy wstęgi. To trwa tylko przez dzisiejszy wieczór.
- Myślałam, że to jest na cały rok.
- No, w zasadzie tak. Ale nie musimy niczego robić. Lux przemyślała to.
- Chyba przestało padać – powiedziała.
- Wyjdźmy na dwór.
- Lepiej nie. Za chwilę będziemy musieli wracać.
- Będziemy pilnować samochodu. Nie odjadą bez nas.
- A mój tato? – zapytała Lux.

– Powiesz, że musiałaś schować koronę do szafki. Faktycznie przestało padać, ale gdy przechodzili przez ulicę i, trzymając się za ręce, szli przez rozmokłe boisko futbolowe, w powietrzu nadal unosiła się mgła.

– Spójrz na tę wydartą darń – odezwał się Trip Fontaine. – To tutaj wyróżnałem tego faceta. Zablockowałem go w pełnym pędzie.

Minęli linie oznaczające pięćdziesiąt, czterdzieści jardów, aż doszli do strefy końcowej, gdzie nikt ich nie mógł widzieć. Biały ślad, jaki później widział wuj Tucker na płaszczu Lux, pochodził z linii końcowej boiska, na której się położyła. Podczas miłosnego aktu po boisku przesuwali się światła samochodów, omiatających ich ciała i oświetlając bramki. W pewnym momencie Lux powiedziała:

– Ja zawsze wszystko spieprzę. Zawsze – i zaczęła łkać. Trip Fontaine powiedział nam niewiele więcej. Zapytaliśmy go, czy to on wsadził ją do taksówki, ale zaprzeczył.

– Poszedłem do domu na piechotę. Nie obchodziło mnie, jak ona wróci do domu. Po prostu poszedłem sobie.

A po chwili dodał:

– To niesamowite. Bo ja ją lubiłem. Naprawdę ją lubiłem. Tylko właśnie w tym momencie miałem jej dość.

Pozostali chłopcy resztę wieczoru spędzili na jeździe po naszej dzielnicy. Jechali obok Małego Klubu, Klubu Jachtowego i Klubu Myśliwskiego. Przejechali przez Village, gdzie wystawy z Halloween ustąpiły miejsca dekoracjom na Święto Dziękczynienia. O pierwszej trzydziści, nie mogąc przestać myśleć o dziewczynach, których obecność wciąż wypełniała samochód, postanowili jeszcze raz przejechać obok domu Lisbonów. Zatrzymali się na chwilę, bo Joe Hill Conley musiał wysikać się za drzewem, a potem pojechali przez Cadieux, mknąc

obok malutkich chatek, które niegdyś służyły za domki dla pracowników sezonowych. Minęli osiedle, gdzie w przeszłości stała jedna z najwspanialszych rezydencji naszego miasta, i gdzie teraz, w miejsce jej ozdobnych ogrodów, stały domy z czerwonej cegły, ze stylizowanymi na zabytkowe drzwiami i gigantycznymi garażami. Skręcili w Jefferson, minęli pomnik ku czci poległych w czasie wojny, potem czarne bramy posiadłości pozostających jeszcze w mieście milionerów i w milczeniu pojechali w stronę dziewczyn, które w końcu stały się dla nich rzeczywiste. Gdy zbliżali się do domu Lisbonów, zobaczyli światło palące się w oknie sypialni. Parkie Denton wystawił rękę w kierunku chłopców, aby przybili piątkę.

– Udało się! – powiedział. Jednak ich radość nie trwała długo. Bo jeszcze zanim samochód zatrzymał się, oni już wiedzieli, co się stało.

– Miałem przecucie, że te dziewczyny nie pójną już na żadną randkę – powiedział nam po latach Kevin Head.

– Ta stara suka znowu je zamknęła. Nawet nie pytajcie, skąd to wiedziałem. Po prostu wiedziałem i już.

Rolety w oknach opadły jak powieki, a zapuszczone klomby powodowały, że dom wyglądał na opuszczony. Jednak w oknie, w którym jarzyło się samotne światło, roleta zmarszczyła się. Jakaś dłoń odsunęła ją, ukazując gorejący, żółty fragment twarzy – Bonnie, Mary, Therese, a może nawet Lux – spoglądającej na ulicę. Parkie Denton nacisnął klakson, krótki, pełen nadziei sygnał, ale dokładnie w tym momencie, gdy dziewczyna przyłożyła dłoń do szyby, światło zgasło.

Rozdział czwarty

Kilka tygodni po tym, jak pani Lisbon, stosując nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, zamknęła dom na cztery spusty, zaczęto widywać Lux kochającą się na dachu.

Zaraz po balu pani Lisbon opuściła rolety na parterze. Mogliśmy zobaczyć tylko uwięzione w domu cienie dziewczyn, które pobudzały nasza wybujała wyobraźnię. Co więcej, wraz z przejściem jesieni w zimę, drzewa przed domem pochyliły się i zgęstniały, zakrywając dom, chociaż przecież brak liści powinien go odsłonić. Zdawało się, że nad dachem domu Lisbonów zawsze wisi chmura. Trudno było wyjaśnić to w oparciu o prawa natury czy nauki; jedynym wyjaśnieniem mogło być to, że dom stał się niewidoczny, ponieważ tego życzyła sobie pani Lisbon. Niebo pociemniało, za dnia nie docierało do nas światło i czuliśmy, że stale poruszamy się w beczasowym mroku, a kiedy chcieliśmy sprawdzić, która jest godzina, musieliśmy rozpoznawać smak w ustach, gdy się nam odbijało, rano smak pasty do zębów, po południu przesycony wołowiną w galarecie z posiłków w szkolnej stołówce.

Bez słowa wyjaśnienia dziewczęta zabrano ze szkoły. Po prostu nie pojawiły się pewnego ranka, a potem znowu następnego. Gdy pan Woodhouse zainteresował się tą sprawą, pan Lisbon zdawał się nie mieć pojęcia, że dziewcząt nie ma w szkole.

– Ciągle powtarzał: „Czy na pewno sprawdził pan z tyłu?”

Jerry Burden rozpracował szyfr do szafki Mary i zobaczył, że większość jej książek znajduje się na miejscu. – W szafce miała poprzyklepiane różne widokówki. Straszne dziwactwa. Kanapy i takie bzdety. – (W rzeczywistości były to kartki z muzeum, prezentujące biedermeierowskie krzesło i różową, perkalową sofę w stylu chippendale.) Na górnej półce leżał stos zeszytów, a na każdym widniała wypisana nazwa nowego, wspaniałego przedmiotu, którego nigdy nie miała się uczyć. Wewnątrz „Historii Ameryki”, pośród rozrzuconych notatek, Jerry Burden znalazł nabazgrany rysunek – dziewczynka z mysim ogonkiem, zgięta pod ciężarem ogromnego głazu. Widać wydęte policzki, a z zaokrąglonych ust wydobywa się para. Jeden z rozszerzających się obłoczków zawiera napis „Ciśnienie”, podkolorowany w ciemnych barwach.

Biorąc pod uwagę to, że Lux nie stawiała się o oznaczonej przez rodziców godzinie, wszyscy oczekiwali represji, ale chyba nikt nie spodziewał się, że środki będą tak drastyczne. Jednak gdy rozmawialiśmy z panią Lisbon po latach, ona utrzymywała, że ta decyzja w najmniejszym

stopniu nie miała charakteru karnego.

– W tym momencie chodzenie do szkoły tylko pogarszało sprawę – powiedziała. – Żadne inne dzieci nie odzywały się do moich córek. Tylko chłopcy, a sami wiecie, o co im chodziło. Dziewczęta potrzebowały czasu dla siebie. Matki wiedzą takie rzeczy. Uważałam, że łatwiej wrócą do zdrowia, jeśli zostaną w domu.

Nasza rozmowa z panią Lisbon trwała krótko. Spotkaliśmy się z nią w małym miasteczku, w którym obecnie mieszka, na dworcu autobusowym, ponieważ było to jedyne miejsce w miasteczku, gdzie podawano kawę. Kłykcie w jej rękach były czerwone, a dziąsła cofnęły się, obnażając zęby. Przeżyta tragedia bynajmniej nie spowodowała, że stała się bardziej przystępna, natomiast naznaczyła ją nieprzeniknionym piętnem osoby, która wycierpiała więcej, niż da się to wyrazić. Niemniej jednak to z nią najbardziej chcieliśmy porozmawiać, ponieważ czuliśmy, że właśnie ona, będąc matką dziewczyn, lepiej niż inni mogła zrozumieć, dlaczego odebrały sobie życie. Ale ona powiedziała:

– To jest właśnie przerażające. Nie wiem. Gdy tylko wydostaną się z ciebie na świat, dzieci stają się kimś zupełnie innym.

Kiedy zapytaliśmy, dlaczego nigdy nie skorzystała z proponowanych przez doktora Hornickera fachowych porad, pani Lisbon zdenerwowała się:

– Ten lekarz starał się zwalić całą winę na nas. Uważał, że to była wina Ronniego i moja.

W tym momencie na dworzec wjechał autobus i przez otwarte drzwi buchnął do poczekalni tlenek węgla, spowijając dymem ladę z leżącymi tam smażonymi pączkami. Pani Lisbon oświadczyła, że już musi iść.

Nie poprzestała jedynie na zabranii dzieci ze szkoły. W następną niedzielę, powróciwszy do domu z mszy, na której wysłuchała uduchowionego kazania, poleciła Lux zniszczyć jej wszystkie płyty z muzyką rockową. Pani Pitzenberger (która akurat odnawiała pokój w sąsiedztwie) słyszała ostrą kłótnię. – Natychmiast! – powtarzała pani Lisbon, a Lux starała się ją przekonać, rozmawiać z nią, aż w końcu wybuchła płaczem. Przez okno w korytarzu na piętrze pani Pitzenberger zobaczyła, jak Lux wchodzi ciężkim krokiem do swojego pokoju i wraca z zestawem skrzynek po brzoskwiniach. Skrzynki były ciężkie i Lux zepchnęła je po schodach w dół, jak sanki. – Wyglądało, jakby chciała je spuścić ze schodów. Ale gdy tylko któraś wymykała się spod kontroli, Lux natychmiast ją przytrzymała. – W salonie pani Lisbon rozpałała ogień w kominku i Lux, teraz już płacząc bezgłośnie, zaczęła wrzucać swoje płyty, jedna po drugiej, do

ognia. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, które albumy zostały potępione podczas tego autodafe, ale podobno Lux przy każdym albumie prosiła panią Lisbon o zmiłowanie. Wkrótce smród stał się nie do wytrzymania, a topiący się plastik zalewał ruszt kominka, i pani Lisbon poleciła Lux, aby ta przestała (pozostałe płyty wyrzuciła ze śmieciami). Ale Will Timber, który w tym czasie kupował napój winogronowy, powiedział, że palony plastik czuć było aż w sklepie z artykułami rozrywkowymi „U Pana Z” na Kercheval.

Przez następnych kilka tygodni prawie w ogóle nie widywaliśmy dziewczyn. Lux już nigdy nie rozmawiała z Tripem Fontaine, a Joe Hill Conley nie zadzwonił do Bonnie, choć obiecywał. Pani Lisbon zabrała córki do domu ich babci, aby zasięgnąć rady doświadczonej kobiety, która wszystko przeżyła i wszystko widziała. Gdy zadzwoniliśmy do niej do Roswell w Nowym Meksyku, gdzie się przeniosła po przeżyciu czterdziestu trzech lat w tym samym parterowym domku, ta staruszka (pani Lema Crawford) nie odpowiedziała na pytania związane z jej zaangażowaniem w karę, co wynikało albo z uporu, albo z powodu sprzężenia, które zbierał z linii telefonicznej jej aparat słuchowy. Nawiązała jednak do swojej własnej tragedii miłosnej, jaką przeżyła jakieś sześćdziesiąt lat wcześniej.

– Z tym nigdy nie można sobie poradzić – powiedziała. – Ale w pewnym momencie dochodzi się do stanu, gdy to już człowieka tak bardzo nie trapi.

A później, przed odłożeniem słuchawki:

– Mamy tu śliczną pogodę. To była najlepsza decyzja w moim życiu, kiedy wyrzuciłam starą łopatę i motykę i wyniosłam się z tego miasta.

Lekko przydymiony dźwięk jej głosu pozwolił nam wyobrazić sobie tę scenę – stara kobieta przy stole kuchennym, jej przerzedzone włosy schowane pod elastycznym czepkiem; pani Lisbon z zaciśniętymi ustami i ponurą miną w krześle naprzeciwko; oraz cztery pokutnice, z opuszczonymi głowami, przekładające w palcach bibeloty i porcelanowe figurki. Nikt się nie zastanawia, jak się czują czy czego chcą od życia; istnieje tylko określony porządek – babka, matka, córki – a za oknem padający deszcz i martwy ogródek warzywny.

Pan Lisbon nadal co rano wychodził do pracy i rodzina uczęszczała w niedzielę do kościoła, ale to było wszystko. Dom zniknął za mgłą uwięzionej młodości i nawet nasi rodzice zaczęli mówić, że to miejsce wygląda ponuro i niezdrowo. Jego miazmaty przyciągały w nocy szopy i nieraz znajdowano martwego zwierzaka, rozjechanego przez samochód podczas ucieczki ze śmietnika Lisbonów. Pewnego tygodnia pan Lisbon zapalił na werandzie malutkie bomby

dymne, wydzielające smród siarki. Nikt wcześniej nie widział czegoś takiego, ale mówiono, że służą do obrony przed szopami. A potem, mniej więcej wtedy, gdy nadeszły pierwsze chłody, ludzie zaczęli widywać Lux kopulującą na dachu z anonimowymi chłopcami i mężczyznami.

Początkowo trudno było powiedzieć, co się dzieje. Celofanowe ciało machało rękami tam i z powrotem na dachówkach, jak dziecko robiące orła na śniegu. Potem można było rozróżnić drugie, ciemniejsze ciało, czasami w ubraniu pracownika baru szybkiej obsługi, czasami ze złotymi łańcuchami, a raz w burym garniturze księgowego. Patrząc z poddasza domu Pitzenbergerów przez oskrzeliki pozbawionych liści gałęzi wiązów, w końcu udało się nam rozpoznać twarz Lux, zawiniętej w koc traperski i palącej papierosa; w okularach naszej lornetki zdawała się być nieprawdopodobnie blisko, ponieważ poruszała ustami ledwie kilka centymetrów od nas, tylko że nie wydawała żadnego dźwięku.

Zdumiewało nas, jak mogła robić coś takiego na dachu swojego domu, gdy w pobliżu spali jej rodzice. To prawda, że państwu Lisbon trudno było obserwować własny dach i gdy Lux i jej partnerzy już tam weszli, mogli czuć się względnie bezpiecznie; ale przecież nie dało się uniknąć hałasu podczas zakradania się na dół, aby wpuścić tych chłopców i mężczyzn, podczas prowadzenia ich po skrzypiących schodach w ciemnościach nabrzmiałych niepokojącymi drganiem, w ich uszach szumiały nocne hałasy, mężczyźni pocili się, ryzykowali zarzuty o gwałt, zaprzepaszczenie kariery, rozwód, tylko po to, aby ich poprowadzono po schodach w górę, przez okno, na dach, gdzie pośród swej namiętności ocierali sobie skórę na kolanach i tarzali się w stojących na dachu kałużach. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak Lux ich spotykała. Z tego co wiedzieliśmy, nigdy nie opuszczała domu. Nie wychodziła nawet w nocy, nie wymykała się, aby to robić na niezabudowanej parceli czy nad jeziorem, wołała natomiast kochać się na terenie swego własnego więzienia. Mogliśmy wiele nauczyć się o technikach uprawiania miłości, a ponieważ nie znaliśmy słów określających to, co widzieliśmy, musieliśmy wymyślać własne. Dlatego też mówiliśmy o „jodłowaniu w kanionie”, „wiązaniu rurki”, o „jęczeniu w dole”, „wsuwaniu główki żółwia” i „żuciu śmierdzenia”. Po latach, gdy sami już straciliśmy dziewictwo, spanikowani naśladowaliśmy wirowanie Lux, jakie podpatrzyliśmy na dachu tak dawno temu; a nawet teraz, jeśli mamy być szczerzy, to musielibyśmy przyznać, że zawsze kochamy się z tą bladą zjawą, zawsze to jej stopy zahaczają o rynnę, zawsze jej zakwitająca dłoń opiera się o komin, niezależnie od tego, co robią ręce i nogi naszych rzeczywistych kochanek. I musielibyśmy się również przyznać, że w naszych najintymniejszych chwilach, gdy jesteśmy

sami w nocy z naszymi mocno bijącymi sercami, prosząc Boga o zmiłowanie, przed oczami najczęściej mamy obraz Lux, demona tych nocy spędzonych z lornetką przy oczach.

Sprawozdania o jej erotycznych wyczynach docierały do nas z najbardziej nieprawdopodobnych źródeł, między innymi od ostrzyżonych w kosmyki chłopców z robotniczych dzielnic, którzy zaklinali się, że oni również szli na dach z Lux, i chociaż przepytывaliśmy ich, starając się znaleźć jakieś niespójności w ich relacjach, nigdy niczego takiego się nie dopatrzyliśmy. Mówili, że w domu zawsze było zbyt ciemno, aby mogli coś zobaczyć, że jedyną żywą rzeczą była ręka Lux, zarazem niecierpliwa i znużona, ciągnąca ich do przodu za pasek u spodni. Podłoga stanowiła prawdziwy tor przeszkód. Dan Tyco, z karkiem jak futbolista, wdepnął na podeście w coś miękkiego i zabrał to ze sobą. Dopiero gdy Lux poprowadziła go przez okno na dach, mógł zobaczyć przy świetle księżyca, co trzymał – na wpół zjedzoną kanapkę, którą ojciec Moody napotkał pięć miesięcy wcześniej. Inne chłopaki znajdowały talerze z wyschniętym spaghetti, puste puszki, jakby pani Lisbon przestała dziewczynom gotować i jadły to, co udało się im wyszperać.

Z relacji tych chłopców wynikało, że Lux straciła na wadze, chociaż trudno nam było to zauważyć przez lornetkę. Cała szesnastka wspominała o jej wystających żebrach, o wiotkich udach, a jeden, który poszedł z Lux na dach, gdy padał ciepły, zimowy deszcz, opowiadał nam, że woda zbierała się w zagłębieniach jej obojczyków. Kilku chłopaków wspominało o kwaśnym smaku jej śliny – smaku bezrobotnych soków trawiennych – ale pomimo pewnych oznak niedożywienia, choroby czy żalu (małe opryszczki w kącikach ust, brak kępki włosów nad lewym uchem), Lux zdawała się być aniołem zmysłów. Opowiadali o tym, jak czuli się przygwożdżeni do komina parą wielkich, łopoczących skrzydeł, wspominali również lekki, jasny meszek nad jej górną wargą, sprawiający wrażenie upierzenia. Jej oczy świeciły, płonęły, pochłonięte swą misją, jak u istoty przekonanej o chwale Stworzenia lub o jego bezsensowności. Używane przez chłopaków słowa, ich podniesione brwi, przerażenie, konsternacja, wyraźnie świadczyły, że posłużyli jedynie za niewiele znaczący stopień w jej dążeniu w górę i chociaż w końcu zostali doprowadzeni na szczyt, nie byli w stanie nam powiedzieć, co znajdowało się dalej. Kilku z nich wspomniało o przemożnym poczuciu bezmiernego miłosierdzia Lux.

Chociaż nie przeprowadziła z nimi zbyt wielu dłuższych rozmów, mogliśmy sobie wyrobić wyobrażenie o stanie jej umysłu na podstawie tej niewielkiej ilości informacji, jaka do nas dotarła z tych niewielu słów, które wypowiedziała. Powiedziała Bobowi McBrearleyowi, że nie może

żyć, jeśli „nie robi tego regularnie”, ale wypowiadała to zdanie z brooklyńskim akcentem, jakby naśladowując aktorkę filmową.

Jej zachowanie było w dużej mierze naznaczone taką właśnie nienaturalnością. Willie Tate przyznał, że pomimo podniecenia „wcale nie sprawiała wrażenia, że tak znów bardzo to lubi”, a wielu innych chłopaków potwierdzało podobny brak zaangażowania. Podnosząc głowy z miękkiej poduszki szyi Lux, widzieli jej otwarte oczy, brwi ściągnięte w zamyśleniu; albo w stanie najwyższego uniesienia czuli, jak skubie przyszcze na ich plecach. Niemniej jednak Lux podobno błagała na dachu:

– Włóż. Tylko na chwilkę. Będziemy bliżej siebie.

Ale czasami traktowała ten akt jak jakiś uciążliwy obowiązek, układając chłopaków, rozpinając zamki i klamerki ze znużeniem kasjerki z supermarketu. W swojej antykonceptyjnej czujności popadała ze skrajności w skrajność. Niektórzy opowiadali o tym, że stosowała złożone procedury, nakładając trzy lub cztery galaretki czy kremy naraz, a na wierzch dodając biały środek plemnikobójczy, który określała jako „ser kremowy”. Czasami wystarczyła jej „metoda australijska” polegająca na wstrząśnięciu butelką coli i wypłukaniu swych wnętrzności. Gdy była bardziej wymagająca, stawiała swoje ultimatum, mówiąc:

– Nie ma swawolenia bez zabezpieczenia.

Często korzystała ze sterylnych wyrobów farmaceutycznych, ale czasami, prawdopodobnie nie mogąc ich zdobyć w związku z nałożoną przez panią Lisbon blokadą, uciekała się do pomysłowych metod wymyślonych przez akuszerki w ubiegłych wiekach. Przydatny był ocet, jak również sok pomidorowy. Drobne stateczki miłości tonęły w morzu kwasowości. Lux trzymała za kominem cały zestaw butelek, jak również cuchnącą szmatę. Dziewięć miesięcy później, gdy robotnicy wynajęci przez młode małżeństwo znaleźli na dachu te butelki, zawołali do stojącej na dole młodej żony:

– Tu chyba ktoś robił sałatkę.

Kochanie się na dachu trąciło szaleństwem niezależnie od pory roku, ale kochanie się na dachu w zimie mogło świadczyć o obłądnie, rozpaczach czy skłonnościach autodestrukcyjnych zdecydowanie przerastających przyjemności zaznane pod ociekającymi drzewami. I chociaż niektórzy z nas postrzegali Lux jako siłę natury, nieczułą rui chłód, boginię lodu, zrodzoną przez tę porę roku, jednak większość wiedziała, że była tylko dziewczyną zagrożona śmiercią z wychłodzenia, lub pragnącą takiego kresu. Dlatego też nie zaskoczyło nas, gdy trzy tygodnie po

rozpoczęciu powietrznych występów Lux ponownie pojawiła się karetka pogotowia. Tym razem, już trzecim, karetka była tak dobrze nam znana, jak historyczny głos pani Buell, wzywającej Chase'a do domu. Gdy wjechała z pędem na podjazd, byliśmy już tak przyzwyczajeni do jej widoku, że nawet nie zauważyliśmy nowych opon zimowych i warstwy soli na zderzakach. Widzieliśmy, jak Szeryf – ten chudy z wąsami – wyskakuje zza kierownicy, jeszcze zanim zdążył to zrobić, a potem już każdy obraz niósł w sobie wrażenie *deja vu*. Byliśmy przygotowani na widok dziewcząt w koszulkach nocnych, przemykających za oknami, na to, że światła będą znaczyć postęp sanitariuszy idących w kierunku ofiary, najpierw włączyły się światła w holu, potem w korytarzu, na piętrze, w sypialni po prawej, aż w końcu cały automat do gry we flippera, jakim był dom, rozświetlał się różnymi sektorami. Było po dziewiątej wieczorem i na niebie nie było księżyca. Ptaki uwiły gniazda w kloszach starych latarni ulicznych, więc docierające światło było filtrowane przez słomę i zgubione pióra. Ptaki już dawno temu odleciały na południe, a w pstrokatych promieniach Szeryf i grubas raz jeszcze pojawili się w drzwiach domu Lisbonów. Zgodnie z naszym oczekiwaniem nieśli nosze, ale gdy zapaliło się światło na werandzie, ukazał się nam widok, na jaki nie byliśmy przygotowani – zobaczyliśmy Lux Lisbon, siedzącą na noszach i zupełnie żywą.

Wyglądało na to, że coś ją boli, ale gdy wynoszono ją z domu, była na tyle świadoma, że zdążyła porwać numer *Reader's Digest*, który później przeczytała w szpitalu od deski do deski. Ponadto, pomimo swych konwulsji (trzymała się za brzuch), Lux ośmieliła się nałożyć na usta zakazaną różową szminkę o smaku truskawek – informację o smaku uzyskaliśmy od chłopców bywających na dachu. Siostra Woody'ego Clabaulta miała taką samą i raz, gdy otwarliśmy barek jego rodziców, zmusiliśmy go, aby nałożył sobie tę szminkę i pocałował każdego z nas, bo my również chcieliśmy dowiedzieć się jak to smakuje. Oprócz smaku drinków, z jakimi eksperymentowaliśmy tej nocy – trochę piwa imbirowego, trochę bourbona, nieco soku z limonki, trochę szkockiej – mogliśmy posmakować truskawkowego wosku na wargach Woody'ego Clabaulta, przekształcając je, przed sztucznym kominkiem Clabaultów, w usta samej Lux. Z magnetofonu ryczała muzyka rockowa; pokładaliśmy się po krzesłach, od czasu do czasu bezcielesnie szybowaliśmy na kanapę, aby tam zanurzyć głowy w truskawkach, ale następnego dnia wcale nie chcieliśmy pamiętać, że coś takiego się wydarzyło, i dopiero teraz po raz pierwszy o tym mówimy. Niemniej jednak wspomnienie tej nocy zostało wyparte przez obraz Lux wnoszonej do karetki, ponieważ, pomimo rozbieżności w czasie i przestrzeni, kosztowaliśmy ust

Lux, a nie Clabaulta.

Jej włosy aż prosiły się o szampon. George Pappas, który dotarł do karetki zanim jeszcze Szeryf zdążył zamknąć drzwi, opowiadał, że krew wezbrała w policzkach Lux.

– Widać było żyłki – opowiadał.

Z czasopismem w jednej ręce, drugą trzymając się za swoje środkowe partie, jechała na noszach, jakby to była skacząca na fali szalupa ratunkowa. Jej rzucanie się, krzyki, grymasy bólu tylko jeszcze bardziej podkreślały bezwładność Cecylii, którą teraz widzieliśmy w naszych wspomnieniach jeszcze bardziej martwą niż była w rzeczywistości. Pani Lisbon nie wskoczyła do karetki, jak poprzednio, ale została na trawniku, machając na pożegnanie, jakby Lux wsiadła do autobusu wiozącego ją na letni obóz. Na zewnątrz nie wyszła ani Mary, ani Bonnie, ani Therese. Gdy rozmawialiśmy o tym później, wielu z nas czuło, jakbyśmy w tym momencie cierpieli na jakieś zaburzenia umysłowe, które tylko pogarszały się w okresie kolejnych samobójstw. Podstawowym symptomem tego stanu był brak zdolności przypominania sobie jakichkolwiek dźwięków. Drzwi karetki zamknęły się bezgłośnie, usta Lux (jedenaście plomb, zgodnie z informacjami w aktach doktora Rotha) krzyczały po cichu, a cała ulica, skrzypiące konary drzew, latarnia z bzykiem mrugająca różnymi kolorami, elektryczny brzęczyk instalacji sygnalizacyjnej na przejściu dla pieszych – te wszystkie dźwięki, zazwyczaj hałaśliwe, ucichły albo osiągnęły częstotliwości dla nas niesłyszalne, od których tylko ciarki przechodziły po naszych plecach. Dźwięk powrócił dopiero po odjeździe Lux. Telewizory wybuchły nagrany śmiechem. Ojcowie pluskali się w kąpiel, moczając obolałe plecy.

Dopiero po pół godzinie zadzwoniła siostra pani Patz ze szpitala Bon Secours i przekazała wstępna diagnozę, zgodnie z którą Lux miała atak wyrostka robaczkowego. Byliśmy zaskoczeni tym, że uraz nie był wywołany przez sama Lux, ale pani Patz powiedziała:

– To stres. Ta dziewczyna jest w takim stresie, że po prostu pękł jej wyrostek. Coś podobnego przydarzyło się mojej siostrze.

Brent Christopher, który tego samego wieczoru o mało co nie odciął sobie prawej ręki piłą elektryczną (instalował nową kuchnię), widział, jak przewożono Lux na oddział pomocy doraźnej. Choć miał zabandażowaną rękę, a jego umysł był otępiały po środku przeciwbólowym, pamięta, że stażyci położyli Lux na łóżku obok niego.

– Oddychała ustami, głęboko wciągając powietrze, i trzymała się za brzuch. Ciągłe powtarzała „auć”, dokładnie tak, jak się to pisze.

Po odejściu stażystów, którzy pospieszyli po lekarza, Brent Christopher i Lux zostali sami. Przestała krzyczeć i spojrzała w jego stronę. Podniósł swoją zabandażowaną rękę. Popatrzyła na nią bez żadnego zainteresowania. A potem sięgnęła do góry i zaciągnęła zasłonkę rozdzielającą ich łóżka.

Doktor Finch (albo French – podpis jest nieczytelny) zbadał Lux. Zapytał, gdzie ją boli, pobrał jej krew, opukał ją, zakneblował łożatką do badania gardła i zajrzał w usta, uszy i nos Lux. Zbadał jej bok i nie znalazł żadnego obrzmienia. Nie uskarżała się już na ból i po kilku pierwszych minutach lekarz przestał pytać ją o wyrostek. Niektórzy mówili, że dla doświadczonego lekarskiego oka objawy były oczywiste – niespokojny wygląd, częste dotykane brzucha. Cokolwiek to było, lekarz od razu wiedział.

– Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę? – zapytał.

– Jakiś czas temu.

– Miesiąc temu?

– Czterdzieści dwa dni.

– Nie chcesz, żeby rodzice się dowiedzieli?

– Nie.

– A po co to całe zamieszanie? Po co karetka?

– Tylko w ten sposób mogłam wyrwać się z domu.

Rozmawiali szeptem, lekarz pochylony nad łóżkiem, Lux na siedząco. Brent Christopher usłyszał jakiś dźwięk, coś jak szcęknięcie zębami. A potem Lux powiedziała:

– Ja tylko chcę zrobić sobie test. Czy może mi pan pomóc?

Lekarz nie wyraził głośno zgody na to badanie, ale z jakiś powodów, po wyjściu na korytarz powiedział pani Lisbon, która właśnie przyjechała, zostawiając dziewczyny w domu pod opieką męża:

– Pani córce nic nie będzie.

Następnie poszedł do swojego gabinetu, gdzie później znalazła go pielęgniarka, bez przerwy palącego fajkę. Rozważaliśmy różne możliwości tego, co się mogło dzieć tego dnia w głowie doktora Fincha – że zakochał się w czteremastolatce, która miała spóźniony okres, że kalkulował w głowie, ile ma pieniędzy w banku, a ile paliwa w samochodzie, i jak daleko mogliby uciec, zanim dowiedziałaby się o tym jego żona i dzieci. Nigdy nie doszliśmy do tego, dlaczego Lux poszła do szpitala, a nie do poradni planowania rodziny, ale większość ludzi zgodziła się, że mówiła

prawdę i że po prostu nie mogła wymyślić nic lepszego, aby zobaczyć się z lekarzem. Gdy doktor Finch powrócił, powiedział:

– Powiem twojej matce, że prowadzimy badania żołądkowo-jelitowe. Wtedy Brent Christopher wstał, po cichu przysięgając pomóc Lux w ucieczce. Usłyszał, jak ona pyta:

– Ile czasu zajmie badanie?

– Około pół godziny.

– I naprawdę używa pan królika? Lekarz roześmiał się.

Kiedy się wyprostował, Brent Christopher poczuł rwanie w ręce, zobaczył plamy przed oczami i zakręciło mu się w głowie, ale zanim stracił przytomność, ujrzał doktora Fincha przechodzącego obok i zmierzającego w kierunku pani Lisbon. Ona pierwsza usłyszała diagnozę, a potem usłyszały to pielęgniarki, a potem my. Joe Larson przebiegł przez ulicę, aby skryć się w krzakach pod domem Lisbonów i właśnie wtedy usłyszał dziewczęcy i – jak powiedział – bardzo melodyjny płacz pana Lisbona. Pan Lisbon siedział w swoim fotelu, ze stopami opartymi na podnóżku i twarzą zakrytą rękami. Zadzwoił telefon. Pan Lisbon spojrział na aparat i podniósł słuchawkę.

– Bogu dzięki – powiedział – Bogu dzięki.

Jak się okazało, Lux cierpiała tylko na niestrawność. Oprócz testu ciążowego doktor Finch zrobił Lux pełne badania ginekologiczne. To od panny Angeliki Turnette, pracującej w szpitalnym biurze, uzyskaliśmy później dokumenty; które trzymamy wśród naszych najdroższych skarbów (ledwo mogła wyżyć ze swojej pensji pracowniczki niezrzeszonej w związkach). Z raportu lekarza i z szeregu zawartych tam podniecających liczb wyłania się Lux ubrana w sztywna papierowa sukienkę, wchodząca na wagę (45), otwierająca usta w celu zbadania temperatury (36,6) i oddająca mocz do plastikowego kubka (krwinki białe 2-4 wpw, pojedyncze nabłonki, obfity śluz, krwinki czerwone 2-5). Proste sformułowanie „lekkie otarcia” podsumowuje stan ścian macicy, a jej różowa szyjka, widoczna na zdjęciu, jakie wykonano przy zastosowaniu nowoczesnej na owe czasy metody, jednak później zarzuconej, wygląda jak migawka aparatu ustawiona na nadzwyczaj krótki czas. (Patrzy teraz na nas jak rozpalone oko, przygważdżając nas swoim milczącym oskarżeniem).

– Test ciążowy dał wynik negatywny, ale wyraźnie widać było, że prowadziła życie seksualne – powiedziała nam panna Turnette.

– Miała infekcję wirusem HPV [wirus brodawczaka człowieka, wstęp do brodawek na

narządach płciowych]. Im więcej partnerów, tym więcej HPV. To bardzo proste.

Doktor Hornicker przypadkowo tej nocy był na dyżurze i udało mu się odwiedzić Lux na kilka minut bez wiedzy pani Lisbon.

– Ta dziewczyna wciąż czekała na wyniki badań, więc było zrozumiałe, że jest spięta – powiedział. – Niemniej jednak dało się w niej wyczuć jeszcze coś innego, jakiś dodatkowy niepokój.

Lux ubrała się i siedziała na krawędzi łóżka na oddziale urazowym. Gdy doktor Hornicker przedstawił się, powiedziała:

– To pan jest tym doktorem, który rozmawiał z moją siostrą?

– Zgadza się.

– Czy będzie mi pan zadawać pytania?

– Tylko jeśli będziesz tego chciała.

– Ja tu przyszłam tylko po to – ściszyła głos – żeby zobaczyć się z ginekologiem.

– Zatem nie chcesz, abym zadawał ci pytania?

– Ceel opowiadała nam o pana testach. A ja po prostu nie jestem dziś w odpowiednim nastroju.

– A w jakim nastroju jesteś?

– Nie mam nastroju. Jestem tylko zmęczona.

– Za mało śpisz?

– Cały czas śpię.

– I pomimo tego czujesz się zmęczona?

– Tak.

– Jak sądzisz, dlaczego tak jest?

Aż do tej chwili Lux odpowiadała energicznie, wymachując nogami, które nie sięgały do podłogi. Jednak w tym momencie znieruchomiała i zmierzyła wzrokiem doktora Hornickera. Oparła się na łokciach się i cofnęła głowę, aż pod brodą pojawiło się zgrubienie.

– Brak żelaza we krwi – powiedziała. – To typowe dla naszej rodziny. Muszę poprosić lekarza o jakieś witaminy.

– Była bardzo negatywnie nastawiona – opowiadał nam później doktor Hornicker. – Bez wątplenia nie spała – książkowy objaw depresji – i udawała, że jej problem, a co za tym idzie problem jej siostry Cecylii, niewiele ją obchodził.

Wkrótce po tym przyszedł doktor Finch z wynikami badań i Lux radośnie zeskoczyła z łóżka.

– Ale nawet jej radość miała charakter maniakalny. Skakała jak szalona.

Wkrótce po tym spotkaniu doktor Hornicker napisał drugi ze swoich wielu raportów, w którym zaczął zmieniać swój pogląd na córki Lisbonów. Cytując ostatnie badania doktor Judith Weisberg, która zajmowała się „problemami dorastającej młodzieży, przeżywającej ból po samobójczej śmierci kogoś z rodzeństwa” (patrz: „Lista finansowanych badań”), doktor Hornicker przedstawił wyjaśnienie dziwaczego zachowania córek państwa Lisbon – ich zamknięcie się w sobie, nagłe wybuchy emocjonalne lub napady katatonii. Z raportu wynika, że w wyniku samobójczej śmierci Cecylia pozostałe siostry cierpiały na posttraumatyczne zaburzenia emocjonalne.

– W przypadku rodzeństwa młodzieży popełniającej samobójstwo – napisał doktor Hornicker – nie jest niczym niezwykłym, że sami zachowują się jak samobójcy, próbując w ten sposób uporać się ze swoją rozpaczą. W rodzinach, w których młodzież wychowywana jest tylko przez jedno z rodziców, mamy do czynienia z bardzo wysokim wskaźnikiem ponownych samobójstw. – A potem, porzucając swój lekarski styl, zanotował na marginesie: „Lemingi”.

Ta teoria rozpowszechniła się w ciągu kolejnych kilku miesięcy i wiele osób szybko ją zaakceptowało, ponieważ bardzo upraszczała sprawy. Już teraz, z perspektywy czasu, samobójstwo Cecylia nabrało statusu od dawna przewidywanego wydarzenia. Już nikt nie uważał tego za wstrząsające, a potraktowanie tego jako pierwszego przypadku, inicjującego następne, usuwało jakakolwiek potrzebę dalszego szukania wyjaśnień. Jak to wyraził pan Hutch:

– Zrobili z Cecylia czarny charakter.

Z tej perspektywy jej samobójstwo było postrzegane jako jakaś choroba, którą zaraziła swoje otoczenie. W wannie, gotując się we własnej krwi, Cecilia uwolniła wirusa przenoszonego drogą powietrzną, którym zaraziły się pozostałe dziewczęta, nawet wtedy, gdy biegły ją ratować. Nikogo nie interesowało, jak to się stało, że Cecilia jako pierwsza zaraziła się tym wirusem. Za wyjaśnienie wystarczyło samo zarażenie się chorobą. Pozostałe dziewczęta, pozornie bezpieczne w swoich pokojach, poczuły coś dziwnego, wciągnęły powietrze, ale nie zwróciły na to uwagi. Czarne macki dymu wczołgały się pod drzwiami do ich pokoi, wzniosły się nad ich pilnie pochylonymi plecami i przyjęły złowieszcze formy, jakie przybiera dym lub cień w kreskówkach – morderca w czarnym kapeluszu wymachujący sztyletem, właśnie mające spaść kowadło.

Zaraźliwe samobójstwo było namacalne. Kolczaste bakterie usadowiły się w agarze gardeł dziewcząt. Rano delikatna pleśniawka pokryła ich migdałki. Dziewczęta poczuły się ospałe. Świat za oknem pociemniał. Potarły oczy, ale to nic nie pomagało. Czuly się ociążały i otępiały. Domowe sprzęty straciły jakiegokolwiek znaczenie. Zegar przy łóżku stał się bryłą topionego plastiku, podającą coś, co zwano czasem, w świecie, który z jakichś powodów mierzył jego upływ. Gdy myśleliśmy o dziewczętach w ten właśnie sposób, widzieliśmy obraz rozgorączkowanych istot, wydychających gęste powietrze, umierających dzień po dniu w swoich izolatkach. Wychodziliśmy z mokrymi głowami na dwór, w nadziei, że my również złapiemy tę grypę, abyśmy mogli wspólnie z nimi uczestniczyć w tym delirium.

* * *

Nocne hałasy parzących się czy walczących kotów, ich miauczenie w ciemnościach, świadczyły o tym, że świat był zbudowany z czystych emocji, ciskanych tam i z powrotem między zamieszkującymi go stworzeniami, a rozpacz jednookiego syjamskiego kocura nie różniła się od rozpaczyny córek Lisbonów; w tym wszechogarniającym uczuciu pogrążały się nawet drzewa. Pierwsza dachówka zjechała z dachu domu Lisbonów i o centymetry mijając werandę wbiła się w warstwę miękkiego torfu, a my z daleka mogliśmy zobaczyć znajdującą się pod spodem smołę, przez którą przeciekała woda. W salonie, pod miejscem, z którego przeciekało, pan Lisbon ustawił puszkę po farbie i patrzył, jak się napełniała w ciemnognatowym odcieniu sufitu sypialni Cecylia (wybrała ten kolor, aby sufit wyglądał jak nocne niebo; puszka od lat stała w schowku). W następnych dniach pojawiły się kolejne puszki, do których spływały cienkie strużki, na kaloryferze, na kominku, na stole jadalnym, natomiast nie pojawił się żaden dekarz, jak sądzono, najprawdopodobniej ze względu na to, że Lisbonowie nie mogli już znieść obecności obcych w domu. Sami zmagali się z przeciekającym dachem, siedząc w deszczowym lesie swojego salonu. Mary starała się zachować pozory i odbierała pocztę (rachunki za ogrzewanie, reklamy, nie było już żadnej osobistej korespondencji), wychodziła na zewnątrz w jasnozielonym lub różowym sweterku z wyszytymi czerwonymi sercami. Bonnie nosiła coś w rodzaju fartucha, który nazywaliśmy włosienicą, przede wszystkim ze względu na pokrywające go nastroszone pióra z pościeli.

– Jej poduszka musi przeciekać – powiedział Vince Fusilli.

Pierze, nie białe, jak można by się spodziewać, ale brunatne, pochodziło z niskogatunkowych kaczek, których zapach trzymany w zamknięciu stworzeń hodowlanych unosił się z wiatrem, gdy tylko pojawiła się Bonnie z powbijanymi wszędzie lotkami. Lecz nikt nigdy zanadto się nie zbliżył. Nikt już nie odważył się wejść do tego domu, nikt z naszych matek czy ojców ani też ksiądz; nawet listonosz nie dotykał już skrzynki na listy palcami, podnosił tylko pokrywę grzbietem magazynu pani Eugene *Family Circle*. Coraz wyraźniej widać było, że dom niszczeje. Zauważyliśmy, jak bardzo postrzępione były zasłony ale później zdaliśmy sobie sprawę, że wcale nie patrzyliśmy na zasłony ale na warstwę brudu, w której widniały wytarte rękami wizjery jak w drzwiach aresztu. Najciekawsze było widzieć je, jak to robią: różowa dłoń rozplaszczona na szybie, tracą tam i z powrotem, aby odsłonić jasną mozaikę oka, patrzącego na nas. A do tego obwisły rynny.

Z domu wychodził tylko pan Lisbon i to dzięki jego osobie utrzymywaliśmy nasz jedyny kontakt z dziewczętami – poprzez znaki, jakie na nim zostawiały. Włosy miał zaczesane aż do przesady, jakby dziewczęta, nie mogąc dbać o siebie, zaczęły dbać o niego. Na policzkach nie nosił już sztandarów ze skrawków chusteczek higienicznych z krwawymi plamami, wyglądających jak małe japońskie flagi, co wielu osobom nasunęło myśl, że jego córki zaczęły golić go zdecydowanie ostrożniej niż robili to bracia Joe Debilkowi. (Jednak pani Loomis twierdziła, że po wypadku Cecilii zaopatrzył się w elektryczną maszynkę do golenia.) Niezależnie od tych szczegółów, pan Lisbon stał się medium, dzięki któremu mogliśmy zaglądać w dusze dziewcząt. Dostrzegaliśmy je w śladach, jakie odciskały na jego udręczonej psychice, w jego spuchniętych, czerwonych oczach, które już prawie się nie otwierały, aby patrzeć na to, jak marnieją jego córki, w jego butach zdartych od wchodzenia po schodach groźących, że już zawsze mogą doprowadzić do kolejnego bezwładnego ciała, w jego ziemistej cerze konającej ze współczucia dla nich i w jego utraconym wyglądzie mężczyzny, który uświadamia sobie, że to całe umiowanie ma być jedynym życiem, jakie dane będzie mu przeżyć. Wychodząc do pracy, pan Lisbon już nie pokrzepiał się kubkiem kawy. Jednak siadając za kierownicą, automatycznie sięgał po kubek znajdujący się w uchwycie na desce rozdzielczej... i podnosił do ust zimną kawę z zeszłego tygodnia. W szkole przechadzał się po korytarzach ze sztucznym uśmiechem na ustach i z oczami zachodzącymi łzami, a czasami, starając się zaprezentować chłopięcy zapał, wołał:

– Bodiczek! – i przyciskał uczniów do ściany.

Jednak trzymał ich zbyt długo, nieruchomiejąc, aż w końcu uczniowie wołali:

– Uwolnienie! – albo: – Pan Lisbon odesłany na ławkę kar! – cokolwiek, aby się ocknął.

Kenny Jenkins, którego głowę pan Lisbon chwycił mocno pod pachę, opowiadał jedynie o błogim spokoju, jaki spłynął na nich obu.

– To było niesamowite. Czuję jego oddech i czuję jego ciało ale nie próbowałem się wyrwać. To było jak podczas zabawy z chłopakami, gdy wszyscy skaczą jeden na drugiego, a ty leżysz na dole i czujesz się miażdżony, ale jest tak spokojnie i przyjemnie.

Niektórzy podziwiali to, że wciąż pracował, a inni potępiali, uważając, że to zatwardziałość serca. Pod swoim zielonym garniturem zaczynał wyglądać jak szkielet, jakby Cecilia, umierając, szarpnęła go na drugą stronę. Przypominał nam Abrahama Lincolna, gibkiego, milczącego, niosącego ze sobą krzywdy świata. Przechodząc obok wodotrysku z wodą do picia, zawsze próbował jego słabej pociechy.

I wtedy, nagle, sześć tygodni po opuszczeniu szkoły przez dziewczęta, pan Lisbon złożył rezygnację. Od Dini Fleisher, sekretarki dyrektora, dowiedzieliśmy się, że pan Woodhouse wezwał pana Lisbona na zebranie w sprawie ferii świątecznych. W zebraniu uczestniczył również Dick Jensen, przewodniczący Rady Opiekuńczej. Pan Woodhouse poprosił Dini, aby podała ajerkoniak z małej biurowej lodówki. Przed przyjęciem kieliszka pan Lisbon zapytał:

– Ale w tym nie ma alkoholu, prawda?

– Mamy Boże Narodzenia – odrzekł pan Woodhouse.

Pan Jensen mówił o zbliżającym się futbolowym meczu Rose Bowl. Powiedział do pana Lisbona:

– Ty też jesteś absolwentem Uniwersytetu Michigan, prawda? W tym momencie pan Woodhouse skinął Dini, aby wyszła, ale jeszcze zanim zamknęła za sobą drzwi, usłyszała, jak pan Lisbon mówi:

– Tak. Ale chyba nigdy ci o tym nie mówiłem, Dick. Wygląda na to, że zaglądałeś do moich akt.

Mężczyźni roześmieli się, jednak w tym śmiechu nie było słycać radości. Dini zamknęła drzwi.

Siódmego stycznia, gdy uczniowie wrócili do szkoły, pan Lisbon już tam nie pracował. Teoretycznie był na zwolnieniu, ale nowa nauczycielka matematyki, panna Koliński, czuła się na tyle pewnie na swoim stanowisku, że pozwoliła sobie zdjąć planety z sufitu. Zrzucone ze swych

orbit, leżały w kącie, jak ostateczny śmietnik wszechświata, Mars wbity w Ziemię, Jowisz przełamany na pół, pierścienie Saturna cięły biednego Neptuna. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, o czym mówiono na tym spotkaniu, ale sens był jasny. Dini Fleisher powiedziała nam, że skargi rodziców zaczęły się wkrótce po samobójczej śmierci Cecylii. Twierdzili, że osoba, która nie potrafi zajmować się własną rodziną, nie powinna uczyć ich dzieci, a ten głos dezaprobaty wzmagał się w miarę jak dom Lisbonów popadał w ruinę. Przyczyniło się również do tego zachowanie samego pana Lisbona, jego nieodłączny zielony garnitur, unikanie pokoju śniadań, jego przenikliwy tenor przebijający się przez męski chór, jak zawodzenie pogrążonej w smutku staruszki. Został zwolniony. I powrócił do domu, w którym w niektóre noce światła w ogóle się nie zapalały, nawet wieczorami, nikt też nie otwierał frontowych drzwi.

Teraz dom naprawdę już umarł. Bo dopóki pan Lisbon pokonywał trasę do szkoły i z powrotem, rozprowadzał za sobą po domu cienki prąd życia, przynosząc dziewczętom smakołyki – batony czekoladowe, pomarańczowe jogurty, owocowe batoniki. Mogliśmy wyobrazić sobie, co dziewczęta czuły w środku, ponieważ wiedzieliśmy, co jedzą. Mogliśmy wspólnie z nimi przeżywać ból głowy po przejeździe się lodami. Mogliśmy rozchorować się od czekolady. Jednak gdy pan Lisbon przestał wychodzić z domu, przestał również przynosić słodycze. Nie byliśmy pewni, czy dziewczęta w ogóle coś jedzą. Obrażony karteczką od pani Lisbon mleczarz nie przynosił już w ogóle mleka, ani świeżego, ani zepsutego. Nie przywożono już artykułów spożywczych ze sklepu Krogera. Matka pani Lisbon, Lema Crawford, podczas tej samej skrzeczącej rozmowy telefonicznej, jaką przeprowadziliśmy z Nowym Meksykiem, wspomniała, że dała pani Lisbon większość swoich letnich pikli i konfitur (zawahała się przy słowie „letnich”, ponieważ to było tego lata, gdy zmarła Cecilia, a tymczasem ogórki, truskawki, a nawet ona sama, już siedemdziesięcioletnia, wszystko nadal rosło i żyło). Powiedziała nam ponadto, że pani Lisbon trzymała w piwnicy obfite zapasy konserw i wody pitnej oraz innych środków na wypadek ataku atomowego. Najwidoczniej mieli na dole coś w rodzaju schronu bombowego, zaraz obok bawialni, z której patrzyliśmy na Cecylię wspinającą się ku swej śmierci. Pan Lisbon nawet zainstalował turystyczną toaletę. Ale to było jeszcze w czasach, gdy spodziewali się niebezpieczeństwa nadchodzącego z zewnątrz i obecnie nic nie było bardziej absurda niż schron zakopany w domu, który sam stawał się jedną wielką trumną.

Nasze zatroskanie wzrosło, gdy dowiedzieliśmy się, jak bardzo zmizerniała Bonnie. Wuj Tucker widywał ją tuż po świcie, gdy kładł się spać, jak wychodziła na werandę przed domem,

kiedy to wydawało się jej, że cała ulica już śpi. Zawsze miała na sobie fartuch z piórami i czasami nosiła ze sobą poduszkę, która wuj Tucker nazywał „sztucznym kochankiem”, ze względu na sposób, w jaki przyciskała ją do siebie. Z rozdartego rogu wysypywało się pierze, tworząc wokół jej głowy białą chmurę. Kichała. Miała długą, białą szyję i gdy szła, chwiała się żałośnie, jak Murzynka z Biafry, jakby w jej stawach biodrowych brakowało smaru. Ponieważ wuj Tucker, praktykujący dietę oparta na piwie, sam był chudy jak szczapa, wierzyliśmy w jego informacje o wadze Bonnie. Zupełnie inaczej byłoby, gdyby to pani Amberson powiedziała, że Bonnie marnieje. W porównaniu do niej wszyscy byli mizerni. Ale noszona przez wuja Tuckera turkusowo-srebrna klamra od pasa wyglądała na nim jak pas mistrzowski na mistrzu wagi ciężkiej. On wiedział, co mówi. Spoglądając ze swojego garażu, z jedną ręką na lodówce, obserwował, jak Bonnie Lisbon schodziła chwiejnym krokiem po dwóch stopniach werandy, przechodziła przez trawnik do małej kupki ziemi pozostawionej po kopaniu wiele miesięcy temu i odmawiała różaniec na miejscu śmierci swojej siostry. Jedną ręką trzymała poduszkę, a drugą przekładała paciorki, dbając o to, aby skończyć, zanim w domach na ulicy zapalą się pierwsze światła i obudzą się sąsiedzi.

Nie wiedzieliśmy, czy to był wynik ascezy czy głodówki. Wuj Tucker mówił, że na jej twarzy malował się spokój, nie było widać gorączkowej żądy Lux czy też zawziętego i sztywnego wyrazu twarzy Mary. Pytaliśmy, czy nosiła laminowany obrazek Marii Dziewicy, ale sądził, że nie. Wychodziła każdego ranka, chociaż czasami, gdy leciał film z Charlie Chanem, wuj Tucker zapominał sprawdzić.

To również wuj Tucker jako pierwszy poczuł ten zapach, którego nie byliśmy w stanie zidentyfikować. Pewnego ranka, gdy Bonnie szła do kupy ziemi, zostawiła za sobą drzwi otwarte i wuj Tucker poczuł zapach, jakiego nigdy jeszcze nie spotkał. Początkowo myślał, że to tylko była wzmocniona woń zmokłego ptaka, jaką wydzielala Bonnie, ale po jej powrocie do domu zapach nie ustąpił, a gdy się obudziliśmy, również my mogliśmy go wyczuć. Bo właśnie wtedy, gdy dom zaczynał się rozpadać, wydzielając woń zbutwiałego drewna i wilgotnych dywanów, z domu Lisbonów zaczął dolatywać ten inny zapach, wdzierając się w nasze sny i nakłaniając nas do ciągłego mycia rąk. Zapach był tak gęsty, że zdawał się mieć konsystencję płynu, a po wejściu w jego prąd człowiek czuł się, jakby się znalazł pod prysznicem. Próbowaliśmy zlokalizować jego źródło, szukając martwych wiewiórek na podwórzu albo worka z nawozem, ale ten odór był zbyt cikliwy, aby być zapachem śmierci. Ten zapach z pewnością należał do świata żywych, a

Davidowi Blackowi przypominał fikuśną sałatkę grzybową, jaką jadł w Nowym Jorku, podczas wycieczki z rodzicami. – To zapach kuciapy w pułapce – powiedział Paul Baldino po namyśle, a my zbyt mało wiedzieliśmy, żeby się z nim nie zgodzić, jednak trudno nam było wyobrazić sobie, że taka woń może unosić się ze źródła miłości. Zapach częściowo przypominał nieświeży oddech, zjełczały ser, zepsute mleko, nalot na języku, ale również zapach spalenizny przy wierceniu w zębach. Był to ten rodzaj nieświeżego oddechu, do którego się przyzwyczajamy, im bardziej się do niego zbliżamy, aż w końcu już go nie zauważamy, ponieważ jest to również nasz oddech. Oczywiście później, po latach, otwarte usta kobiet dmuchały w nasze twarze składnikami tego oryginalnego zapachu i od czasu do czasu, nachyleni nad nieznaną pościelą, w ciemnościach nocy zdrady lub randki w ciemno, łapczywie chwytałyśmy każdy nowy, szczególnie fetor, w związku z jego częściowym powiązaniem z oparami, jakie zaczęły wydobywać się z domu Lisbonów wkrótce po jego zamknięciu, i tak naprawdę to nigdy się nie skończyły. Nawet teraz, gdy się porządnie skoncentrujemy, nadal możemy poczuć ten zapach. Docierał do naszych łóżek i na plac zabaw, gdzie graliśmy w piłkę, schodził po schodach do piwnicy Karafilisów, a babcia Karafilis marzyła, że z powrotem jest w Bursie i gotuje liście winogron. Docierał do nas nawet przez smród cygara dziadka Joe Bartona, kiedy pokazywał nam album ze zdjęciami z czasów, gdy służył w marynarce, wyjaśniając, że pulchne kobiety w halkach były jedynie jego kuzynkami. Jednak, co dziwne, chociaż ten zapach był tak przemożny, nigdy nie pomyśleliśmy, żeby wstrzymać oddech, czy też, w ostateczności, oddychać przez usta, a po kilku dniach wchłanialiśmy ten zapach jak mleko matki.

Nadeszły ponure, sennie miesiące: skutny lodem styczeń, bezlitosny luty, ubrudzony, grząski marzec. W tamtych czasach mieliśmy jeszcze prawdziwe zimy, zadymki, dni, kiedy szkoła była zamknięta. Siedząc w domu w śnieżne poranki i słuchając przez radio informacji o zamknięciu szkół (defilada indiańskich nazw, Washtenaw, Shiawassee, aż w końcu nasza anglosaska nazwa Wayne), mogliśmy zaznać ożywczego uczucia przebywania w ciepłym schronieniu, jak pionierzy. W dzisiejszych czasach, w związku ze zmiennymi wiatrami z fabryk i rosnącą temperaturą ziemi, śnieg już nie pada tak obficie, ale zbiera się powoli w nocy, tworząc przemijającą warstwę, jak nietrwałe mydliny. Świat, zmęczony komediant, oferuje nam kolejną beznadziejną porę roku. Ale w czasach sióstr Lisbon śnieg padał każdego tygodnia, a my odgarnialiśmy go łopatami z podjazdów na sterty większe od stojących tam samochodów. Ciężarówka sypała sól. Zapalały się lampki bożonarodzeniowe, a dziadek Wilson jak zawsze wyskakiwał ze swoim dorocznym,

ekstrawaganckim pokazem – sześciometrowym bałwanem i trzema zmechanizowanymi reniferami ciągnącymi sanie z grubym Mikołajem. Pokaz zawsze ściągał sznur samochodów na naszą ulicę, ale tego roku auta zwalniały dwa razy. Widzieliśmy całe rodziny pokazujące sobie Mikołaja i uśmiechające się do niego, a po chwili nieruchomiejące i z zaciekawieniem obserwujące dom Lisbonów, jak przechodnie gapiący się na wypadek samochodowy. To, że Lisbonowie jeszcze długo po Bożym Narodzeniu nie założyli lampek, tylko bardziej podkreśliło smętny wygląd domu. Na sąsiednim trawniku Pitzenbergerów trzy ośnieżone aniołki grały na czerwonych trąbkach. Po drugiej stronie ulicy, u Beatesów, różnobarwne kandyzowane żelki świeciły w oszronionych krzakach. Dopiero w styczniu, gdy już od tygodnia nie pracował, pan Lisbon wyszedł założyć lampki. Rozłożył je na krzewach przed domem, ale po ich włączeniu nie był zadowolony z rezultatu.

– Jedna z nich mruga – powiedział do pana Batesa, idącego do samochodu. – Na pudełku napisali, że taka będzie mieć czerwoną końcówkę, ale sprawdziłem wszystkie i nie mogę znaleźć winowajcy. Nie cierpię mrugających światełek.

Być może faktycznie ich nie lubił, ale wciąż mrugały, jeśli tylko nie zapomniał ich włączyć wieczorem.

Przez całe zimę dziewczęta pozostawały nieuchwytnie. Czasami jedna lub druga wychodziła z domu, kuląc się z zimna, chmura pary z ust przesłaniała jej twarz, i po krótkiej chwili dziewczyna wracała do środka. Nocami Therese nadal używała swojej radiostacji, wystukując wiadomości pozwalające jej wyrwać się z domu, do ciepłych stanów południowych, a nawet na koniec Ameryki Południowej. Tim Winer przeszukiwał fale radiowe w poszukiwaniu częstotliwości używanej przez Therese i kilka razy twierdził, że ją znalazł. Raz rozmawiała z facetem z Georgii o jego psie (artretyczne biodra, operować czy nie?), a innym razem, za pomocą tego bezpłciowego, beznarodowościowego środka przekazu, nawiązała kontakt z istotą ludzką, której kilka odpowiedzi udało się Winerowi zapisać. Zapis składał się z kropek i kresek, ale nakłoniliśmy Tima, aby przełożył to na angielski. Wymiana zdań wyglądała mniej więcej w ten sposób:

– Ty też?

– Mój brat.

– Ile lat?

– Dwadzieścia jeden. Przystojny. Doskonały skrzypek.

- Jak?
- Most w pobliżu. Szybki prąd.
- Jak sobie poradzić?
- Nigdy się nie uda.
- Jaka jest Kolumbia?
- Ciepła. Spokojna. Przyjedź.
- Byłoby fajnie.
- Mylisz się co do *bandidos*.
- Muszę iść. Mama mnie woła.
- Dach na niebiesko zgodnie z twoją radą.
- Cześć.
- Cześć.

To było wszystko. Naszym zdaniem interpretacja jest dosyć oczywista, widać wyraźnie, że najpóźniej w marcu Therese zaczęła dążyć w stronę świata większej swobody. Mniej więcej w tym czasie wysłała listy do kilku college'ów z prośbami o przesłanie materiałów aplikacyjnych (reporterzy później bardzo rozdmuchali tę sprawę). Dziewczęta ponadto zamawiały katalogi z rzeczami, jakich nigdy nie mogłyby kupić, a skrzynka pocztowa Lisbonów znowu zaczęła być pełna – katalogi mebli ze Scott-Shruptine, odjazdowe ciuchy, egzotyczne wczasy. Nie mogąc ruszyć się z miejsca, dziewczęta podróżowały w wyobraźni do złoconych świątyń Syjamu, albo przechadzały się obok staruszka, który za pomoce wiadra i miotły z liści sprzątał pokryty dywanem mchu swój mały kawałek Japonii. Gdy tylko poznaliśmy nazwy tych katalogów, natychmiast je zamówiliśmy, aby zobaczyć, gdzie dziewczęta chciały pojechać. „Przygody Dalekiego Wschodu”. „Podróże bez granic”. „Tunel do Chin”. „Orient Express”. Mamy cały komplet. Przewracaliśmy strony i wędrowaliśmy z dziewczynami przez zakurzone przełęcze, zatrzymując się co jakiś czas, aby pomóc im zdjąć plecaki, kładąc nasze dłonie na ich ciepłych, wilgotnych ramionach i wpatrując się w zachód słońca przypominający papaję. Piliśmy z nimi herbatę w wodnych pawilonach, ponad jaskrawymi złotymi rybkami. Robiliśmy, co nam się żywnie podobało, a Cecilia wcale się nie zabiła – była panną młodą w Kalkucie, z czerwonym welonem i podeszwami stóp ufarbowanymi henną. Jedyнным sposobem, aby zbliżyć się do dziewcząt, były te nieprawdopodobne wyprawy, które na zawsze już nas naznaczyły, i dlatego też więcej szczęścia odnajdujemy w marzeniach niż w naszych żonach. Niektórzy z nas

nadużywali tych katalogów, zabierając je i oglądając w samotności, albo wynosząc je pod koszulą. Ale nie mieliśmy żadnych innych zajęć, śnieg padał, a niebo było nieodmiennie szare.

Chcielibyśmy móc autorytatywnie opowiedzieć, jak wyglądał dom Lisbonów od wewnątrz albo jak czuły się uwięzione w nim dziewczyny. Czasami, zupełnie wyczerpani naszym śledztwem, marzymy o odnalezieniu jakiś strzępków dowodów, jakiegoś kamienia z Rosetty, który pomógłby nam w końcu wytłumaczyć zachowanie dziewcząt. Ale oprócz tego, że zima tamtego roku z pewnością nie należała do szczęśliwych, niewiele więcej można powiedzieć na pewno. Próby wyszukiwania dokładnego źródła bólu dziewcząt przypominają nieco zalecane nam przez lekarzy samobadanie (tak, już jesteśmy w tym wieku). Kazali nam się regularnie badać, z zachowaniem klinicznego obiektywizmu sprawdzać nasz najbardziej osobisty woreczek i przez jego naciskanie odcisnąć w sobie jego anatomiczną rzeczywistość – dwa żółwie jaja ułożone w gniazdku drobnych gron, z wijącymi się w różne strony rurkami, wybrzuszanymi się w guzkowatych chrząstkach. Naszym zadaniem jest poszukiwanie w tym słabo rozpoznanym terenie, pośród naturalnych grudek i zwojów, parweniuszowskich nieproszonych gości. Nigdy nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jak wiele mamy zgrubień, aż zaczęliśmy nasze badania. I tak leżymy na plecach, sondujemy, wzdramy się, ponownie sondujemy, a ziarna śmierci gubią się w tym bezładzie, jakim nas stworzył Bóg.

Zupełnie podobnie jest z dziewczętami. Jak tylko zaczynamy delikatnie obmacywać ich rozpacz, natychmiast zastanawiamy się, czy określona rana mogła być śmiertelną, czy też (w naszym diagnozowaniu na ślepo) jest to w ogóle rana. Równie dobrze mogą to być usta, też wilgotne i ciepłe. Rana może być na sercu albo na rzepce. Trudno nam powiedzieć. Możemy jedynie szukać po omacku i badać po kolei nogi, ręce, miękkie tułów mięczaka, aż do wyimaginowanej twarzy. Ona do nas przemawia. Ale my nic nie słyszymy.

* * *

Co noc patrzyliśmy uważnie w okna pokojów dziewcząt. Rozmowy przy stole nieodmiennie schodziły na temat ciężkiej sytuacji tej rodziny. Czy pan Lisbon znajdzie nową pracę? Jak utrzyma rodzinę? Jak długo dziewczyny mogą być trzymane w zamknięciu? Nawet babcia Karafilis wybrała się raz na parter (i to nie w dzień kąpieli), jedynie po to, aby zerknąć na dom Lisbonów. Nie pamiętamy, aby babcia Karafilis kiedykolwiek zainteresowała się sprawami

świata, od kiedy ją poznaliśmy, zawsze mieszkała w piwnicy w oczekiwaniu na śmierć. Czasami Demo Karafilis zapraszał nas do swojej piwnicy, aby tam zagrać w piłkarzyki, i wtedy przechodziliśmy obok rur grzewczych, starych łóżek, wypchanych walizek, aż w końcu zagłębialiśmy się w małym pokoiku, który babcia Karafilis przystroić tak, aby przypominał jej Azję Mniejszą. Z kratownicy sufitu zwisały sztuczne winogrona, w ozdobnych skrzynkach znajdowały się larwy jedwabników, żużlobetonowe ściany były pomalowane na błękitny kolor, dokładnie oddający barwę nieba w jej ojczystym kraju. Przylepione widokówki służyły za okna prowadzące do innego czasu i miejsca, w którym wciąż jeszcze żyła babcia Karafilis. W tle wznosiły się zielone góry, a przed nimi leżały porozrzucane grobowce osmańskie, dachy z czerwonej dachówki, a w jednym z rogów, jak w Technikolorze widać było kłęb pary unoszący się znad mężczyzny sprzedającego gorące pieczywo. Demo Karafilis nigdy nie tłumaczył nam, co było nie w porządku z jego babcią, nawet nie wydawało mu się dziwne, że trzymali ją w piwnicy, między ogromnym bojlerem i bulgocącymi rurami odpływowymi (nasze nisko położone przedmieście często było zalewane przez powodzie). Jednak jej zachowanie, sposób, w jaki zatrzymywała się przed kolejnymi widokówkami i lizała palec, aby nieodmiennie przyłożyć go do tego samego wyblakłego punktu, w jaki uśmiechała się swoimi złotymi zębami, kiwając głową w stronę widoczków, jakby witając przechodniów, to wszystko mówiło nam, że babcię Karafilis ukształtowała i zasmuciła zupełnie nieznana nam historia. Czasami nas zauważała i wtedy mówiła:

– Zgaś światło, słodki *mou* – a my spełnialiśmy jej prośbę, zostawiając ją w ciemnościach, wachlując się gratisowym wachlarzem, jaki co roku otrzymywała w prezencie gwiazdkowym od domu pogrzebowego, który pochował jej męża (wachlarz, tania produkcja z kartonu przypiętego spinaczem do patyczka z lizaka, ukazywał Jezusa modlącego się w Ogrójcu, ze złowieszczymi chmurami kłębiącymi się w tle, a na drugiej stronie znajdowała się reklama usług pogrzebowych).

Poza swoimi wizytami na górze w celu wzięcia kąpieli – zawsze obwiązana w pasie liną, której koniec lekko ciągnął ojciec Demo, podczas gdy Demo z braćmi pomagali z tyłu – babcia Karafilis wybierała się tam tylko wtedy, gdy raz na dwa lata w telewizji emitowano film „Pociąg do Stambułu”. Wtedy siadała, podniecona jak mała dziewczynka, pochylona na kanapie w oczekiwaniu na dziesięciosekundową scenę pociągu przejeżdżającego przez kilka zielonych wzgórz, których widok chwytał ją za serce. Podnosiła ręce wysoko do góry, wydawała z siebie

przeraźliwe okrzyki, podczas gdy pociąg – nieodmiennie za każdym razem – znikał w tunelu.

Babcia Karafilis nigdy specjalnie nie interesowała się sąsiedzkimi plotkami, przede wszystkim dlatego, że nie mogła ich zrozumieć, a jeśli coś rozumiała, to było dla niej banalne. W młodości musiała ukryć się przed Turkami w jaskini. Przez cały miesiąc żywiła się wyłącznie oliwkami, połykając pestki, aby zappełnić pusty żołądek. Na własne oczy widziała rzeź swojej rodziny, mężczyzn wiszących na słońcu, z własnymi genitaliami w ustach, i teraz, gdy opowiadano, że Tommy Riggs skasował lincolna swoich rodziców, albo że podczas pożaru choinki Perkinsów zginął ich kot, zupełnie nie robiło to na niej wrażenia. Ożywiła się tylko raz, gdy ktoś napomknął o siostrach Lisbon, ale również wtedy nie zadawała żadnych pytań i nie chciała poznać szczegółów, chciała jedynie nawiązać z nimi kontakt telepatyczny. Gdy rozmawialiśmy w jej pobliżu o tych dziewczętach, babcia Karafilis podnosiła głowę, a potem wstawiała z wielkim trudem z krzesła i, podpierając się o laskę, chodziła po zimnej, betonowej posadzce. W jednym końcu piwnicy słabe światło sączyło się przez małe okienko, a ona podchodziła do zimnych szyb i patrzyła w skrawek nieba widoczny przez siateczkę pajęczyn. Mogła zobaczyć tylko tę małą cząstkę świata dziewcząt, tylko to samo niebo nad ich domem, ale to jej wystarczyło. Przyszło nam na myśl, że zarówno ona, jak i dziewczęta odczytywały z chmur tajemne znaki nieszczęścia, że pomimo dzielącej je ogromnej różnicy wieku istniała między nimi jakaś ponadczasowa nić komunikacji, jakby ona udzielała porad dziewczętom, mamrocząc po grecku:

– Nie marnujcie czasu na życie.

Studzienka okienna była wypełniona mierzwą i opadłymi liśćmi oraz szczątkami połamanego krzesła z naszej zabawy w fort. Światło prześwitywało przez cieniutką podomkę babci Karafilis, na której widniał bezbarwny wzór, jak na papierowych ręcznikach. Jej sandały nadawały się do noszenia w *hammam*, łaźni pełnej pary, ale nie na tej kamiennej posadzce. Gdy dowiedziała się, że dziewczęta zostały ponownie zamknięte, tylko podniosła głowę, pokiwała nią i nawet się nie uśmiechnęła. Ale wyglądało na to, że już o tym wiedziała.

W trakcie swoich cotygodniowych kąpiel w soli angielskiej mówiła o dziewczętach lub z nimi rozmawiała, trudno nam było rozróżnić. Nie zbliżaliśmy się zanadto, nie podsłuchiwalismy pod dziurką od klucza, ponieważ kilka razy mignęła nam w przelocie i te sprzeczności, które ujrzelismy w babci Karafilis, jej obwisłe piersi z minionego wieku, sine nogi, jej rozpuszczone włosy zdumiewająco długie i błyszczące, jak u dziewczynki, wprawiały nas w głębokie

zakłopotanie. Czerwieniliśmy się na sam dźwięk płynącej z kranu wody, słysząc przez nią przytłumiony głos babci Karafilis, narzekającej na swoje bóle, podczas gdy czarna służąca, sama już niemłoda, starała się ją uspokoić, te dwie kobiety samotne w swym zniedołężnieniu za drzwiami łazienki, wykrzykujące, śpiewające, najpierw Murzynka, a później babcia Karafilis, która śpiewała stare greckie pieśni, a potem już tylko dźwięk chlupoczącej wody o niewyobrażalnym dla nas kolorze. Po kąpieli wynurzała się blada jak przedtem, z głową zawiniętą w ręcznik. Słyszeliśmy, jak jej płuca wypełniają się powietrzem, gdy Murzynka obwiązywała ją w pasie sznurem i zaczynała opuszczać po schodach. Pomimo tego, że babcia Karafilis chciała jak najszybciej umrzeć, podczas schodzenia po schodach na jej twarzy zawsze malowało się przerażenie, mocno trzymała się poręczy, a jej oczy powiększały się za okularami bez oprawy. Czasami, gdy nas mijała, dzieliliśmy się z nią ostatnimi informacjami o dziewczętach, na co ona wykrzykiwała „*Manal*”, co, z tego co nam powiedział Demo, miało oznaczać mniej więcej „Cholera jasna!”, ale tak naprawdę nigdy nie wyglądała na zdziwioną. Tam na zewnątrz, za widzianymi raz na tydzień oknami po drugiej stronie ulicy, istniał świat, który – jak wiedziała babcia Karafilis – już od lat umierał.

Bo, ostatecznie, to nie śmierć ją zdumiewała, lecz upór życia. Nie mogła pojąć, jak to możliwe, że Lisbonowie zachowywali się tak cicho, dlaczego nie zawodzili pod niebiosa albo nie postradali zmysłów. Na widok pana Lisbona rozwijającego lampki bożonarodzeniowe pokręciła tylko głową i zamruczała coś pod nosem. Puściła specjalnie zamontowaną na parterze poręcz dla starców, samodzielnie zrobiła kilka kroków na poziomie morza i po raz pierwszy od siedmiu lat nie czuła żadnego bólu. Demo wytłumaczył nam to w następujący sposób:

– My, Grecy, bardzo poddajemy się nastrojom. Samobójstwo ma dla nas jakiś sens. Natomiast wieszanie lampek bożonarodzeniowych po śmierci własnej córki – to jest pozbawione sensu. Moja *yia yio* nigdy nie była w stanie pojąć jednej rzeczy w Ameryce – dlaczego wszyscy zawsze starają się udawać szczęśliwych.

Zima jest porą alkoholizmu i rozpaczy. Wystarczy policzyć pijanych w Rosji czy samobójstwa na uniwersytecie Cornell. Tak wielu studentów przygotowujących się do egzaminów rzucało się do wąwozu w tym położonym na wzgórzach kampusie, że uniwersytet musiał wprowadzić zimową przerwę międzysemestralną, aby nieco zmniejszyć panujące wśród studentów napięcie (powszechnie znany jako „dzień samobójców”, ten okres ferii pojawił się podczas przeprowadzonego przez nas wyszukiwania w internecie obok „jazdy samobójców” i

„pojazdu samobójców”), tych studenciaków również nie rozumiemy, jakaś Bianca, ze swoim pierwszym krążkiem macicznym i całym życiem przed sobą, skacząca z kładki dla pieszych, amortyzowana jedynie przez puchową kamizelkę; albo Bill, chłopak o egzystencjalnym usposobieniu, z papierosami zawierającymi goździki i w płaszczu od Armii Zbawienia – ten Bill jednak nie skoczył, jak to zrobiła Bianca, ale opuścił się i zawisnął na poręczy, w oczekiwaniu na przyjście upragnionej śmierci, a dopiero po chwili puścił się (wśród osób wybierających most na miejsce popełnienia samobójstwa 33 procent ma naciągnięte mięśnie ramion, a pozostałe 67 procent po prostu skacze). Wspominamy o nich w tym miejscu jedynie po to, aby pokazać, że nawet studenci, którym nikt nie broni ostro popijać i sypiać z kim chcą, potrafią masowo odbierać sobie życie. Wyobraźmy sobie teraz, jak musiały się czuć córki Lisbonów, zamknięte w swoim domu, bez huczącego sprzętu stereo czy fajki z haszem pod ręką.

Reporterzy opisujący, jak to określali, „*zamiar popełnienia zbiorowego samobójstwa*”, traktowali dziewczęta jak jakieś automaty, jak istoty w tak niewielkim stopniu żywe, że ich śmierć niewiele zmieniła. W relacji pani Perl, która dwa czy trzy miesiące życia i cierpienia czterech osób potrafiła zmieścić w jednym akapicie z nagłówkiem: „*Gdy młodość nie widzi perspektyw*”, dziewczęta pojawiają się jako nierozróżnialne postacie, stawiające czarne krzyżyki w kalendarzu albo trzymające się za ręce w samozwańczej czarnej mszy. W dywagacjach pani Perl pełno jest odniesień do satanizmu albo do łagodnej odmiany czarnej magii. Bardzo dużą wagę przykładła do incydentu z paleniem płyt i często cytowała teksty piosenek o śmierci czy samobójstwie. Zaprzyjaźniła się z prezenterem lokalnego radia i spędziła całą noc na słuchaniu płyt, które, zdaniem koleżanek Lux, należały do jej ulubionych. Z tych „poszukiwań” powróciła ze znaleziskiem, z którego była najbardziej dumna – była to piosenka grupy Cruel Crux, zatytułowana „Przekleństwa niewinności”. Znajduje się w niej poniższy refren, aczkolwiek ani pani Perl, ani my nie byliśmy w stanie ustalić, czy ten album znajdował się pośród płyt, które pani Lisbon kazała Lux spalić:

Przekleństwa niewinności!

To jej samobójczy krzyk pełen żalości.

Nie zgadzała się na ten świat

Pelen bólu, krzywd i wad.

Oddała mi się w swej dziewiczej miłości

Ofiara przekleństw niewinności.

Z pewnością ta piosenka zgrabnie wiąże się z sugestią, że dziewczęta opętały jakieś ciemne moce, jakieś monolityczne zło, za które nie mogliśmy ponosić odpowiedzialności. Jednak trudno o ich zachowaniu powiedzieć, że było monolityczne. Podczas gdy Lux urządziła schadzki na dachu, Therese hodowała fluorescencyjne koniki morskie w szklance, a Mary na końcu korytarza całymi godzinami wpatrywała się w lustro. Lustro było umieszczone w owalnej ramce z różowego plastiku i otaczał je rząd gołych żarówek, jak w garderobach aktorek. Za pomocą przełącznika Mary mogła symulować różne pory dnia i różną pogodę. Było tam ustawienie na „poranek”, „popołudnie” i „wieczór”, jak również „jasne słońce” i „zachmurzenie”. Całymi godzinami Mary mogła siedzieć przed lustrem, patrząc na swoją twarz zmieniającą się wraz ze zmianami fałszywego świata. Zakładała ciemne okulary w świetle słonecznym i opatulala się pod chmurami. Pani Lisbon czasami widziała, jak córka włącza i wyłącza światło, błyskawicznie przechodząc przez dziesięć lub dwadzieścia dni, często też koło niej siedziała jedna z sióstr i Mary mogła udzielać jej rad:

– Spójrz, gdy niebo jest zachmurzone, wychodzą podkrążone oczy. To dlatego, że mamy bladą skórę. W słońcu... moment... widzisz, jak teraz znikają. Dlatego też w pochmurne dni trzeba nakładać więcej podkładu lub korektora. Z kolei w blasku słońca nasza cera jest dość blada, więc potrzebujemy więcej koloru. Szminki, a nawet cienia do powiek.

Również w blasku reflektora prozy pani Perl, cechy sióstr Lisbon wypadły dość blado. Do opisu dziewcząt używała chwytnych określeń, jak „tajemnicze” czy „samotne”, a w jednym miejscu pozwoliła sobie nawet napisać, że „*przyciągały je pogańskie aspekty kościoła katolickiego*”. Nigdy nie doszliśmy do tego, co ten zwrot miał dokładnie znaczyć, ale wiele osób sadziło, że mogło mieć to związek z podjętą przez nie próbą uratowania rodzinnego wiążu.

W końcu nadeszła wiosna. Drzewa zaczęły pączkować. Na skutek odwilży pojawiły się pęknięcia w asfalcie. Pan Bates, jak co roku, odnotowywał wszystkie nowe dziury w nawierzchni, aby wysłać ich pełną listę do wydziału dróg publicznych. Na początku kwietnia ponownie pojawili się pracownicy wydziału zieleni i w miejsce czerwonych opasek na skazanych na zagładę drzewach, założyli nowe, tym razem żółte, z napisem „drzewo sklasyfikowane jako chore na chorobę naczyniową wiązów i przeznaczone do usunięcia, w celu zahamowania dalszego jej rozprzestrzeniania. Wydział zieleni”. Trzeba było obejść drzewo trzy razy, aby przeczytać cały napis. Również wiąz rosnący przed domem Lisbonów (patrz dowód rzeczowy nr 1) znalazł się wśród przeznaczonych do wycinki i, gdy jeszcze było dość zimno, przyjechała

brygada robotników, aby go ściąć.

Znaliśmy już procedurę. Najpierw robotnik w koszu z włókna szklanego wjeżdżał na wysokość wierzchołka, wiercił otwór w korze i przykładał ucho, jakby słuchał zamierającego pulsu drzewa. Następnie bezceremonialnie zaczynał odcinać mniejsze gałęzie, które chwytały w swoje pomarańczowe rękawice stojący na dole robotnicy. Układali gałęzie jedna obok drugiej, jakby to były kantówki budowlane, a potem wkładali je do piły tarczowej, umieszczonej na pace ich samochodu. Nad ulicą unosiły się chmury trocin i nawet po latach, gdy zachodziliśmy do staromodnych knajp, leżące w nich trociny zawsze miały już przypominać nam kremację naszych drzew. Po оголоczeniu drzewa robotnicy przechodzili do obnażania kolejnych i przez jakiś czas drzewo stało jak porażone, próbując wzniesć swoje skarłowaciałe ramiona, jak istota oniemiała po skatowaniu, a tylko jego nagłe milczenie uzmysławiało nam, że przez cały czas do nas mówiło. Gdy tak stały w swojej celi śmierci, oczekując na ścięcie, przypominały stojący u Baldinosów betonowy pniak z grillem, i wtedy zrozumieliśmy, że Sammy Rekin był niesamowicie przewidujący w projektowaniu wejścia do swego podziemnego korytarza, które nie wyglądało tak, jak drzewa wyglądały w chwili jego budowania, ale tak jak miały wyglądać w przyszłości i gdyby kiedyś był zmuszony do ucieczki, mógłby skorzystać z jednego z setki identycznych pniaków.

Zazwyczaj ludzie wychodzili z domów pożegnać się ze swoimi drzewami. Nierzadko widać było rodzinę zebraną na trawniku w bezpiecznej odległości od pił łańcuchowych, zmęczonego ojca i matkę z dwójką lub trójką długowłosych nastolatków i z pudłem ze wstążką na szyi. Ludzie traktowali drzewa jak swoją własność. Ich psy codziennie je podlewały. Dzieci budowały na nich swoje domki. Drzewa stały tu, gdy się wprowadzali, i obiecały stać tu, gdy przyjdzie się im wyprowadzać. Ale kiedy pojawili się robotnicy z wydziału zieleni, jasnym się stało, że drzewa nie należały do nas, tylko do miasta, które mogło zrobić z nimi, co tylko chciało.

Jednak rodzina Lisbonów nie wyszła z domu podczas obcinania gałęzi. Dziewczęta wyglądały z okna na piętrze, z twarzami białymi jak krem kosmetyczny. Siedzący na górze mężczyzna wykonywał gwałtowne ruchy w przód i w tył, ścinając wielką, zieloną koronę drzewa. Odciał obwisłą, chorą gałąź, która zeszłego lata wypuściła żółte liście. Następnie zabrał się za odcinanie zdrowych gałęzi i w końcu pozostawił przed domem Lisbonów pień wyglądający jak szara kolumna. Kiedy robotnicy odjechali, nikt z nas nie wiedział, czy drzewo jeszcze żyje, czy już umarło.

Przez następne dwa tygodnie oczekiwaliśmy na przyjazd robotników z wydziału zieleni, którzy mieli skończyć rozpoczętą pracę, ale pojawili się dopiero po trzech tygodniach. Tym razem z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn z piłami łańcuchowymi. Obeszli pień w koło, przymierzając się do niego, następnie oparli piły na udach i pociągnęli za sznury rozruszników. W tym czasie siedzieliśmy w piwnicy Chase'a Buella, grając w bilard, ale zawodzenie pił dotarło do nas przez wystające nad naszymi głowami krokwie dachu. Zabrzęczały aluminiowe szyby wentylacyjne. Kolorowe bile zaczęły drzeć na zielonym filcu. Dźwięk pił łańcuchowych wypełniał nam czaszki jak wiercenie wiertarki dentystycznej, więc wybiegliśmy na zewnątrz i zobaczyliśmy mężczyzn podchodzących do wiązu. Na twarzach mieli, co prawda, okulary chroniące ich przed latającymi wiórami, ale poruszali się ze znużeniem typowym dla ludzi, którym nieobca była rzeź. Podnieśli warczące prowadnice. Jeden z nich splunął śliną z przeżuwanego tytoniu. Następnie zwiększyli obroty silników i już mieli rozpruć drzewo na kawałki, gdy z samochodu wyskoczył brygadzysta, wściekle wymachując rękami. Z drugiej strony trawnika w kierunku robotników tyralierą nadbiegały siostry Lisbon. Pani Bates, która również to obserwowała, powiedziała, że dziewczęta sprawiały wrażenie, jakby chciały się rzucić na piły łańcuchowe.

– Biegły prosto na nich. Z obłędem w oczach. – Robotnicy z wydziału zieleni nie mieli pojęcia, dlaczego ich brygadzysta tak podskakuje.

– Nic nie widziałem z boku – powiedział jeden z nich. Dziewczęta przebiegły tuż przed moją piłą. Dzięki Bogu, w porę je zobaczyłem.

Udało się to obu mężczyznom, którzy podnieśli piły i cofnęli się. Siostry Lisbon minęły ich w pędzie. Wyglądało, jakby w coś się bawiły. Oglądały się za siebie, jakby w obawie, że ktoś je ściga. Ale wkrótce dotarły do strefy bezpieczeństwa. Robotnicy wyłączyli piły i pulsujące powietrze powoli ucichło. Dziewczęta otoczyły drzewo, łapiąc się za ręce i tworząc łańcuszek.

– Wyoście się – odezwała się Mary. – To jest nasze drzewo. Nie patrzyły na robotników, stały twarzą do drzewa i przyciskały policzki do pnia. Tylko Therese i Mary miały na sobie buty, Bonnie i Lux wybiegły z domu na bosaka, co skłoniło wiele osób do przyjęcia tezy, że pomysł ratowania drzewa był zupełnie spontaniczny. Obejmowały kurczowo pień, który wznosił się nad nimi w nicość.

– Słuchajcie, dziewczyny – powiedział brygadzysta. – Już jest za późno. To drzewo już nie żyje.

– To pan tak myśli – odrzekła Mary.

– W tym drzewie są chrząszcze. Musimy ściąć to drzewo, aby chrząszcze nie rozprzestrzeniły się na inne drzewa.

– Brak jest jakichkolwiek naukowych dowodów na to, że wycinanie powoduje ograniczenie zakażenia pasożytami – powiedziała Therese. – Te drzewa są bardzo stare. Opracowały ewolucyjne strategie walczenia z chrząszczami. Dlaczego po prostu nie zostawić tego naturze do rozwiązania?

– Gdybyśmy zostawili to naturze, nie zostałyby żadne drzewa.

– Tak czy owak nie zostaną żadne – odezwała się Lux.

– Do niczego takiego by nie doszło – dodała Bonnie – gdyby najpierw statki nie przywiozły tej zarazy z Europy.

– Dziewczyny, nie można cofnąć czasu. Musimy skorzystać z naszej własnej technologii, aby uratować, co się da.

Być może nie padły żadne z tych słów. Poskładaliśmy je razem na podstawie częściowych relacji i możemy jedynie poświadczyć ogólną treść rozmowy. Dziewczęta naprawdę uważały, że drzewo może samo się obronić i faktycznie winą za ich chorobę obciążały ludzką butę. Ale wiele osób sądziło, że to była tylko zasłona dymna. Powszechnie wiadomo było, że ten właśnie wiąz był ulubionym drzewem Cecylii. Wciąż jeszcze widniał na nim odcisk jej malutkiej dłoni w wysmołowanej dziurze po sęku. Pani Scheer wspominała, jak Cecilia często stała na wiosnę pod drzewem i próbowała złapać wirujące śmigielka z jego nasionami. (My, co prawda, również pamiętamy te zielone nasionka mieszczące się w pojedynczym, włóknistym skrzydełku, pamiętamy również jak kręciło się, niczym skrzydło helikoptera, i opadało na ziemię, ale trudno nam powiedzieć, czy spadały z wiązów, czy, na przykład, z kasztanowców, a nikt z nas nie ma pod ręką podręcznika botaniki, tak popularnego wśród strażników i miłośników przyrody.) W każdym razie, wiele osób w okolicy z łatwością wyobraziło sobie, dlaczego dziewczęta kojarzyły ten wiąz z osobą Cecylii.

– To nie wiąz chciały uratować – powiedziała pani Scheer. – One chciały uratować pamięć o Cecylii.

Wokół drzewa utworzyły się trzy kręgi – krąg siostr Lisbon w kolorze blond, leśna zieleń pracowników wydziału zieleni i, nieco dalej, krąg gapiów. Mężczyźni starali się przekonać dziewczęta, nasrożyli się, próbowali przekupić je obietnicą przejażdżki samochodem, aż w końcu

zaczęli im grozić. Brygadzysta zarządził przerwę na śniadanie, sądząc, że dziewczęta w końcu dadzą za wygraną, ale po kolejnych czterdziestu pięciu minutach nadal opasywały drzewo. Na koniec poszedł do domu Lisbonów, porozmawiać z rodzicami, ale oni, ku naszemu zdumieniu, nic mu nie pomogli. Wyszli do drzwi w dwójkę, przy czym pan Lisbon obejmował ramieniem swoją żonę, w rzadko okazywanym fizycznym odruchu serdeczności.

– Musimy ściąć wiąz stojący przed państwa domem – powiedział brygadzysta. – Ale państwa dzieci nam przeszkadzają.

– A skąd wiadomo, że drzewo jest chore? – zapytała pani Lisbon.

– Proszę nam zawierzyć. My naprawdę wiemy. Na drzewie są żółte liście. To znaczy, tam były żółte liście. Już odcięliśmy tę gałąź. Dajcie spokój, to drzewo już nie żyje.

– Uważamy, że dobrym rozwiązaniem jest aritex – odezwał się pan Lisbon. – Słyszał pan o tym? Córka pokazała nam artykuł. To metoda mniej inwazyjna.

– I nieskuteczna. Posłuchajcie państwo, jeśli zostawimy to drzewo, to w przyszłym roku zginą pozostałe.

– Z tego, co widać, to i tak zginą – powiedział pan Lisbon.

– Chyba nie chcecie państwo, żebym wezwał policję?

– Policję? – zapytała pani Lisbon. – Dziewczęta po prostu stoją przed swoim domem. Od kiedy to jest przestępstwem?

Brygadzysta dał w tym momencie za wygrane, ale nie spełnił swojej groźby. Ruszył w kierunku samochodu, za którym właśnie parkowała swojego niebieskiego pontiaca pani Perl. Fotreporter od razu zabrał się za robienie zdjęć, jakie później miały pojawić się w gazecie. Nie minęła godzina od czasu, gdy dziewczęta okrążyły drzewo, a już na scenie pojawiła się pani Perl, jak najlepiej poinformowani reporterzy w Stanach, ale nigdy nie chciała zdradzić źródła swojej informacji i powiedzieć, od kogo dostała cynk. Wielu ludzi sadziło, że zrobiły to same dziewczęta, aby zyskać na popularności, ale trudno nam to potwierdzić lub temu zaprzeczyć. Fotreporter ciągle robił zdjęcia, więc brygadzysta kazał swoim robotnikom wsiąść do ciężarówki. Następnego dnia pojawił się krótki artykuł, któremu towarzyszyła ziarnista fotografia dziewcząt obejmujących pień drzewa (dowód rzeczowy nr 8). Wyglądają jak grupka druidów czczących święte drzewo. Na zdjęciu nie widać, że drzewo kończy się gwałtownie jakieś sześć metrów nad ich pochylonymi głowami.

„Cztery siostry Cecylia Lisbon, nastolatki z East Side, której samobójstwo ubiegłego lata

skupiło uwagę społeczeństwa na narodowym problemie, w środę naraziły się na poważne niebezpieczeństwo, próbując uratować ukochany przez Cecilię wiąz. W zeszłym roku drzewo zostało zakwalifikowane jako dotknięte chorobą naczyniową wiązów i tej wiosny miało być usunięte". Z powyższego wyraźnie widać, że pani Perl przyjęła teorię, zgodnie z którą siostry uratowały drzewo, aby uratować pamięć o Cecylii, a z tego, co wyczytaliśmy w pamiętniku Cecylii, nie widzimy powodów, aby się z tym nie zgodzić. Jednak po latach pan Lisbon zaprzeczył tej teorii:

– To Therese interesowała się drzewami. Wiedziała o nich wszystko. Znała wszystkie odmiany. Wiedziała nawet, jak głęboko wrastają korzenie. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, żeby Cecilia kiedykolwiek bliżej interesowała się roślinami.

Dziewczynki rozłączyły swój łańcuszek dopiero po odjeździe samochodu z pracownikami wydziału zieleni. Pocierając otarte ramiona, weszły z powrotem do domu, nawet nie obejrzały się na nas, zgromadzonych na sąsiednich trawnikach. Chase Buell usłyszał, jak Mary, wchodząc do domu, powiedziała:

– Oni tu wrócą.

Pan Patz, stojący w grupie kilkunastu osób, oświadczył:

– Byłem po ich stronie. Kiedy odjechali goście z wydziału zieleni, chciałem bić brawo.

Drzewo tymczasowo ocalało. Wydział zieleni zajął się następnymi, wycinając kolejne drzewa na naszej ulicy, ale nikt więcej nie był na tyle odważny czy też pomyłony, aby się przeciwstawiać. Ścięto wiąz Buellów, na którym wisiała huśtawka z opony samochodowej, pewnego dnia, gdy byliśmy w szkole, zniknęło drzewo przed domu Fusillisów, zniknął również wiąz Shalaansów. Wkrótce pracownicy wydziału zieleni przenieśli się na następną ulicę, jednak bezustanne wycie pił łańcuchowych nigdy nie pozwalało nam, ani też dziewczętom, zapomnieć o ich obecności.

Zaczął się sezon rozgrywek baseballa i pochłonęła nas gra. W przeszłości pan Lisbon czasami zabierał córki na mecze rozgrywane na naszym boisku i wtedy dziewczęta siedziały na trybunach, kibicując jak wszyscy. Mary rozmawiała z cheerleaderkami.

– Zawsze chciała być cheerleaderką. Ale matka jej nie pozwalała – powiedziała nam Kristi McCulchan. – Uczyłam ją niektórych okrzyków i świetnie sobie radziła.

Nie wątpiliśmy w to. Zawsze, zamiast oglądać nasze zwariowane cheerleaclerki, obserwowaliśmy siostry Lisbon. Podczas bardziej zaciętych meczów gryzły pięści i myślały, że

każda piłka wybita na zapole wyjdzie poza linię końcową boiska. Podskakiwały na fotelikach, a potem wstawały z miejsc, gdy piłka opadała, za wcześnie, na zapole. W roku samobójstw dziewczęta nie pojawiły się na żadnym meczu, my zresztą nie spodziewaliśmy się tam ich widoku. Stopniowo przestawaliśmy szukać ich podnieconych twarzy na trybunach i przestaliśmy również wchodzić pod trybuny, skąd kiedyś je podglądaliśmy, a przynajmniej to, co było widać przez paski ławek.

* * *

I chociaż współczuliśmy siostrom Lisbon i stale o nich myśleliśmy, one nam się wymykały. Ich obrazy, zachowywane przez nas w sercu – dziewczyn w strojach kąpielowych, przeskakujących przez zraszacz trawy albo uciekających przed wężem ogrodowym, zaczarowanym przez ciśnienie wody w gigantycznego smoka – zaczęły zacierać się w naszej pamięci, pomimo naszych religijnych medytacji w chwilach intymnej prywatności, gdy leżeliśmy w łóżkach obok dwóch poduszek związanych tak, aby przypominały ludzki kształt. Nie potrafiliśmy już przywołać w naszych uszach dokładnej wysokości i intonacji głosów sióstr Lisbon. Nawet kupione w sklepie Jacobsona mydło jaśminowe, trzymane w starym pojemniku na chleb, zawilgotniało i straciło swą woń, pachnąc teraz jak mokre pudełko zapalek. Równocześnie nie do końca przenikało do naszych umysłów to, że dziewczęta powoli dematerializują się, i czasami budziliśmy się rano w świecie wciąż nienaruszonym – przeciągaliśmy się, wstawaliśmy i dopiero po przetarciu oczu, gdy stawaliśmy przed oknem, przypominaliśmy sobie o gnijącym domu po drugiej stronie ulicy i o czarnych od mchu oknach, zakrywających dziewczyny przed nami. Prawda wyglądała w sposób następujący – zaczynaliśmy zapominać o siostrach Lisbon, a naszą pamięć wypełniała pustka.

Blakły kolory ich oczu, pieprzyki na ich skórze, zacierały się dołeczki w policzkach, ranki po wijach. Już od tak dawna nie widzieliśmy ich uśmiechu, że nie byliśmy nawet w stanie wyobrazić sobie ich stłoczonych zębów.

– One są już tylko wspomnieniem – powiedział smutno Chase Buell. – Już czas je spisać na straty.

Ale nawet wtedy, gdy wypowiadał te słowa, sam buntował się przeciw nim, podobnie jak my wszyscy. I zamiast puścić dziewczyny w niepamięć, jeszcze raz wyciągnęliśmy należące do nich

rzeczy, to wszystko, co się nam udało zebrać w trakcie naszej dziwnej kurateli nad nimi – adidas Cecylii, mikroskop Therese, szkatułkę, w której na poduszeczce z bawełny leżał kosmyk włosów Mary w wyblakłym kolorze blond, kserokopia należącego do Cecylii laminowanego obrazka Marii Dziewicy, jeden z obcisłych letnich topów Lux. Zebraliśmy wszystko na kupie pośrodku garażu Joe Larsona, zostawiając uchylone automatyczne drzwi, aby widzieć, co się dzieje na zewnątrz. Słońce już zaszło i niebo pociemniało. Po odjeździe pracowników wydziału zieleni ulica znów należała do nas. Po raz pierwszy od miesiący w oknie domu Lisbonów pojawiło się światło, które jednak zaraz zgasło. W odpowiedzi mignęło inne światło, w sąsiednim pokoju. Wokół latarni ulicznych zauważyliśmy aureole niewyraźnego wiru, którego początkowo nie rozpoznaliśmy, ponieważ znaleźliśmy go tak dobrze, bezsensowny wzór ekstazy i szaleństwa – zlatywały się pierwsze w tym sezonie jętki.

Minął rok, a my wciąż nic nie wiedzieliśmy. Liczba dziewcząt z pięciu zredukowała się do czterech i one wszystkie – żywe i umarłe – stawały się cieniami. Nawet ich rzeczy, leżące u naszych stóp, nie były w stanie potwierdzić istnienia dziewcząt, a już najbardziej anonimowa była torebka z ceraty, pokryta złotym łańcuszkiem, która mogła należeć do dowolnej z sióstr czy też do dowolnej dziewczyny na świecie. To, że kiedyś mogliśmy być na tyle blisko, aby przechodzić przez zapach tak różnych szamponów dziewcząt (od ziołowego ogrodu, przez cytrynową polanę do sadu zielonych jabłek), stawało się coraz bardziej nierealne.

Jak długo mogliśmy pozostawać wierni tym dziewczynom? Jak długo mogliśmy zachowywać o nich nieskalane wspomnienia? W obecnym stanie wcale już ich nie znaleźliśmy, a ich nowe zwyczaje – na przykład otwierania okna i wyrzucania przez nie pozwijanego papierowego ręcznika – powodowały, że zastanawialiśmy się, czy w ogóle kiedykolwiek je znaleźliśmy, czy też może nasza czujność była jedynie tropieniem zjaw. Nasze talizmany przestały działać. Gdy dotykaliśmy należącej do Lux szkolnej spódniczki w kratę, przywoływała jedynie mgliste wspomnienie jej właścicielki ubranej w nią w klasie – znudzona dłoń bawiąca się srebrną agrafą przy spódnicy, rozpinająca ją, pozostawiając fałdy luźno leżące na jej nagich kolanach, w każdej chwili mogące opaść, ale jednak nigdy, nigdy... Przez kilka minut musieliśmy trzeć w palcach tę spódniczkę, aby znów wyraźnie widzieć ten obraz. Podobnie blakły wszystkie inne slajdy w karuzelowym magazynku naszego projektora albo po pstryknięciu nie pojawiał się żaden obraz, a my staliśmy wpatrzeni w gęsią skórę na białej ścianie.

I pewnie utracilibyśmy je całkowicie, gdyby dziewczyny same się z nami nie skontaktowały.

Właśnie w tym okresie, gdy zaczynaliśmy tracić nadzieję, że kiedykolwiek uda się nam znowu do nich zbliżyć, pojawiły się nowe laminowane obrazki z Marią Dziewicą. Pan Hutch znalazł taki obrazek, wciśnięty za wycieraczkę w samochodzie, a że nie rozpoznał jego znaczenia, zmiął go i wrzucił do popielniczki. Później Ralph Hutch wykopał go spod warstwy popiołu i niedopałków. Gdy przyniósł go do nas, obrazek był nadpalony w trzech miejscach, ale od razu zauważyliśmy, że był identyczny z obrazkiem Marii Dziewicy, który Cecilia trzymała w wannie, a po wytarciu sadzy z tyłu wyłonił się numer telefonu 555-MARY.

Nie tylko pan Hutch znalazł obrazek. Pani Hessen znalazła jeden wbity na kolce krzewu róży. Pewnego dnia Joey Thompson usłyszał dziwny terkot dochodzący z kół swojego roweru i kiedy spojrzął w dół, zobaczył obrazek Marii Dziewicy przyklejony do szprych. I w końcu Tim Winer znalazł obrazek zatknięty w fugę przy oknie swojego gabinetu, patrzący wprost na niego. Jak nam sam powiedział, obrazek musiał tkwić tam już od jakiegoś czasu, ponieważ wilgoć przeniknęła przez warstwę laminatu i twarz sprawiała wrażenie, jakby była dotknięta gangreną. Pod każdym innym względem Maria wyglądała identycznie jak pozostałe, ubrana w błękitny płaszcz z kołnierzem ze złotej lamy. Na jej głowie spoczywała korona, całkiem jak z reklamy margaryny Imperial. Opasana różańcem, Przenajświętsza Matka miała na twarzy ten swój wyraz błogości, jak ktoś po środkach uspokajających. Nikt nie widział dziewczyn wkładających te obrazki i nikt nie miał pojęcia, dlaczego to robiły. Ale jeszcze teraz, po tak wielu latach, wciąż pamiętamy podniecenie, jakie nas ogarniało, gdy ktoś przynosił nowe znalezisko. Obrazki zawierały jakąś wiadomość, której jednak nie potrafiliśmy w pełni zrozumieć, a ich żalony stan – rozdarcia, pleśń – powodował, że wyglądały jak starożytne. „To było uczucie”, napisał Tim Winer w swoim własnym dzienniku, „podobne towarzyszącemu przy wykopywaniu bransoletki, która nosiła kiedyś na kostce u nogi jakaś biedna dziewczyna uduszona w Pompei. Właśnie ją założyła i siedząc przy oknie wymachiwała nóżką, podziwiając migotanie klejnotów – a one nagle rozbłysły czerwonym światłem erupcji wulkanu” (Winer czytał dużo Mary Renault).

Zdaliśmy sobie sprawę, że dziewczęta zaczęły przekazywać nam sygnały również na inne sposoby, nie tylko przez obrazki Marii Dziewicy. Gdzieś w maju chiński lampion Lux zaczął wysyłać jakieś sygnały w niemożliwym do rozszyfrowania alfabecie Morse’a. Co wieczór, gdy ulicę zaczynała spowijać ciemność, jej lampion zapalał się, a ciepło żarówki włączało latarnię magiczną, która rzucała cienie na ściany. Wydawało się nam, że te cienie przekazują jakieś wiadomości, a nasze przypuszczenia potwierdziły się, gdy skorzystaliśmy z lornetki, ale okazało

się, że wiadomości były nadawane po chińsku. Zazwyczaj lampion włączał się i gasł bez ustalonego porządku – trzy krótkie, dwa długie, dwa długie, trzy krótkie – a potem zapalało się górne światło, oświetlając pokój na podobieństwo sali muzealnej. Podczas naszej krótkiej wizyty zwiedzaliśmy jej pokój z szacunkiem, trzymając się za aksamitnymi sznurami, przechodząc obok mebli z końca dwudziestego wieku – wezglowie od Shearsa z dopasowanym nocnym stolikiem, należąca do Therese lampa Apollo 11 rzucająca światło na ulubiony plakat Lux, przedstawiający Billy Jacka w czarnym kapeluszu z płaskim rondem i pasem Indian Nawaho. Zwiedzanie trwało trzydzieści sekund, a potem pokój Lux i Therese ponownie ogarniały ciemności. Następnie, jakby w odpowiedzi, dwukrotnie rozbłyskał światłem pokój Bonnie i Mary. Za oknami nie przesuwaly się żadne postaci, również czas iluminacji nie odpowiadał żadnej typowej czynności. Światła w pokojach dziewcząt zapalały się i gasły bez żadnego widocznego powodu.

Co noc próbowaliśmy złamać ten szyfr, Tim Winer wziął swój automatyczny ołówek i zaczął rejestrować błyski dochodzące z okien dziewcząt, ale i tak wiedzieliśmy, że nie będą one pasować do żadnego ustalonego sposobu komunikacji. W niektóre noce światło hipnotyzowało nas do tego stopnia, że po dojściu do siebie zupełnie nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy, ani co tu robimy, a w zakamarkach naszego umysłu świecił jedynie burdelowy, czerwony, chiński lampion Lux.

Dopiero po pewnym czasie zauważyliśmy światła w dawnym pokoju Cecilii. Oszołomieni przez błyski docierające z dwóch stron domu, nie dostrzegliśmy czerwonych i białych drobnych punkcików jarzących się w oknie, z którego wyskoczyła dziesięć miesięcy wcześniej. Gdy już je zobaczyliśmy, nie byliśmy zgodni, czym były. Niektórzy sadzili, że są to kadzidelka, jarzące się podczas jakiegoś obrzędu, a inni twierdzili, że to po prostu papierosy. Hipoteza o papierosach upadła, gdy zobaczyliśmy, że było więcej ogników niż potencjalnych palących, a gdy naliczyliśmy ich szesnaście, w końcu przynajmniej częściowo poznaliśmy tajemnicę – dziewczęta zbudowały ołtarzyk dla swojej zmarłej siostry. Ci z nas, którzy chodzili do kościoła, twierdzili, że okno przypominało grotę w katolickim kościele św. Pawła nad jeziorem, ale zamiast wznoszących się w górę równych rzędów świeczek wotywnych, wszystkich tej samej wielkości i o takim samym znaczeniu, jak dusze podążające za ich światłem, dziewczęta skonstruowały fantasmagorię światel przewodnich. Parafinę skapującą ze świec stołowych stopiły razem w jedną bryłę, opatrzoną własnym knotem. Przygotowały dziesięć świeczek z

psychodelicznego „zestawu świeczek artystycznych”, jaki Cecilia kupiła kiedyś na ulicznym jarmarku sztuki. Rozpaliły całe pudełko sześciu grubych i długo palących się świec, jakie pan Lisbon trzymał na poddaszu na wypadek awarii zasilania. Podpaliły trzy szminki Mary, które płonęły wyjątkowo dobrze. Światło świec pełgało na parapecie, w kubkach zawieszonych na wieszakach do ubrań, w starych doniczkach, na obciętych kartonach po mleku. W nocy widzieliśmy Bonnie, jak zajmuje się podtrzymywaniem ognia. Czasami, gdy widziała, że jakies świece toną we własnym wosku, nożyczkami wykopywała kanały odpływowe, ale najczęściej stała wpatrzona w świece, jakby to co się z nimi działo miało wpływ na jej własny los, płomienie przygasały zalewane topiącym się woskiem, ale jednak, dzięki łaskawości tlenu, nadal trwały.

Teraz już nie tylko Bóg, lecz również świece nas wzywały. Chiński lampion wysyłał swoje nieprzetłumaczalne SOS. Górne światło ukazywało nam nędzny stan domu Lisbonów i Billy Jacka, który pomścił swoją zgwałconą dziewczynę, posługując się zakazanymi ciosami karate. Wysyłane przez dziewczęta sygnały docierały wyłącznie do nas, podobnie jak stacja radiowa odbierana przez nasze aparaty korekcyjne. Oglądane obrazy nie znikwały, gdy szliśmy spać, ale wciąż trwały pod naszymi powiekami albo szybowały nad naszymi głowami, jak rój pszczół. Nasza niezdolność do udzielenia odpowiedzi tylko jeszcze bardziej podnosiła znaczenie tych sygnałów. Co noc oglądaliśmy ten spektakl, czując, że jesteśmy o krok od znalezieniu do niego klucza, a Joe Larson nawet spróbował migać światłem ze swojego pokoju, ale w odpowiedzi dom Lisbonów zrobił się zupełnie ciemny, a my poczuliśmy, że nas skarcono.

Pierwszy list nadszedł siódmego maja. Wsunęty do skrzynki pocztowej Chase'a Buella wraz z pozostałą pocztą, nie miał znaczka ani adresu zwrotnego, ale po jego otwarciu od razu rozpoznaliśmy ulubiony fioletowy flamaster Lux.

Drogi odbiorco,

Powiedz Tripowi, że z nami skończone. Jest skończonym chamem.

Zgadnij kto

To było wszystko. W ciągu kilku kolejnych tygodni nadeszły następne listy wyrażające różne nastroje, a wszystkie koperty były dostarczane w środku nocy do naszych domów przez same dziewczęta. Na myśl, że one wyślizgują się z domu i chodzą po naszej ulicy, czuliśmy dreszcz podniecenia i przez kilka nocy próbowaliśmy nie kłaść się spać, aby je zobaczyć. Zawsze jednak budziliśmy się rano i uzmysławialiśmy sobie, że zasnęliśmy na stanowisku. W naszej skrzynce pocztowej, jak pieniążek zostawiony pod poduszką przez wróżkę w zamian za mleczny ząb,

czekał list. W sumie było ich osiem. Nie wszystkie napisała Lux. Żaden nie był podpisany. Wszystkie były bardzo krótkie. W jednym napisały: „Pamiętacie nas?”, a w innym: „Precz z niestrawnymi chłopakami”. W kolejnym: „Wypatrujcie naszych świateł”. W najdłuższym napisały: „W tych ciemnościach rozbłyśnie światło. Pomożecie nam?”

Za dnia dom Lisbonów wyglądał na opuszczony. Śmiecie, jakie wystawiali na chodnik raz w tygodniu (to też musieli robić w środku nocy, ponieważ nie widział ich nikt, nawet wuj Tucker), coraz bardziej przypominały odpadki pozostawiane przez ludzi pogodzonych z długim obłązieniem. Jedli fasolkę z puszek. Ryż polewali sosem do hamburgera. Wieczorami, gdy pojawiały się sygnały, głowiliśmy się, jak się z nimi skontaktować. Tom Faheem wysunął propozycję puszczenia przed ich domem latawca z wiadomością, ale został przegłosowany ze względów logistycznych. Mały John Buell podsunął pomysł, żeby rzucić kamień z tą samą wiadomością przez okno pokoju dziewcząt, ale obawialiśmy się, że brzęk rozbijanej szyby może zaalarmować panią Lisbon. W końcu okazało się, że rozwiązanie było bardzo proste, ale cały tydzień zajęło nam jego wyszukanie.

Skontaktowaliśmy się z nimi telefonicznie.

W wyblakłej od słońca książce telefonicznej Larsonów, między nazwiskami Licker i Little, znaleźliśmy nietkniętą pozycję Lisbon, Ronald A. Znajdowała się w połowie prawej strony, bez żadnego oznaczenia, nie było tam nawet gwiazdki, jaka mogłaby odnosić się do bolesnego aneksu. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w to nazwisko. A potem trzy palce wskazujące sięgnęły równocześnie, aby wybrać numer.

Pan Lisbon odebrał telefon dopiero po jedenastu sygnałach.

– O co chodzi tym razem? – powiedział natychmiast, zmęczonym głosem.

Mówił bardzo niewyraźnie. Zakryliśmy słuchawkę telefonu i nie odezwaliśmy się.

– Czekam. Dzisiaj wysłucham wszystkich waszych bzdur. Usłyszeliśmy lekki trzask w telefonie, jakby otwierano drzwi do pustego korytarza.

– Słuchajcie, może byście tak dali nam spokój? – wymamrotał pan Lisbon.

Nastała cisza. Elektroniczną przestrzeń wypełniły różne, mechanicznie przetworzone, oddechy. A potem pan Lisbon odezwał się nieswoim głosem, skrzecząc jak ptak... to pani Lisbon wyrwała mu słuchawkę.

– Zostawcie nas w spokoju! – krzyknęła i trzasnęła słuchawką.

Nadal się nie rozłączaliśmy. Jeszcze przez pięć sekund w słuchawce wiało jej wściekłym

oddechem, ale zgodnie z naszymi oczekiwaniami, połączenie nie zostało przerwane. Po drugiej stronie linii oczekiwała jakaś nieokreślona istota. Ostrożnie powiedzieliśmy:

– Halo. Po chwili słaby, okaleczony głos odpowiedział:

– Cześć.

Już dawno nie słyszeliśmy głosów sióstr Lisbon, ale te docierające do nas teraz dźwięki nie budziły w nas żadnych wspomnień. Głos – być może dlatego, że nasza rozmówczyni mówiła szeptem – był zmieniony nie do poznania i nadwątlony, jak głos dziecka, które wpadło do studni. Nie wiedzieliśmy, która z sióstr to była, nie wiedzieliśmy również, co powiedzieć. Niemniej jednak trwaliśmy tak w oczekiwaniu – ona, one, my – a w jakimś sąsiednim zakamarku systemu telefonicznego Bella inna linia połączyła się z naszą. Dobiegł nas wydobywający się spod wody głos mężczyzny rozmawiającego z kobietą. Częściowo słyszeliśmy ich rozmowę (– Myślałam, że może sałatkę – ...– Sałatkę? Mam dość tych twoich sałatek), ale zaraz potem musiała się zwolnić jakaś inna linia, ponieważ nagle ta para została odcięta, pozostawiając nas w brzęczącej ciszy, a głos, teraz już gniewny i mocniejszy, powiedział tylko:

– Kurczę! Na razie – i osoba po drugiej stronie odłożyła słuchawkę. Zadzwoniliśmy następnego dnia o tej samej porze i telefon odebrano zaraz po pierwszym sygnale. Oczekaliśmy chwilę, na wszelki wypadek, i zaczęliśmy postępować zgodnie z ułożonym poprzedniego wieczoru planem. Trzymając słuchawkę przy jednym z głośników pana Larsona, puściliśmy piosenkę, która najlepiej oddawała nasze uczucia do sióstr Lisbon. Nie pamiętamy już tytułu tej piosenki, na nic się również zdały próby wyszukania jej wśród płyt z tego okresu. Pamiętamy jednak ogólny klimat piosenki, mówiącej o trudnych dniach, długich nocach, mężczyźnie siedzącym pod rozbitą budką telefoniczną w nadziei, że ona jednak zadzwoni, i o deszczu i tęczy. Prawie cała muzyka była grana na gitarach, jedynie w jednym miejscu słychać było łagodny głos wiolonczeli. Puściliśmy tę piosenkę do słuchawki, potem Chase Buell podał numer naszego telefonu i rozłączyliśmy się.

Następnego dnia o tej samej porze zadzwonił telefon. Odebraliśmy natychmiast i po chwili zamieszania (słuchawka nam spadła), usłyszeliśmy dźwięk igły opuszczanej na płytę, a potem przez trzaski z płyty dobiegł nas głos Gilberta O’Sullivana. To była dosyć znana piosenka, ballada opisująca nieszczęścia młodego chłopaka (umierają jego rodzice, narzeczona tuż przed ślubem wystawia go do wiatru), który z każdą linijką tekstu jest coraz bardziej samotny. Była to ulubiona piosenka pani Eugene i dobrze ją znaliśmy, bo często ją nuciła wśród bulgoczących

garnków. Ta piosenka niewiele dla nas znaczyła, ponieważ opowiadała o wieku, jakiego jeszcze nie osiągnęliśmy, ale gdy ją usłyszeliśmy odtwarzaną słabiutko przez słuchawkę, docierającą wprost od sióstr Lisbon, zaczęła do nas przemawiać. Eteryczny głos Gilberta O'Sullivan'a był tak wysoki, że mógł być głosem dziewczyny, a tekst piosenki brzmiał jak zapis ich pamiętnika czytane przez nie szeptem w nasze uszy. I chociaż nie słyszeliśmy ich głosów, piosenka wyczarowywała ich obrazy żywsze niż kiedykolwiek w przeszłości. Wyczuwaliśmy je tam na drugim końcu linii, jak zdmuchują pyłek z igły gramofonu, jak trzymają słuchawkę nad wirującym, czarnym dyskiem i ustawiają głośność na tyle nisko, aby nie można ich było usłyszeć. Po zakończeniu piosenki igła zaczęła ślizgać się po wewnętrznym rowku, wysyłając nam powtarzający się trzask (na podobieństwo ciągłego przeżywania tej samej chwili). Joe Larson już przygotował naszą odpowiedź, więc ją odtworzyliśmy, potem dziewczęta zagrały swoją i tak było przez cały wieczór. Zapomnieliśmy już większości piosenek, ale ocalała część tej kontrapunktowej wymiany, w postaci dokonanego ołówkiem zapisu na okładce należącej do Demo Karafilisa płyty *Tea for the Tillerman*. Oto lista:

„*Alone Again, Naturally*”, Gilbert O'Sullivan „*You've Got a Friend*”, James Taylor „*Where Do the Children Play*”, Cat Stevens „*Dear Prudence*”, The Beatles „*Candle in the Wind*”, Elton John „*Wild Horses*”, The Rolling Stones „*At Seventeen*”, Janice Ian „*Time in a Bottle*”, Jim Croce „*So Far Away*”, Carole King.

Prawdę mówiąc, nie mamy pewności, czy faktycznie kolejność była dokładnie taka. Demo Karafilis nabazgrał tytuły gdzie popadnie.

siostry Lisbon: my:

siostry Lisbon: my:

siostry Lisbon: my:

siostry Lisbon: my: siostry Lisbon:

Niemniej jednak powyższa kolejność przedstawia z grubsza przebieg naszej konwersacji prowadzonej językiem muzyki. Lux musiała spalić swoje rockowe płyty, więc piosenki dziewcząt w większości były folkowe. Przenikliwe, zawodzące głosy poszukiwały sprawiedliwości i równości. Przypadkowo wtrącone skrzypki przywodziły na myśl ten kraj, jakim był w przeszłości. Piosenkarze mieli niezdrową cerę albo nosili wysokie buty. Każda kolejna piosenka pulsowała ukrytym bólem. Przekazywaliśmy sobie klejącą się słuchawkę i wsłuchiwaliśmy się w uderzenia perkusji, tak regularne, jakbyśmy przyciskali uszy do piersi

dziewcząt. Chwilami wydawało się nam, że dziewczęta śpiewają do wtóru, i mogliśmy się czuć, jakbyśmy byli z nimi na koncercie. Z kolei większość naszych piosenek była o miłości. Każda kolejna wybrana przez nas piosenka miała kierować konwersację w bardziej intymną stronę. Ale piosenki sióstr Lisbon były związane z tematami bezosobowymi. (Nachyliliśmy się i pochwaliliśmy ich perfumy. Powiedziały, że to prawdopodobnie ten zapach magnolii.) Po jakimś czasie nasze piosenki zaczęły być coraz smutniejsze i bardziej cliche. To wtedy dziewczyny puściły „*So Far Away*”. Od razu zauważyliśmy zmianę nastroju (dawały się nam trzymać za rękę) i odpowiedzieliśmy piosenką „*Bridge over Troubled Water*”, podkreślając głośność, bo ta piosenka najlepiej wyrażała nasze uczucia do dziewcząt, naszą chęć niesienia im pomocy. Po jej zakończeniu czekaliśmy na odpowiedź. Minęła dłuższa chwila i talerz ich gramofonu ponownie zaczął się kręcić, a my usłyszeliśmy piosenkę, która nawet teraz, gdy słyszymy ją odtwarzaną w supermarketach, powoduje, że zatrzymujemy się i spoglądamy wstecz, w ten czas utracony:

*Powiedz, czy kiedykolwiek naprawdę chciałaś,
Czy na drugą stronę tęczy wyrwać się próbowałaś
Być może od życia za dużo chcę, sam nie wiem,
Ale, moja droga, posłuchaj, co ci powiem:
Marzenia są dla śpiących
Życie jest dla nas, żyjących
A jeśli pytasz, po co śpiewam, dokąd wiodą moje sny
Chciałbym, żebyś to była ty.*

Połączenie zostało przerwane. (Bez ostrzeżenia dziewczęta rzuciły się nam na szyję, wyszeptaly żarliwe wyznanie w nasze uszy i wybiegły z pokoju.) Staliśmy nieruchomo przez jakiś czas, słuchając brzęczenia w słuchawce. Po chwili pojawił się jednak agresywny sygnał zajętości, a głos z taśmy polecił nam natychmiast odłożyć słuchawkę.

Nigdy nawet nie marzyliśmy, że dziewczęta mogą odwzajemnić naszą miłość. Zakręciło się nam w głowach od tej myśli i pokładliśmy się na dywanie Larsonów, z którego dobywał się zapach dezodorantu dla zwierząt, a głębiej, samych zwierząt. Przez długi czas nikt z nas się nie odzywał. Ale pomalutku, składając rozrzucone informacje w naszych głowach, zobaczyliśmy wszystko w innym świetle. Czyż w zeszłym roku dziewczęta nie zaprosiły nas na przyjęcie? Czyż nie znały naszych imion i adresów? Czyż nie wycierały sobie wizjerów w brudnych szybach i nie patrzyły na nas? Zupełnie się zapomnieliśmy i chwyciliśmy się za rękę,

uśmiechając się z zamkniętymi oczami. Z gramofonu dobiegał głos Garfunkela ciągnącego wysokie dźwięki, a my nie myśleliśmy już o Cecilii. Myśleliśmy tylko o Mary, Bonnie, Lux i Therese, opuszczonych w życiu, które dopiero dziś mogły nam coś powiedzieć, w ten nieprecyzyjny, wstydlivy sposób. Przypominaliśmy sobie ich ostatnie miesiące w szkole i powracały do nas kolejne wspomnienia. Pewnego dnia Lux zapomniała podręcznika do matematyki i musiała korzystać z książki Toma Faheema. Na marginesie napisała: – Chcę się stąd wydostać. – Jak dalece sięgało to pragnienie? Tak wspominając, doszliśmy do wniosku, że dziewczęta przez cały czas próbowały nawiązać z nami kontakt, uzyskać naszą pomoc, ale my byliśmy zbyt zaślepieni naszą namiętnością, aby to zauważyć. Byliśmy tak skoncentrowani w naszych obserwacjach, że nie zauważyliśmy tylko jednego – prostego, odwzajemnionego spojrzenia. Do kogo jeszcze mogły się zwrócić? Przecież nie do swoich rodziców. Do nikogo z sąsiadów. We własnym domu były więźniarkami, a poza nim – trędowatymi. I dlatego też ukryły się przed światem, czekając aż ktoś – czekając aż my je uratujemy.

Ale podejmowane przez nas w następnych dniach próby dodzwonienia się do dziewcząt nie przyniosły efektu. Telefon dzwonił rozpaczliwie i beznadziejnie. Wyobrażaliśmy sobie aparat wyjący pod poduszką i dziewczęta na próżno starające się po niego sięgnąć. Nie mogąc się dodzwonić, kupiliśmy płytę „*The Best of Bread*” i w kółko słuchaliśmy „*Żebyś to była ty*”. Dużo dyskutowaliśmy o pomysłe podkopu, o rozpoczęciu go w piwnicy Larsonów i przekopaniu się pod ulicą. Moglibyśmy wynosić ziemię w nogawkach i wysypywać ją podczas spacerów, jak w „*Wielkiej ucieczce*”, ten pomysł tak bardzo nam się spodobał, że na chwilę zapomnieliśmy o istniejącym już podkopie – był przecież ciąg kanałów burzowych. Kiedy jednak zajrzeliśmy do tych kanałów, okazało się, że pełno w nich było wody – tego roku znowu wezbrało jezioro. Nie miało to dla nas jednak żadnego znaczenia. Pan Buell miał rozkładaną drabinę, za pomocą której z łatwością moglibyśmy sięgnąć do okien dziewczyn. – Jak podczas ucieczki z ukochaną – powiedział Eugie Kent, i na te słowa puściliśmy wodze fantazji, już widzieliśmy zmieszanego, małomiasteczkowego sędziego pokoju, a potem wagon sypialny w pociągu przejeżdżającym nocą przez błękitne pola pszenicy. W oczekiwaniu na sygnał od dziewcząt wyobrażaliśmy sobie przeróżne rzeczy.

Oczywistym było, że nic z opisanych powyżej rzeczy – słuchanie płyt, błyskanie światłami, obrazki Marii Dziewicy – nie przedostało się do gazet. Naszą komunikację z siostrami Lisbon traktowaliśmy jako sprawę tajną, nawet wtedy, gdy ta wierność straciła rację bytu. Pani Perl

(która później wydała książkę z rozdziałem poświęconym siostron Lisbon) napisała, że dziewczęta pograżały się w coraz większej depresji, od której nie było już odwrotu. Opisała ich żalose próby powrotu do życia – Bonnie zajmującą się ołtarzykiem, Mary noszącą swetry w jasnych kolorach – ale zdaniem pani Perl po drugiej stronie kamieni, z których dziewczęta budowały swe schronienie, widać było tylko błoto i robaki. Świece stanowiły lustro weneckie między dwoma światami – dziewczęta przywoływały Cecilie, ale również ona wzywała je, aby do niej dołączyły. Piękne sweterki Mary stanowiły jedynie demonstrację rozpaczliwego pragnienia nastolatki, aby być piękną, a z kolei workowate bluzy Therese ukazywały jej „*brak poczucia własnej wartości*”.

My jednak wiedzieliśmy lepiej, jak było. Trzy dni po słuchaniu płyt, wieczorem, zobaczyliśmy Bonnie wnoszącą do swojego pokoju czarny kufer. Położyła go na łóżku i zaczęła wkładać do niego ubrania i książki. Pojawiła się Mary, która dorzuciła swoje „multiklimatyczne” lustro. Klóciły się o zawartość walizki i rozdrażniona Bonnie wyjęła część ubrań, robiąc Mary miejsce na jej rzeczy – magnetofon kasetony, suszarkę i jakiś przedmiot, którego początkowo nie rozpoznaliśmy, i dopiero później okazało się że był to żeliwny odbój drzwiowy. Nie mieliśmy pojęcia, co te dziewczyny robią, ale natychmiast zauważyliśmy zmianę w ich zachowaniu. W ich ruchach pojawiła się jakaś nowa determinacja. Zniknęła bezcelowość ich poczynań. Paul Baldino jako pierwszy objśnił ich zachowanie:

– Wygląda na to, że chcą dać nogę – powiedział, odkładając lornetkę. Wypowiedział ten wniosek z pewnością siebie kogoś, kto widział krewnych wynoszących się na Sycylię lub do Ameryki Południowej, więc od razu mu uwierzyliśmy.

– Stawiam dziesięć dolarów do pięciu, że pod koniec tygodnia tych dziewcząt tu nie będzie.

Miał rację, ale miało to wyglądać inaczej, niż się spodziewał. Ostatni list, napisany z tyłu obrazka Marii Dziewicy, trafił do skrzynki na listy Chase’a Buella czternastego czerwca. Wiadomość była bardzo krótka: „Jutro. O północy. Czekaście na nasz sygnał”.

* * *

O tej porze roku jętki pokrywały nasze okna i trudno było coś zobaczyć na zewnątrz. Następnego wieczoru zebraliśmy się na niezabudowanej parceli obok domu Joe Larsona. Słońce schowało się już za horyzontem, ale wciąż oświetlało niebo pomarańczową, chemiczną poświatą,

piękniejszą niż sama przyroda. Po drugiej stronie ulicy dom Lisbonów tonął w ciemnościach, jedynie czerwona mgiełka oznaczała miejsce prawie niewidocznego ołtarzyka Cecylii. Z ziemi nie widzieliśmy zbyt dobrze górnego piętra, więc spróbowaliśmy wejść na dach domu Larsonów. Powstrzymał nas pan Larson.

– Właśnie go wysmołowałem – powiedział. Powędrowaliśmy z powrotem na pustą parcelę, a potem poszliśmy w dół ulicy, przykładając dłonie do asfaltu jeszcze gorącego od świecącego za dnia słońca. Dotąd do nas przesiąknięty wilgocią zapach domu Lisbonów, ale już po chwili rozwiął się, tak że nawet pomyśleliśmy, że był tylko wytworem naszej wyobraźni. Joe Hill Conley ciągle jeszcze wspinał się na drzewa, choć reszta z nas już z tego wyrosła. Patrzyliśmy, jak się wdrapuje na młody klon. Nie mógł wejść zbyt wysoko, ponieważ cienkie gałęzie nie wytrzymałyby jego ciężaru. Mimo to Chase Buell zawołał do niego:

– Widzisz coś? – a Joe Hill Conley zmrużył oczy, potem naciągnął skórę w kąciakach oczu, co jego zdaniem było lepsze od mrużenia oczu, ale w końcu pokręcił głową. Jednak to nasunęło nam pewien pomysł i wszyscy ruszyliśmy w kierunku naszego starego domku na drzewie.

Spoglądając w górę, przez listowie, staraliśmy się określić jego aktualny stan. Już przed laty część dachu zwiłało w czasie burzy, nie było też zwieńczającej go gałki do drzwi, ale cała konstrukcja nadal wyglądała na nadającą się do zamieszkania.

Wspinaliśmy się do domku na drzewie jak zawsze, stając na dziurze po sęku, potem na przybitej desce, na dwóch zagiętych gwoździach, aż w końcu, korzystając z postrzępionej liny, wciągaliśmy się przez otwór w podłodze. Wyrośliśmy już na tyle, że z trudem przeciskaliśmy się przez wąskie wejście, a gdy już znaleźliśmy się w środku, podłoga ze sklejki zatrzeszczała pod naszym ciężarem. Podłużne okno, jakie wycięliśmy piłą wiele lat temu, nadal wychodziło na dom Lisbonów. Obok, przypięte przedziewiałymi pinezkami, wisiało pięć poplamionych zdjęć sióstr Lisbon. Zupełnie nie pamiętaliśmy, że powiesiliśmy tu te fotografie, ale jednak tam były, wyblakłe od upływu czasu i zmian pogody i obecnie mogliśmy jedynie dostrzec fosforyzujące kształty ciał dziewcząt, każde stanowiące inną jarzącą się literę nieznanego alfabetu. Poniżej widzieliśmy tylko kilka osób, które wyszły podlać trawniki i klomby, zarzucając srebrne lassa wody. Z kilkunastu odbiorników radiowych docierał do nas skrzeczący głos naszego lokalnego sprawozdawcy sportowego, opisujący niewidoczny dla nas dramat rozgrywający się na boisku baseballowym, słysząc było również kibiców wiwatujących po wybiciu piłki poza linię końcową boiska, te wszystkie dźwięki docierały do nas rozproszone, przechodząc nad czubkami drzew.

Zapaliliśmy na próbę knot starej lampy naftowej, która płonęła na niewidocznych resztkach, ale przez okno zaczynały wlatywać roje jętek, więc wyłączyliśmy lampę. Dochodził nas dźwięk ciał jętek uderzających w latarnie uliczne, grad włochatych kuleczek i ich pęknięcie z trzaskiem pod kołami przejeżdżających samochodów. Kilka owadów eksplodowało, gdy oparliśmy się o ściany domku. Bezwładne, dopóki się ich nie zdjęło z tego, na czym usiadły, wtedy z furją trzepotały skrzydełkami między palcami naszych dłoni i odlatywały, aby ponownie sięść na czymkolwiek, znów bezwładne. Kozuch ich martwych lub umierających ciał zasłaniał światła na ulicy i na samochodach, przemieniał okna domów w kurtyny teatralne, przez które przeziarało światło. Rozsiedliśmy się w domku, wciągnęliśmy na linie ciepły sześciopak i popijaliśmy w oczekiwaniu.

Każdy z nas powiedział w domu, że będzie spać u kolegi, więc mogliśmy przez całą noc tak siedzieć i pić, pozostawieni w spokoju przez dorosłych. Ale zarówno po zmierzchu, jak i później, w domu Lisbonów nie było widać żadnych świateł, jedynie blask świec. Wyglądało, że palą się mniejszym światłem, i zaczęliśmy podejrzewać, że pomimo tak skrupulatnego doglądania ognia dziewczynom zaczynało brakować wosku. Okno pokoju Cecylia jarzyło się, jakby ociekało wilgocią, jak brudna ścianka akwarium. Ustawiając lunetę Carla Tagela pod odpowiednim kątem, przez okno domku udało się nam zobaczyć dziobatą twarz księżycy, przepływającego powoli po niebie, a potem błękitną Wenus, ale gdy skierowaliśmy lunetę na okno pokoju Lux, zbliżenie było tak mocne, że nic nie mogliśmy zobaczyć. To, co w pierwszej chwili wydawało się być jej zwiniętym na łóżku i wygiętym w kształt ksylofonu kręgosłupem, okazało się dekoracyjnym gzymsem. Włóknista pestka z brzoskwini, leżąca na jej nocnym stoliku od czasów, kiedy miały jeszcze świeże jedzenie, pobudziła nas do snucia wielu obrzydliwych domysłów. Za każdym razem, gdy udało się nam zobaczyć Lux albo cokolwiek, co się poruszało, widoczny fragment był zbyt mały, aby poskładać układankę i w końcu daliśmy sobie spokój, chowając lunetę i zawierając własnym oczom.

Północ minęła w ciszy. Księżyc się schował. Ni z tego ni z owego pojawiła się butelka wina truskawkowego z Boone's Farm; podawaliśmy sobie ją z rąk do rąk, a potem odstawiliśmy na gałąź. Tom Szelma przetoczył się do wejścia do domku i zniknął z pola widzenia. Po chwili usłyszeliśmy, jak wymiotuje w krzakach na niezabudowanej parceli. Siedzieliśmy już tak długo, że zobaczyliśmy wychodzącego z domu wuja Tuckera, trzymającego w rękach kawałek linoleum z trzynastej warstwy, jaką kładł, aby zająć się czymś w życiu. Wyjął piwo z lodówki w garażu,

wyszedł na trawnik przed domem i rozejrzał się po swoim nocnym terenie. Schował się za drzewo w oczekiwaniu na Bonnie z różańcem. Z miejsca, w którym się znajdował, nie mógł widzieć światła latarki, pojawiającego się w oknie sypialni, i wrócił do swojego domu, zanim skrzypnęło otwierane okno. Natomiast my już nie mogliśmy oderwać wzroku od tego światła. Latarka pomachała w ciemnościach. Potem światło rozbłysło i zgasło trzy razy.

Podniósł się lekki wiatr. W otaczającej nas czerni zaczęły szeleścić liście, a powietrze wypełniła mroczna woń domu Lisbonów. Nikt z nas nie pamięta, żebyśmy w tym momencie o czymkolwiek myśleli, czy też zdecydowali się na coś, ponieważ wtedy nasze mózgi przestały pracować, wypełniając nas jedynie niespotykanym spokojem. Znajdowaliśmy się nad ulicą, w powietrzu, na tej samej wysokości, co siostry Lisbon przebywające w swoich rozsypujących się pokojach, a dziewczęta wzywały nas. Słyszeliśmy skrzypienie drewna. A potem ujrzeliśmy je przez moment – Lux, Bonnie, Mary i Therese – w obramowaniu jednego okna. Patrzyły w naszą stronę, spoglądały na nas przez pustkę. Mary posłała nam całusa, a może tylko otarła usta. Latarka zgasła. Okno się zamknęło. A one zniknęły.

Nie zatrzymaliśmy się nawet, aby to omówić. Jeden za drugim, jak spadochroniarze, zeskoczyliśmy z drzewa. Skok był bardzo łatwy i dopiero lądując uzmysłowiliśmy sobie, jak blisko była ziemia – najwyżej trzy metry. Podskakując z trawnika, mogliśmy prawie dotknąć podłogi domku na drzewie. Byliśmy zdumieni, że tak bardzo wyrosliśmy, a nawet wielu z nas później uważało, że zwiększyło to nasze zdecydowanie, ponieważ po raz pierwszy w życiu poczuliśmy się mężczyznami.

Podkradaliśmy się do domu z różnych stron, kryjąc się w cieniu ocalałych drzew. Gdy się zbliżaliśmy, niektórzy czołgając się jak żołnierze, inni nadal na dwóch nogach, zapach robił intensywniejszy. Powietrze gęstniało. Wkrótce dotarliśmy do niewidzialnej bariery – od miesiący nikt nie był tak blisko domu Lisbonów. Zawahaliśmy się, ale po chwili Paul Baldino podniósł rękę do góry, dając nam znak, i podeszliśmy bliżej. Ocieraliśmy się o ceglane ściany, kucaliśmy pod parapetami okien, wycierając pajęczyny czuprynymi. Przeszliśmy na tyły domu, gdzie panowała wilgoć i bałagan. Kevin Head potknął się o karmnik, który wciąż jeszcze leżał na ziemi. Karmnik pękł na pół, a pozostałe w nim ziarno wysypało się na ziemię. Zamarliśmy, ale nie pojawiły się żadne światła. Po minucie podeszliśmy nieco bliżej. Komary atakowały nas w locie nurkowym, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Zbyt pochłaniało nas gapienie się w ciemności, w których staraliśmy się wypatrzeć linę z powiązanych prześcieradeł i schodzącą po

niej koszulę nocną. Niczego takiego nie zobaczyliśmy. Dom wznosił się nad nami, w jego oknach odbijały się ciemne liście. Chase Buell przypomniał nam szeptem, że właśnie odebrał prawo jazdy i pokazał nam kluczyki do cougara swojej matki:

– Możemy wziąć mój samochód – powiedział.

Tom Faheem przeszukiwał zarośnięte klomby w poszukiwaniu kamyczka, którym mógłby rzucić w okno pokoju dziewcząt. W każdej chwili okno na piętrze mogło się otworzyć, zrywając plombę z jętek, a z góry mogła spojrzeć na nas twarz, która będzie tak już patrzeć do końca życia.

Przy znajdującym się z tyłu oknie nabraliśmy na tyle odwagi, że zajrzeliśmy do środka. Przez zarośla stojących na parapecie zwiędłych kwiatków mogliśmy rozróżnić kształty wewnątrz domu – morski pejzaż pomieszanych przedmiotów, zbliżających się i cofających, w miarę jak nasze oczy przyzwyczajały się do światła. Fotel pana Lisbona podjechał do przodu, z podnóżkiem podniesionym jak szufla. Brązowa winylowa kanapa cofnęła się pod ścianę. Po ich rozsunięciu się, podłoga wyglądała, jak podniesiona scena hydrauliczna, a w blasku jedynej w tym pomieszczeniu światła, jakie docierało z małej lampki z abażurem, zobaczyliśmy Lux. Leżała rozwalona na wypełnionej kuleczkami podusze, z podniesionymi i szeroko rozłożonymi kolanami, jej górna połowa na poły zanurzona w siedzisku, zamykającym się wokół niej jak kaftan bezpieczeństwa. Dziewczyna miała na sobie niebieskie dżinsy i zamszowe chodaki. Długie włosy opadały jej na ramiona. W ustach trzymała papierosa, z którego właśnie miał spaść długi ogonek popiołu.

Nie wiedzieliśmy, co mamy teraz robić. Nie mieliśmy żadnych instrukcji. Przycisnęliśmy twarze do okien, osłaniając oczy dłońmi, aby lepiej widzieć. Szyby przenosiły wibracje akustyczne i gdy pochyliliśmy się do przodu, mogliśmy wyczuć poruszanie się pozostałych dziewcząt po domu. Coś się ześlizgnęło, zatrzymało się, znowu się ześlizgnęło. Coś łupnęło. Odsunęliśmy twarze i wszystko ucichło. Po chwili wróciliśmy do brzęczących szyb.

Lux pochyliła się w poszukiwaniu popielniczki. Nie znalazłszy żadnej w pobliżu, strzepnęła popiół na swoje niebieskie dżinsy, wcierając go w nie dłońią. Poruszyła się, wstała z poduchy i zobaczyliśmy, że ma na sobie bluzkę bez pleców. Zawiązana na jej karku na kokardkę, bluzka opadała na dwóch ramiączkach przez jej blade ramiona i rzeźbione obojczyki, wyrzuszając się w końcu w dwa żółte temblaki. Bluzka była nieco przekrzywiona w prawo i gdy Lux się prostowała, mogliśmy zobaczyć wysuwające się miękkie, białe ciało.

– Dwa lata temu w lipcu – powiedział Joe Hill Conley, wspominając ostatni raz, gdy

widzieliśmy tę bluzkę.

Lux miała ją na sobie na dworze w bardzo gorący dzień przez pięć minut, zanim matka kazała jej się przebrać. A teraz bluzka opowiadała o całym tym czasie, jaki upłynął, o wszystkim, co się stało. Przede wszystkim jednak mówiła, że dziewczęta opuszczają dom, że od teraz będą nosić to, co im się podoba.

– Może powinniśmy zapukać – wyszeptał Kevin Head, ale nikt nie zareagował.

Lux znowu usiadła na poduszce. Zgasiła papierosa na podłodze. Na ścianie za nią pojawił się jakiś cień. Odwróciła się nagle, a potem uśmiechnęła się na widok wspinającego się na jej kolana bezdomnego kota, którego nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Przyciskała obojętne ciało, aż zwierzę wyrwało się (to jeszcze jedna informacja, jaką musimy dodać – aż do samego końca Lux uwielbiała tego bezdomnego kota, który potem uciekł, zniknął z tego sprawozdania). Lux zapaliła kolejnego papierosa. W świetle zapalki spojrzała w okno. Podniosła brodę i już myśleliśmy, że nas zauważyła, ale po chwili przeciągnęła dłonią po włosach. Patrzyła tylko w swoje odbicie. Palące się w pokoju światło powodowało, że nie było nas widać z wewnątrz domu, i tak staliśmy tylko kilka centymetrów za oknem, niewidoczni, jakbyśmy obserwowali Lux z jakiejś innej płaszczyzny egzystencji. Słabe światło z okna migotało na naszych twarzach. Nasze korpusy i nogi ginęły w ciemnościach. Na jeziorze zahuczała syrena frachtowca, choć tej nocy nie było mgły. Inny frachtowiec odpowiedział, niższym tonem. Tę bluzkę można było rozwiązać jednym szybkim ruchem.

Tom Faheem ruszył jako pierwszy, jakby na zaprzeczenie swojej reputacji wstydliwego chłopaka. Wszedł na werandę na tyłach domu, cicho otworzył drzwi i w końcu wpuścił nas do domu Lisbonów.

– Jesteśmy – tylko tyle powiedział.

Lux podniosła wzrok, ale nie wstała z poduchy. W jej sennych oczach nie było widać zaskoczenia naszą obecnością, ale u dołu białej szyi rozlał się czerwony jak rak rumieniec.

– Najwyższy czas – powiedziała. – Czekałyśmy na was, chłopaki. Ponownie zaciągnęła się papierosem.

– Mamy samochód – ciągnął Tom Faheem. – Z pełnym bakiem. Zawieziemy was, gdzie tylko będziecie chcieli.

– To tylko cougar – dodał Chase Buell – ale ma spory bagażnik.

– Czy mogę usiąść z przodu? – zapytała Lux, wykrzywiając usta, aby wydmuchać dym na

bok, uprzejmie kierując go nie w naszą stronę.

– Jasne.

– A który z was, byczki, będzie siedział koło mnie?

Przechyliła głowę w stronę sufitu i wypuściła cała serię kółek z dymu. Patrzyliśmy, jak się wznoszą, a Joe Hill Conley tym razem nie podbiegł i nie przebijał ich palcem. Po raz pierwszy rozejrzeliśmy się po domu. Po wejściu do środka zapach był jeszcze intensywniejszy. To był zapach wilgotnego tynku, kanalizacji zatkanej niekończącym się kołtunem włosów dziewcząt, pleśniejących szafek, ciekących rur. Pod miejscami, w których przeciekało, nadal stały puszki po farbie, wszystkie wypełnione słabymi roztworami minionych czasów. Salon wyglądał jak po splądrowaniu. Telewizor był ustawiony pod kątem, bez kineskopu, a przed nim stała otwarta skrzynka na narzędzia pana Lisbona. W krzesłach brakowało nóg i oparć, jakby Lisbonowie używali ich na opał.

– Gdzie są wasi rodzice?

– Śpią.

– A co z twoimi siostrami?

– Już idą.

Z piwnicy doszedł nas jakiś łomot. Cofnęliśmy się do drzwi.

– Zbieraj się – powiedział Chase Buell. – Lepiej zwijajmy się stad. Robi się późno.

Ale Lux tylko znowu wypuściła dym i pokręciła głową. Odciągnęła ramiączko bluzki, ukazując czerwony ślad na skórze. Ponownie zapanowała cisza.

– Poczekajcie – powiedziała. – Jeszcze pięć minut. Jeszcze się nie spakowałyśmy. Musiałyśmy czekać, aż rodzice zasną. To zawsze strasznie długo trwa. Zwłaszcza u mamy. Cierpi na bezsenność. Pewnie się już obudziła.

Wstała. Patrzyliśmy, jak podnosi się z poduchy, nachylając się do przodu, aby nabrać rozpędu. Bluzka na wiotkich ramiączkach zwisała w pewnym oddaleniu od jej ciała i zobaczyliśmy ciemną pustkę między materiałem i skórą, a potem delikatny błysk jej białych jak mąka piersi.

– Spuchły mi stopy – powiedziała. – Coś niesamowitego. Dlatego noszę chodaki. Podobają się wam? – Pomachała jednym z nich na końcu palców.

– Tak.

Teraz stała wyprostowana, choć niewysoka. Musieliśmy powtarzać sobie, że to się dzieje

naprawdę, że to faktycznie jest Lux Lisbon, że jesteśmy z nią w jednym pokoju. Spojrzała po sobie, poprawiła bluzkę i schowała kciukiem odsłonięty pulchny kawałek ciała po prawej stronie. Następnie ponownie podniosła wzrok, jakby patrząc wszystkim nam w oczy na raz, i ruszyła przed siebie. Powłóczyła nogami w chodakach, kryjąc się w cieniu, i mogliśmy tylko usłyszeć, jak stuka po zakurzonej podłodze. Usłyszeliśmy jej głos dochodzący z ciemności:

– Nie zmieścimy się w cougarze.

Zrobiła jeszcze jeden krok i ponownie wyłoniła się jej twarz. Przez moment nie wyglądała jak twarz żywej osoby – była za blada, policzki zbyt idealnie wycyzelowane, łuki brwi jak wymalowane, pełne woskowe wargi. Ale po chwili podeszła bliżej i zobaczyliśmy w jej oczach światło, jakiego od tego czasu już zawsze mieliśmy szukać.

– Może lepiej wziąć samochód mojej mamy, co? Jest większy. Który z was może prowadzić?

Chase Buell podniósł rękę.

– Poradzisz sobie z kombi?

– Pewnie.

A po chwili dodał:

– To automat?

-Tak.

– Spoko. Nie ma problemu.

– Dasz mi trochę poprowadzić?

– Jasne. Ale musimy się zbierać. Coś właśnie słyszałem. Może to wasza mama.

Podeszła do Chase'a Buella. Podeszła tak blisko, że jej oddech poruszał jego włosami. I wtedy, na naszych oczach, Lux rozpięła mu pasek. Nawet nie musiała patrzeć w dół. Palce same trafiły i tylko raz napotkały jakąś przeszkodę, a ona tylko pokręciła głową, jak muzyk, który opuścił łatwą nutę. Przez cały czas patrzyła mu prosto w oczy, podnosząc się na palcach, a my w tym pustym domu usłyszeliśmy dźwięk rozpinanych spodni. Zamek błyskawiczny rozpiął się na całej długości naszych kręgosłupów. Staliśmy jak wmurowani. Również Chase Buell się nie poruszył. Oczy Lux, płonące i aksamitne, jarzyły się w ciemnym pokoju. Na jej szyi delikatnie pulsowała żyłka, ta, którą właśnie z tego powodu dziewczyny perfumują. Chociaż Lux zajmowała się Chasem Buellem, wszyscy czuliśmy, jak Lux nas rozpina, sięga po nas i bierze dokładnie tak, jak należy. W tym momencie dobiegł nas kolejny delikatny łomot z piwnicy. Pani Lisbon, na piętrze, zakaszlała przez sen. Lux przerwała swoją czynność. Odwróciła wzrok,

zastanawiając się, a potem powiedziała:

– Teraz nie możemy tego robić.

Puściła pasek Chase'a Buella i podeszła do tylnych drzwi.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Ależ mnie pobudziliście, chłopaki.

Posłała nam uśmiech, rozluźniony, niezdarny; autentyczny, niezbyt piękny.

– Zaczekam w samochodzie. A wy poczekajcie tu na moje siostry. Mamy bardzo dużo rzeczy.

Sięgnęła ręką do wazy przy drzwiach i wyjęła kluczyki. Już miała wyjść, ale zatrzymała się w drzwiach.

– Gdzie pojedziemy?

– Na Florydę – powiedział Chase Buell.

– Super – odrzekła Lux. – Na Florydę.

Po minucie usłyszeliśmy dźwięk drzwiczek zatraskiwanych w garażu. Kilku z nas pamięta cichutkie dźwięki popularnej piosenki płynącej przez noc, i stąd wiemy, że włączyła radio w samochodzie. Czekaliśmy. Nie mieliśmy pewności, gdzie są pozostałe dziewczęta. Z góry dochodziły nas dźwięki pakowania, otwierania drzwi szaf, sprężyn brzęczących pod ciężarem walizki. Słyszeliśmy tupot stóp nad nami i pod nami. Ktoś ciągnął coś po podłodze piwnicy. I chociaż charakter tych dźwięków był trudny do zdefiniowania, jednak sprawiały wrażenie precyzyjnych – każdy ruch zdawał się być dokładny, stanowił część dobrze opracowanego planu ucieczki. Zrozumieliśmy, że w tej całej strategii jesteśmy tylko pionkami, użytecznymi tylko chwilowo, ale nawet to nie osłabiało naszego radosnego podniecenia. Myśleliśmy tylko o tym, że wkrótce znajdziemy się w samochodzie z dziewczętami i wywieziemy je z naszej zielonej dzielnicy do czystego, wolnego pustkowia nieznanych nam jeszcze bocznych dróg. Graliśmy w kamień, nożyce i papier, aby wylosować, kto pojedzie, a kto zostanie. I przez cały ten czas szczęściem wypełniało nas przeświadczenie, że wkrótce dołączą do nas dziewczęta. Kto mógł wiedzieć, jak bardzo możemy się przyzwyczaić do tych dźwięków? Do trzasku zamykanych elastycznych atłasowych kieszeni walizki? Do brzęku biżuterii? Do przypominającego kroki garbusa, wlokącego za sobą nogi, odgłosu dziewcząt taszczących ciężkie walizki po jakimś obcym korytarzu? Zaczęliśmy wyobrazać sobie nieznaną drogę. Już widzieliśmy się, jak jedziemy przez zarośla pałek wodnych, obok słodkowodnych zatoczek i starych warsztatów szkutniczych. Na stacji benzynowej to my prosimy o klucz do damskiej toalety, bo dziewczęta zbyt się

wstydzą. Słuchamy radia przy otwartym oknie.

Tymczasem, gdy my pogрузyliśmy się w tej zadumie, w domu ucichło. Uznaliśmy, że dziewczęta skończyły pakowanie. Peter Sissen wyjął swoją kieszonkową latarkę i ruszył na zwiad do jadalni, a po chwili wrócił ze słowami:

– Jedna jest nadal w piwnicy. Na schodach jest światło.

Staliśmy, machaliśmy latarką, czekaliśmy na dziewczęta, ale one nie nadchodziły. Tom Faheem spróbował wejść na pierwszy stopień schodów, który jednak zatrzeszczał tak głośno, że Tom od razu się cofnął. W uszach dzwoniła nam panująca w domu cisza. Za oknem przejechał samochód, rzucając cienie przebiegające przez jadalnię i na moment oświetlając obraz z pierwszymi angielskimi kolonistami. Na stole w jadalni leżał stos zimowych płaszczy zawiniętych w plastikowy worek. Majaczyły też inne niezgrabne toboły. Dom przypominał zagracony strych, na którym przedmioty dobrały się w najbardziej osobliwe pary – toster w klatce na ptaki, baletki wystające z wędkarskiego wiklinowego koszyka. Prześlizgnęliśmy się przez ten rozgardiasz, przeszliśmy do miejsca oczyszczonego dla gier planszowych – tryktrak, halma – i szliśmy dalej, do gąszczu trzepaczek do piany i gumowych butów. Weszliśmy do kuchni. Było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, ale usłyszeliśmy cichy syk, jakby ktoś wzdychał. Z piwnicy docierał snop światła w kształcie trapezu. Podeszliśmy do drzwi i nasłuchiwaliliśmy. Potem ruszyliśmy w dół, do bawialni.

Jako pierwszy szedł Chase Buell, a my, trzymając się za szlufki, podążaliśmy za nim i powracaliśmy do tego dnia, rok wcześniej, kiedy to schodziliśmy po tych samych schodach, aby wziąć udział w jedynym przyjęciu, jakie pozwolono zorganizować siostrze Lisbon. Zanim doszliśmy na sam dół, poczuliśmy, że dosłownie cofnęliśmy w czasie. Bo chociaż pokój był zalany dwucentymetrową warstwą wody, wyglądał dokładnie tak, jak wtedy, gdy z niego wychodziliśmy – nigdy nie posprzątało po przyjęciu na cześć Cecylii. Na stolicku do kart nadal leżał papierowy obrus, popstrzony bobkami myszy. W wazie z rżniętego szkła brunatny kożuch pokrywał poncz skrzeplą, usianą jętkami skorupą. Sorbet już dawno stopniał, ale z lepkiego szlamu wciąż wystawała chochła, a przed nią widać było równiutko poustawiane, zakurzone i pokryte pajęczynami szklaneczki. Z sufitu zwisało mnóstwo zwiędłych baloników na cienkich wstążeczkach. W partii domina nadal oczekiwano na trójkę lub siódemkę.

Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się podziały dziewczęta. Na powierzchni wody rozchodziły się drobne zmarszczki, jakby przed chwilą coś tu pływało lub zanurkowało. Co jakiś czas słyhać

było bulgotanie w kanałach. Woda chlupotała po ścianach, odbijając nasze różowe twarze i czerwono-niebieskie serpentyny nad głowami. Zmiany jakie zaszły w pokoju – pluskwiaki przychepione do ścian, podskakująca na wodzie martwa mysz – tylko podkreślały to, co się nie zmieniło. Gdybyśmy przymknęli oczy i zatkali nosy, moglibyśmy pomyśleć, że przyjęcie jeszcze trwa. Buzz Romano, brodząc w wodzie, podszedł do stolika do kart i na naszych oczach zaczął tańczyć tango, jak nauczyła go matka w papieskich wspaniałościach ich salonu. W ramionach trzymał tylko powietrze, ale i tak widzieliśmy ją – je – całą piątkę, w jego ramionach.

– Te dziewczyny doprowadzają mnie do szaleństwa. Gdybym mógł tak jedną z nich pomacać, chociaż raz – powiedział, podczas gdy muł chlupotał mu w butach.

Jego roztańczone nogi wzbijały w górę zapach kanałów, a po chwili, jeszcze silniejszy niż zwykle, ten zapach, którego mieliśmy nigdy już nie zapomnieć. Ponieważ właśnie w tym momencie zobaczyliśmy, nad głową Buzza Romano, tę jedyną zmianę, jaka zaszła w tym pokoju w ciągu roku od naszej ostatniej w nim bytności. Pośród sflaczałych balonów zwisały dwie brązowo-białe łupiny półbucików Bonnie. Przywiązała sznur do tej samej belki, co ozdoby.

Staliśmy jak wmurowani. Buzz Romano, nieświadom niczego, tańczył dalej. Nad nim, w różowej sukience, Bonnie wyglądała tak czysto i odświętnie, jak pełna słodczy i zabawek piñata, którą na czyjeś urodziny zawieszono na drzewie, żeby dzieciaki ją sobie rozbiły. Dobrą minutę trwało, zanim ten widok do nas dotarł. Gapiliśmy się na Bonnie, na jej patykowate nogi w białych skarpetkach z bierzmowania, i ogarnął nas wstyd, jaki już nigdy miał nas nie opuścić. Lekarze, których porady później zaczerpnęliśmy, przypisywali nasze zachowanie wstrząsowi. Ale to, co czuliśmy, raczej bliższe było winie, jaką odczuwamy, gdy dopiero w ostatnim momencie zwracamy na coś uwagę, kiedy jest już za późno, jakby Bonnie przekazała nam nie tylko tajemnicę swojej śmierci, ale również swego życia, życia wszystkich dziewcząt. Była taka niesamowicie nieruchoma. Była taka niesamowicie ciężka. Na podeszwach jej butów wbite kawałeczki miki świeciły i ociekały wodą.

Wcale jej nie znaleźliśmy. Ściągnęły nas tu, abyśmy się tego dowiedzieli.

Nie pamiętam, jak długo tak staliśmy, obcując z jej duchem. Wystarczająco długo, aby nasz wspólny oddech wywołał lekki wiatr, który zakręcił Bonnie na sznurze. Kręciła się powoli i w pewnym momencie jej twarz wyłoniła się spoza wodorostów baloników, ukazując nam rzeczywistość wybranej przez nią śmierci. To był świat czerniejących oczodołów, krwi zbierającej się dolnych kończynach, sztywniejących stawów.

Już wtedy wiedzieliśmy wszystko, co się stało – aczkolwiek nigdy nie uzyskaliśmy pewności co do kolejności zdarzeń. Nadal się o to spieramy. Najprawdopodobniej Bonnie zmarła, gdy my siedzieliśmy w salonie, marząc o autostradach. Mary włożyła głowę do piekarnika chwilę później, słysząc, jak Bonnie kopniakiem wytraciła spod siebie kufer. Były przygotowane pomoc sobie nawzajem, gdyby zaszła taka potrzeba. Być może Mary jeszcze oddychała, gdy w ciemnościach mijaliśmy ją w odległości pół metra (zmierzyliśmy to później), krocząc po schodach w dół. Therese, nafaszerowana proszkami nasennymi popitymi ginem, gdy wchodziliśmy do domu prawdopodobnie umierała albo już nie żyła. Lux odeszła jako ostatnia, jakieś dwadzieścia czy trzydzieści minut po naszym wyjściu. Uciekając w popłochu i krzycząc bezgłośnie, zapomnieliśmy zatrzymać się przy garażu, z którego nadal płynęła muzyka. Znaleźli ją na przednim siedzeniu, z szarą twarzą, pogodną, trzymającą zapalniczkę, która wypaliła swoje zwoje w jej dłoni. Uciekła w samochodzie, zgodnie z naszymi przewidywaniami. Ale okazało się, że rozpięła nam klamry pasków jedynie po to, aby nas zwiść, i aby ona i jej siostry mogły umrzeć w spokoju.

Rozdział piąty

Poznaliśmy ich już. Poznaliśmy sposób, w jaki chudy prowadził karetkę, przyspieszając między przecznicami, jego ostrożne wchodzenie w zakręt, a także wiedzieliśmy, że zawsze źle wyliczał wjazd na podjazd przed domem Lisbonów i przejeżdżał przez trawnik. Znaliśmy zniekształcony dźwięk mijającej nas syreny, zjawisko, które Therese poprawnie rozpoznała jako efekt Dopplera za trzecim przyjazdem karetki pogotowia, ale nie za czwartym, bo tym razem to ona była zniekształcona, wirując i powoli odchodząc, zataczając spiralę w dół, porwana uczuciem przypominającym wsysanie przez własne wnętrzności. Wiedzieliśmy, że gruby ma wrażliwą skórę i że trapią go problemy z włoskami wrastającymi po goleniu, że nosi metalowy klin na obcasie buta, ponieważ ma krótszą lewą nogę, i że stuka nieregularnie, przechodząc po tłuczniowej nawierzchni podjazdu. Wiedzieliśmy, że chudemu przetłuszczają się włosy, bo gdy przybyli po Cecilię, jego długie włosy wyglądały jak włosy Boba Segera, ale teraz, rok później, kłaczki zniknęły i wyglądał jak zmokła kura. Nadal nie znaleźliśmy ich prawdziwych nazwisk, ale powoli zaczęliśmy już wyczuwać warunki ich życia, życia sanitariuszy, zapach bandaży i masek tlenowych, smak obiadów zjedzonych przed katastrofą i wyczuwalnych na reanimowanych ustach, aromat życia gasnącego przed ich nabrzmiałymi powietrzem twarzami, krew, rozbryzgane mózgi, sine policzki, oczy wyłażące z orbit i – w przypadku naszej ulicy – ciąg wiotkich ciał z bransoletkami i złotymi medalikami w kształcie serca.

Kiedy przyjechali po raz czwarty, tracili już wiarę. Karetka zatrzymała się gwałtownie, koła jak zwykle ślizgały się na nawierzchni, drzwi otwały się szeroko, ale gdy sanitariusze z niej wyskakiwali, widać było, że stracili już swój dziarski wygląd i że są to dwaj mężczyźni obawiający się ośmieszenia.

– Znowu tych dwóch facetów – powiedział pięcioletni Zachary Larson.

Ten gruby spojrzał na chudego i ruszyli w stronę domu, tym razem bez żadnego sprzętu. Otworzyła im pani Lisbon, z twarzą białą jak ściana. Nic nie powiedziała, tylko wskazała do wnętrza. Po wejściu sanitariuszy pozostała w drzwiach, zaciskając pasek od szlafroka. Palcem u nogi poprawiła wycieraczkę przed drzwiami, dwa razy. Wkrótce sanitariusze, odmienieni i pobudzeni, wybiegli z domu po nosze. Chwilę później wynosili już Therese, leżącą na brzuchu. Sukienkę miała podwiniętą do pasa i widać było jej nieładną bieliznę w kolorze sportowych

bandaży. Guziki na plecach porozpinały się i ukazał się fragment jej pleców koloru pieczarki. Co chwilę spadała jej ręka z noszy, chociaż pani Lisbon za każdym razem kładła ją z powrotem.

– Nie ruszaj się – powiedziała, najwyraźniej do ręki.

Ale ręka ponownie opadła. Pani Lisbon zatrzymała się, jej ramiona zwisły bezwładnie, zdawało się, że się poddaje. W następnej sekundzie już biegła, trzymając się ręki Therese i mruczając coś pod nosem, co niektórzy ludzie słyszeli jako „Nie, och, nie ty”, a pani O’Connor, która występowała na scenie w college’u, jako „Czemuś tak okrutny”.

W tym czasie my już byliśmy w naszych łózkach, udając, że śpimy. Na trawniku Szeryf założył maskę tlenową, przygotowując się do otwarcia automatycznych drzwi i wejścia do garażu. Po otwarciu garażu nie pojawiło się nic nadzwyczajnego (tak przynajmniej mówili nam ludzie), nie było oczekiwanego przez wszystkich dymu, nawet śladu gazu, w którym przedmioty migotałyby jak w obrazie fatamorgany – kombi drżało, a ponieważ Szeryf przypadkowo trącił jakiś przełącznik, wycieraczki pracowały jak oszalałe. Gruby wszedł do domu i jak cyrkowiec wspiął się na dwa krzesła poustawiane jedno na drugim, aby zdjąć Bonnie z krokwi. Mary znaleźli w kuchni, prawie nieżywą, z głową i tułowiem wciśniętymi do kuchenki, jakby ją szorowała. Przyjechała druga karetka (to zdarzyło się tylko ten jeden raz), a w niej dwóch innych sanitariuszy, bardziej pozbieranych niż Szeryf i jego gruby kolega. Wbiegli do środka i uratowali Mary życie. Na jakiś czas. Na ile było można.

Formalnie Mary ocalała na kolejny miesiąc, choć wszyscy uważali inaczej. Po tej nocy ludzie zaczęli mówić o siostrach Lisbon w czasie przeszłym, a jeśli w ogóle wspominali coś o Mary, dało się zauważyć ukryte pragnienie, aby się pospieszyła i szybko załatwiła sprawy. Ostatnie samobójstwa niewiele osób zaskoczyły. Nawet my, którzy próbowaliśmy uratować dziewczęta, zaczęliśmy uważać, że chyba przez chwilę nie byliśmy przy zdrowych zmysłach. Z perspektywy czasu, poobijany kufer Bonnie utracił jakiekolwiek związki z podróżowaniem czy ucieczką, i stał się jedynie tym, czym był naprawdę: obciążnikiem dla wisielca, jak worki z piaskiem w westernach. I chociaż wszyscy zgodnie twierdzili, że samobójstwa były tak łatwe do przewidzenia jak nadejście pór roku czy starość, jednak nigdy nie byliśmy zgodni co do ich przyczyn. Ostatnie samobójstwa zdawały się potwierdzać teorię doktora Hornickera, mówiącą, że dziewczęta cierpiały na posttraumatyczne zaburzenia emocjonalne, aczkolwiek sam doktor Hornicker wycofał się później z tego wniosku. Nawet jeśli samobójstwo Cecylii dało początek następnym, to i tak nie tłumaczyło, dlaczego Cecilia jako pierwsza targnęła się na swoje życie.

Na pospiesznie zwołanym spotkaniu Lions Club przemawiający na specjalne zaproszenie doktor Hornicker wspominał o możliwości istnienia pewnych powiązań chemicznych i powołał się na wyniki ostatnich badań na temat „wskaźników zmniejszenia wychwytu serotoniny przez płytki krwi wśród dzieci popełniających samobójstwo”. Doktor Kotbaum z Zachodniego Instytutu Psychiatrii odkrył, że wielu samobójców posiada niewystarczającą ilość serotoniny, neuroprzekaźnika niezbędnego do regulacji nastroju. Wyniki badań nad serotoniną zostały opublikowane już po śmierci Cecylii, więc doktor Hornicker nie zbadał u niej poziomu tego hormonu. Zbadał natomiast próbkę krwi Mary i okazało się, że dziewczyna miała lekki niedobór serotoniny. Podano jej leki i po dwóch tygodniach badań psychologicznych i intensywnej terapii ponownie zbadano jej krew. Poziom serotoniny był w normie.

Zgodnie z prawem stanowym, wymagającym przeprowadzenia autopsji we wszystkich przypadkach samobójstwa, dokonano sekcji zwłok wszystkich pozostałych dziewcząt. W takich sytuacjach prawo dawało policji dużą swobodę działania, a po pierwszym niedopatrzeniu, jakim było zaniechanie przeprowadzenia sekcji zwłok Cecylii, wiele osób uwierzyło, że podejrzewano państwa Lisbon o popełnienie przestępstwa albo starano się wyrzucić na nich presję, aby się wynieśli. Koroner, który przyjechał z centrum miasta wraz z dwoma zmęczonymi asystentami, otworzył jamy mózgowie i cieleśne dziewcząt, aby zajrzeć w tajemnice ich rozpacz. Przystąpili do pracy jak robotnicy przy taśmie montażowej – asystenci wtaczali kolejne dziewczyny przed doktora, a on pełnił swoją powinność za pomocą piły tarczowej, węża i aparatu z podciśnieniem. Zrobiono zdjęcia, które nigdy nie zostały udostępnione, ale my i tak nie mielibyśmy na tyle odwagi, aby je oglądać. Przeczytaliśmy natomiast raport koronera, napisany barwnym stylem, w którym śmierć dziewcząt była równie nierealna, jak telewizyjne wiadomości. Pisał o niezwyklej czystości ciał dziewcząt, najmłodszych z jakimi przyszło mu pracować, bez najmniejszych śladów alkoholizmu czy wyniszczenia. Ich gładkie, sine serca wyglądały jak balony wypełnione wodą, a i pozostałe organy charakteryzowały się podręcznikową wprost prawidłowością. W ciałach ludzi starszych, czy też schorowanych, organy zaczynają tracić swój oryginalny kształt, rozciągają się, zmieniają kolor, tworzą połączenia z organami, z którymi nie mają nic wspólnego, w związku z czym wnętrzności zazwyczaj wyglądają, jak to określił koroner, „jak wysypisko śmieci”. Natomiast siostry Lisbon były „jak coś oglądanego przez szybę, jak eksponat”. Niemniej jednak potrzeba rozcinań i krojenia tych nieskalanych ciał napawała koronera smutkiem i kilkakrotnie dał się ponieść emocjom. W pewnym miejscu, na marginesie, zrobił notatkę na

własny użytek: „Siedemnaście lat się tym zajmuję i już jestem zupełnie do niczego”. Jednak nie ustawał w swoich obowiązkach i znalazł masę na wpół strawionych pigułek uwięzionych w jelicie krętym Therese, zdławioną część przełyku Bonnie i mnóstwo tlenu węgla w chłodnej krwi Lux.

Pani Perl, której artykuł pojawił się w popołudniowej gazecie, jako pierwsza wskazała na znaczenie daty samobójstw. Okazało się, że dziewczęta odebrały sobie życie 16. czerwca, równo rok po tym, jak Cecilia podcięła sobie żyły. Pani Perl zrobiła wokół tego dużo szumu, pisząc o „*złowieszczych prorocत्वach*” i o „*niesamowitej zbieżności dat*”, co rozpętało burzę spekulacji, które trwają do dzisiaj.

W kolejnych artykułach – ukazujących się co dwa, trzy dni przez dwa tygodnie – pani Perl zmieniła styl, przechodząc z pełnego współczucia tonu osoby współuczestniczącej w żałobie w zimną i precyzyjną beznamiętność reportera dochodzeniowego, jakim nigdy nie udało jej się zostać. W swoim błękitnym pontiacu objeżdżała całą okolicę, składając wspomnienia w hermetyczny wniosek, dużo mniej wiarygodny niż nasz własny, w którym nadal pełno jest luk. Amy Schraff, dawna przyjaciółka Cecylii, zamęczana przez panią Perl ciągłymi pytaniami, wyrzuciła w końcu z siebie wspomnienie z czasów przed samobójstwami: pewnego nudnego dnia Cecilia kazała jej położyć się na łóżku pod ruchomym modelem zodiaku.

– Zamknij oczy i ich nie otwieraj – poleciła.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszły pozostałe siostry. Położyły dłonie na twarzy i ciele Amy.

– Z kim chcesz nawiązać kontakt? – zapytała Cecilia.

– Z moją babcią – odpowiedziała Amy.

Czuła chłodne ręce na twarzy. Ktoś zapalił kadzidelko. Pies zaszczekał. Nic się nie wydarzyło.

Na podstawie tego drobnego epizodu, mającego tyle samo wspólnego ze spirytyzmem co zabawkowy stoliczek do wywoływania duchów, pani Perl rozwinęła swoją teorię, mówiącą, że samobójstwa stanowiły element ezoterycznego rytuału składania ofiary z własnych ciał. Jej trzeci artykuł, zatytułowany „*Czyżby pakt samobójczy?*”, przedstawia ogólną teorię spiskową, z której wynika, że dziewczęta zaplanowały samobójstwa zgodnie z bliżej nieokreślonym zdarzeniem astrologicznym. Cecilia po prostu wystąpiła jako pierwsza, a pozostałe siostry czekały za kulisami. Scena oświetlona światłem świec. W orkiestrionie zawodzi Cruel Crux. Na utrzymanym

przez nas na widowni programie obrazek Marii Dziewicy. Pani Perl wszystko pięknie wyreżyserowała. Nie potrafiła natomiast wyjaśnić, dlaczego dziewczęta wybrały datę rocznicy próby samobójstwa Cecylia, a nie jej faktycznej śmierci, jakieś trzy tygodnie później, dziewiątego lipca.

Ale ta rozbieżność nikomu nie przeszkadzała. Gdy już raz pojawiły się seryjne samobójstwa, media nie odstępowały naszej ulicy. Nasze trzy lokalne stacje telewizyjne przysłały swoje ekipy, pojawił się nawet korespondent telewizji państwowej, który przyjechał samochodem kempingowym. Usłyszał o samobójstwach na parkingu ciężarówek w południowo-zachodnim zakątku naszego stanu i przyjechał sam sprawdzić.

– Nie sadzę, żebym coś nakręcił – powiedział. – Ja mam przedstawiać relacje optymistyczne.

Niemniej jednak zaparkował swój samochód kempingowy na końcu ulicy i od tego czasu widywaliśmy go, jak wyleguje się na swoich fotelach w szkocka kratę albo smaży hamburgery na miniaturowej kuchence. Nie zważając na delikatny stan psychiczny rodziców, lokalne ekipy telewizyjne natychmiast zaczęły swoje relacje. To wtedy zobaczyliśmy materiał z nagraniem domu Lisbonów, nakręcony kilka miesięcy wcześniej (ocieająca patelnia dachu i bielutkie drzwi frontowe), a po nim przedstawiano podsumowanie, w którym co wieczór pokazywano pięć tych samych twarzy: Cecilia na zdjęciu z rocznika, a potem zdjęcia jej sióstr. W tamtych czasach relacje na żywo były jeszcze czymś nowym i często zawodziły mikrofony albo gasło światło, a reporterzy relacjonowali w ciemnościach. Gapie, jeszcze wtedy nie znudzeni telewizją, przepychali się, aby pokazać swoją twarz przed kamerą. Reporterzy codziennie próbowali porozmawiać z państwem Lisbon i codziennie im się to nie udawało. Jednak gdy nadchodziła pora relacji, można było odnieść wrażenie, że udało się im dostać nawet do pokoi dziewcząt, zważywszy na wszystkie intymne skarby, jakie przynosili. Jeden z reporterów trzymał suknię ślubną wykonaną w tym samym roku co suknia Cecylia i gdyby nie nietknięty rąbek, trudno byłoby je rozróżnić. Inny przeczytał na zakończenie swojej relacji list, jaki Therese napisała do biura rekrutacji w Brown University. – Jak na ironię – jak to określił – zaledwie trzy dni przed tym, jak przestała marzyć o college'u... czy też o czymkolwiek innym. – Stopniowo reporterzy zaczęli nazywać siostry Lisbon po imieniu i zrezygnowali z przeprowadzania wywiadów ze specjalistami medycznymi, skupiając się na zbieraniu wspomnień sąsiadów i znajomych. Podobnie jak my, stali się kustoszami życia dziewcząt, i gdyby udało się im zakończyć pracę w sposób nas satysfakcjonujący, nie musielibyśmy podążać bez końca ścieżkami hipotez i

reminiscencji. Jednak reporterzy coraz rzadziej zadawali pytanie, dlaczego dziewczęta odebrały sobie życie. Zamiast tego rozmawiali o zainteresowaniach dziewcząt i o ich szkolnych nagrodach. Wanda Brown z Kanału 7 znalazła gdzieś zdjęcie Lux ubranej w strój bikini, stojącej na basenie publicznym przed ratownikiem, który wychyla się z krzeselka i nakłada na jej króliczy nos warstewkę tlenku cynku. Reporterzy co wieczór opowiadali nową anegdotę albo pokazywali nowe zdjęcie, ale ich odkrycia pozostawały bez związku z tym, co znaleźliśmy jako prawdę, i wkrótce można było odnieść wrażenie, że mówili o zupełnie innych osobach. Pete Patillo z Kanału 4 wspominał o „miłości do koni”, jaką rzekomo żywiła Therese, chociaż nigdy nie widzieliśmy Therese w pobliżu konia, a Tom Thomson z Kanału 2 zawsze mylił imiona sióstr. Reporterzy podawali najbardziej wątpliwe relacje jako fakty i mieszały ze sobą szczegóły historii, które do pewnego stopnia były zgodne z prawdą (i tak czarna bielizna Cecilii pojawiła się na woskowej figurze, która w relacji Petera Patillo miała przedstawiać Mary). Jeszcze bardziej nas zniechęciło to, że pozostała część miasta święcie wierzyła w te ich rewelacje. Naszym zdaniem ludzie z zewnątrz nie mieli prawa nazywać Cecilii „szaloną”, ponieważ ich reporterska wiedza nie była zdobyta w oparciu o długotrwałe filtrowanie wiadomości pochodzących z pierwszej ręki. Po raz pierwszy w życiu współczuliśmy naszemu prezydentowi, ponieważ zobaczyliśmy, jak w bardzo fałszywym świetle przedstawiana była nasza sfera wpływów przez osoby, które absolutnie nie miały szans wiedzieć, co się naprawdę dzieje. Nawet nasi rodzice zdawali się coraz bardziej wierzyć w telewizyjną wersję wydarzeń i słuchali głupot wygadywanych przez reporterów, jakby ci mogli powiedzieć nam prawdę o naszym życiu.

Po nagonce mediów, jaka nastąpiła po samobójstwach, państwo Lisbon przestali nawet próbować żyć normalnie. Pani Lisbon przestała chodzić do kościoła, a gdy ojciec Moody przyszedł do niej, aby ją pocieszyć, zastał drzwi zamknięte.

– Dzwoniłem i dzwoniłem – opowiadał nam. – Na próżno.

Przez cały pobyt Mary w szpitalu pani Lisbon pojawiła się tylko raz. Herb Pitzenberger widział, jak wychodziła na werandę za domem ze stosem odręcznie zapisanych kartek. Ułożyła je na kupkę i podpaliła. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co tam było.

Mniej więcej w tym czasie pan Lisbon zadzwonił do pani Carminy D'Angelo z prośbą o ponowne wystawienie domu na sprzedaż (zrezygnował ze sprzedaży wkrótce po śmierci Cecilii). Pani D'Angelo taktownie napomknęła, że aktualny stan domu raczej nie wpłynie korzystnie na sprzedaż, ale pan Lisbon odrzekł:

– Zdaję sobie z tego sprawę. Wynająłem człowieka.

Okazało się, że tym człowiekiem był pan Hedlie, nauczyciel angielskiego z naszej szkoły. Nie mając zajęcia w okresie wakacji, przyjął ofertę i przyjechał swoim volkswagenem garbusem z wciąż widniejącą na zderzaku nalepką popierającą kandydata Demokratów, który przegrał w ostatnich wyborach prezydenckich. Gdy wysiadał z samochodu, zobaczyliśmy, że teraz nie nosi obowiązkowego nauczycielskiego garniturku, ma natomiast na sobie jasną, zielono-żółtą, luźną afrykańską koszulę i parę sandałów z jaszczurki. Włosy opadały mu na uszy i poruszał się ociężałym krokiem wyluzowanego nauczyciela na wakacjach, kiedy powraca do niefrasobliwego stylu życia. Pomimo swojego wyglądu przywódcy komuny hipisowskiej wziął się solidnie do roboty i przez trzy dni wytaszczył z domu Lisbonów całą górę śmieci. Państwo Lisbon zatrzymali się w hotelu, a pan Hedlie zajął się domem, wyrzucając narty, akwarele, worki z ubraniami, hula-hoop. Wyciągnął na zewnątrz zniszczoną, brązową kanapę, przecinając ją na pół, gdy nie chciała przejść przez drzwi. Zapełnił śmietniki kwietnikami, starymi kuponami, stosami zebranych drucików do pakowania, zapasowymi kluczami. Widzieliśmy, jak wymachując śmietniczką atakuje każdy kolejny zagracony pokój, a trzeciego dnia podniósł się już taki kurz, że zaczął nosić maskę chirurgiczną. Przestał odzywać się do nas niezrozumiałymi greckimi zwrotami, nie interesował się też naszą podwórkową grą w baseball, ale każdego ranka przyjeżdżał z beznadziejnym wyrazem twarzy człowieka, który ma osuszyć mokradła za pomocą kuchennej gąbki. Kiedy zdjął dywany i wyrzucił ręczniki, w powietrze uniósł się smród domu, a wiele osób sądziło, że maskę nosił nie po to, aby uchronić się przed kurzem, ale przed wyziewami córek Lisbonów, wciąż tkwiącymi w pościeli i zasłonach, w odłączonych ze ścian tapetach, w nowiutkich kawałkach wykładziny, jakie zachowały się pod komodami i nocnymi stolikami. Pierwszego dnia pan Hedlie ograniczył swą działalność tylko do parteru, ale drugiego dnia zapuścił się do splądrowanego seraju pokoiów sióstr Lisbon, brodząc po kostki w garderobie brzmiącej muzyką minionego czasu. Kiedy wyciągał zza wezgłowia nepalską chustę Cecilii, na końcu każdego frędzla witało go dzwonienie zielonych, zardzewiałych dzwoneczków. Sprężyny z łóżek lamentowały na dwóch nutach, kiedy stawiał łóżko na boku. Z poduszek sypał się śnieg martwej skóry.

Opróżnił sześć półek w szafie na piętrze, wyrzucając stosy ręczników kąpielowych i ścierek, postrzępionych prześcieradeł, na których widniały różowe lub cytrynowe plamy, koców przesiąkniętych zawartością wyciekającego z dziewcząt snu. Na górnej półce znalazł i opróżnił

domowy składzik środków medycznych – termofor o fakturze podrażnionej skóry, ciemnogrnatowy słoik maści Vicks VapoRub ze śladami palców w środku, pudełko po butach wypełnione maściami przeciw grzybicy i zapaleniu spojówek, balsamy stosowane na intymne części ciała, aluminiowe tubki powyginane, wyciśnięte lub pozwijane jak prezenty rozdawane gościom na przyjęciu. Ponadto: pomarańczowa aspiryna dla dzieci, którą dziewczęta żuły jak cukierki, stary termometr (doustny, niestety) w czarnym plastikowym etui oraz szereg innych przeróżnych akcesoriów wcieranych, wciskanych, nakładanych na ciała dziewcząt; krótko mówiąc, wszystkie ziemskie mikstury, jakie pani Lisbon używała przez lata, aby dziewczynki mogły żyć i rozwijać się.

To właśnie wtedy znaleźliśmy albumy z nagraniami zespołu gospel z Grand Rapids, Tyrone’a Little i zespołu Wierni oraz całą resztę. Co wieczór, gdy pan Hedlie wychodził z domu, pokryty białą warstewką, która postarzała go o trzydzieści lat, my zagłębialiśmy się w górze skarbów i rupieci, jaką zostawiał na chodniku. Zdumiewało nas, że pan Lisbon dał mu zupełnie wolną rękę, ponieważ pan Hedlie pozbywał się nie tylko rzeczy mało istotnych, jak puszki pasty do butów (wyżłobione do srebrnych środków), ale również zdjęć rodzinnych, sprawnego aparatu do płukania zębów czy kawałek impregnowanego papieru, na którym co rok zaznaczono wzrost sióstr Lisbon. Ostatnią rzeczą wyrzuconą przez pana Hedliego był pusty telewizor, który Jim Crotter zabrał do swojego pokoju i znalazł w nim wypchaną iguanę, używaną przez Therese do nauczania biologii, z oderwanym ogonem i bez kłapki w brzuchu, z widocznymi w środku ponumerowanymi organami z plastiku. Oczywiście zabraliśmy wszystkie zdjęcia rodzinne i zorganizowaliśmy stałą wystawę w naszym domku na drzewie, a resztę podzieliliśmy drogą losowania. Większość zdjęć pochodziła sprzed wielu lat, ze szczęśliwszego okresu, który zdawał się składać z niekończących się rodzinnych pikników. Na jednym zdjęciu dziewczęta siedzą po turecku na huśtawce na trawniku, utrzymywane w równowadze przez przeciwwagę dymiącego grilla na wzgórzu (fotografujący przechylił kamerę). (Z żalem informujemy, że ta fotografia, dowód rzeczowy nr 47, zniknęła ostatnio ze swojej koperty.) Do naszych ulubionych należy również zestaw zdjęć zrobionych przy totemie podczas wycieczki turystycznej, na których widać jak dziewczęta po kolei wkładają głowy w specjalny otwór wycięty w miejscu głowy uświęconego zwierzęcia.

Jednak pomimo tych nowych dowodów dokumentujących życie dziewcząt i nagle rozprzężenie stosunków rodzinnych (zdjęcia kończą się mniej więcej wtedy, gdy Therese kończy

dwanaście lat), niewiele więcej dowiedzieliśmy się o życiu sióstr Lisbon. Odnieśliśmy wrażenie, że dom już zawsze będzie wypluwać z siebie gruzy, ogromne fale niosące pantofle nie do pary i sukienki rozwieszane na wieszakach jak strachy na wróble, a my, po dokładnym przeszukaniu tego wszystkiego, nadal nic nie będziemy wiedzieć. Jednak w końcu fala przyływu skończyła się. Trzy dni po wkroczeniu do domu pan Hedlie po raz pierwszy wyszedł z niego przez drzwi frontowe i zszedł po schodkach, aby obok stojącej już tabliczki z napisem NA SPRZEDAŻ umieścić mniejszą, na której było napisane WYPRZEDAŻ RZECZY UŻYWANYCH. Tego dnia i przez dwa następne pan Hedlie wystawił na sprzedaż cały dobytek, który nie tylko obejmował wyszczerbione naczynia, typowe dla takich wyprzedaży, ale również ciężkie i trwałe przedmioty, jakie sprzedawano podczas likwidowania dużych posiadłości. Przyszli wszyscy, bynajmniej nie po to, aby coś kupić, ale aby po prostu wejść do domu Lisbonów, przekształconego w czyste, przestronne miejsce, pachnące sosnowym środkiem czyszczącym. Pan Hedlie wyrzucił całą bieliznę, wszystko, co należało do dziewcząt, wszystko co było uszkodzone, pozostawiając tylko meble, stoły wypolerowane olejem lnianym, krzesła kuchenne, lustra, łóżka, a każdy przedmiot opatrzony był schludną, białą karteczką z ceną wypisaną zniewieściałym charakterem pisma. Ceny były ostateczne; pan Hedlie nie miał zamiaru się targować. Wtargnęliśmy do domu i buszowaliśmy na piętrze i na dole, dotykaliśmy łóżek dziewcząt, w których już nigdy nie będą spać, czy luster, w których już nigdy nie pojawi się ich odbicie. Nasi rodzice nie kupowali używanych mebli, a już na pewno nie kupiliby mebli naznaczonych śmiercią, ale oglądali jak wszyscy inni, którzy przybyli tu w odpowiedzi na ogłoszenie w gazecie. Pojawił się ksiądz z greckiego kościoła prawosławnego wraz z grupką pulchnych wdów. Najpierw wdowy zaczęły krakać jak wrony i na wszystko kręcić nosem, a potem wyposażyły nową sypialnię księdza na probostwie w należące wcześniej do Mary łóżko z baldachimem, komodę z drzewa orzechowego Therese, chiński lampion Lux i krzyż Cecylii. Przyjechali i inni, po kawałku wynosząc zawartość domu. Pani Krieger znalazła na stoliku z wystawką obok garażu aparat na zęby swojego syna, Kyle'a, i gdy nie udało się jej przekonać pana Hedliego, że aparat należy do jej syna, odkupiła urządzenie za trzy dolary. Na koniec zobaczyliśmy mężczyznę z wąsami jak pędzel, który załadował model żaglowca do bagażnika swojego eldorado.

Dom z zewnątrz nadal wymagał naprawy, ale jego wnętrze odzyskało swoją prezencję i w ciągu kilku tygodni pani D'Angelo udało się sprzedać dom młodemu małżeństwu, które mieszka tam obecnie, choć trudno już nazwać je młodym. Ale wtedy, po raz pierwszy dysponując większą

gotówką, złożyli ofertę panu Lisbonowi, którą on przyjął, pomimo że cena była zdecydowanie niższa niż on sam zapłacił za dom. W tym momencie dom był już prawie zupełnie pusty, pozostał tylko ołtarzyk Cecilii, wełnista masa przyklejonego do parapetu wosku ze świec, której pan Hedlie przesądnie nie chciał nawet dotknąć. Myśleliśmy, że już nigdy nie zobaczymy państwa Lisbon i nawet spróbowaliśmy rozpocząć niewyobrażalny proces zapominania o nich. Nasi rodzice jakoś lepiej radzili sobie z tym, wracając do swoich partii tenisa i koktajlowych rejsów. Na ostatnie samobójstwa zareagowali lekkim wstrząsem, jakby się ich spodziewali, albo nawet czegoś gorszego, jakby nie było to dla nich nic nowego. Pan Conley poprawił swój tweedowy krawat, który nosił zawsze, nawet podczas ścinania trawy, i powiedział:

– Kapitalizm przyniósł materialny dobrobyt, ale równocześnie zapoczątkował duchowe bankructwo.

Potem wygłosił swój salonowy wykład o ludzkich potrzebach oraz o spustoszeniu, jakie niesła za sobą konkurencja, i chociaż był jedynym znanym nam komunistą, jego opinie tylko w niewielkim stopniu różniły się od wszystkich innych osób. Dziewczęta zaraziły się jakąś chorobą zżerającą serce naszego kraju. Nasi rodzice uważali, że musi to mieć związek ze słuchaną przez nas muzyką, z naszą bezbożnością czy rozluźnieniem norm moralnych w zakresie seksu, którego my jeszcze nigdy nie zakosztowaliśmy. Pan Hedlie wspomniał, że w okresie fin-d-siecle'u Wiedeń był świadkiem podobnej fali samobójstw wśród młodych ludzi, i całą winą obarczył nieszczęście życia w upadającym imperium. Miało to jakiś związek z tym, że poczta nie dociera na czas, że dziury w jezdni nigdy nie są łatanie, jak również ze złodziejstwem w radzie miasta, z zamieszkami na tle rasowym, czy też z 801 podpaleniami, jakie miały miejsce na terenie miasta w poprzedzającą Halloween noc Szatana. Córki Lisbonów stały się symbolem tego, co było złe w naszym kraju, bólu, jaki zadawał swoim nawet najbardziej niewinnym obywatelom, i w celu poprawienia sytuacji grupa rodziców ufundowała dla naszej szkoły ławeczkę dla upamiętnienia dziewcząt. Początkowo ławeczka miała być dedykowana jedynie Cecilii (projekt ruszył osiem miesięcy wcześniej, po Dniu Żałoby), jednak udało się na czas zmienić dedykację i umieszczono na niej również imiona pozostałych dziewcząt. Ławka była niewielka, wykonana z drzewa z cypla Upper Peninsula. – Drzewo z dziewiczego lasu – jak to określił pan Krieger, który przestawił urządzenia w swojej fabryce filtrów powietrza w celu wykonania ławeczki. Na plakietce znajdowała się bardzo prosta inskrypcja „Pamięci siostr Lisbon, cór naszej społeczności”.

Co prawda w tym momencie Mary nadal żyła, ale na plakietce nie uwzględniono tego faktu. Wróciła ze szpitala kilka dni później, po dwutygodniowym pobycie. Wiedząc, że państwo Lisbon i tak nie przyjdą, doktor Hornicker nawet nie zaprosił ich na spotkania terapeutyczne. Przeprowadził z Mary ten sam zestaw testów, jakie wcześniej przechodziła Cecilia, ale nie znalazł żadnych oznak choroby psychicznej, jak schizofrenia czy depresja maniackalna. – Z badań wynika, że była względnie dobrze przystosowaną nastolatką. Oczywiście z pewnością nie miała przed sobą świetlanej przyszłości. Zaleciłem stałą terapię, aby łatwiej poradziła sobie z tym urazem psychicznym. Ale poziom jej serotoniny był w normie i wyglądała zupełnie dobrze.

Powróciła do domu ogołoczonego z mebli. Państwo Lisbon, którzy wrócili już z motelu, obozowali w głównej sypialni. Również Mary dostała śpiwór. Pan Lisbon, co zrozumiałe, niechętnie opowiadał o dniach po potrójnym samobójstwie i niewiele powiedział nam o stanie, w jakim Mary wróciła do domu. Jedenaście lat wcześniej, gdy dziewczynki były jeszcze małymi dziećmi, rodzina przybyła do domu tydzień przed samochodem firmy zajmującej się przeprowadzkami. Również wtedy musieli obozować, spać na podłodze i czytać bajki do poduszki przy lampie naftowej i, co dziwne, właśnie te wspomnienia naszły pana Lisbona w ostatnie dni spędzane w domu.

– Czasami, w środku nocy, zapominałem o wszystkim, co się wydarzyło. Schodziłem do holu i przez chwilę miałem wrażenie, jakbyśmy znowu właśnie się wprowadzili. Dziewczęta spały w swoim namiocie w salonie.

Samotna na drugim krańcu tych dni, Mary leżała w swoim śpiworze na twardej podłodze sypialni, której z nikim już nie musiała dzielić. Miała śpiwór starego typu, z obłazącą flanelową podszewką, na której martwe kaczki unosiły się nad myśliwymi w czerwonych czapczkach, a pstrąg podskakiwał z haczykiem w pysku. Chociaż było lato, zapinała śpiwór tak wysoko, że wystawał tylko górny fragment jej twarzy. Spała do późna, mówiła niewiele i sześć razy dziennie brała prysznic.

Z naszego punktu widzenia smutek Lisbonów był niewyobrazalny i gdy widywaliśmy ich w te ostatnie dni, zdumiewało nas wszystko, co robili. Jak mogli w ogóle zasiadać do jedzenia? Albo wychodzić na werandę na tyłach domu i rozkoszować się wieczorną bryzą? Jak pani Lisbon mogła, jak to zrobiła pewnego popołudnia, wyjść chwiejnym krokiem i przejść przez zarośnięty trawnik, aby zerwać lwią paszczę z ogródka pani Bates? Potrzymała kwiat pod nosem, a potem, najwyraźniej niezadowolona z zapachu, wepchnęła go do kieszeni jak zużytą chusteczkę i wyszła

na ulicę, spod przymrużonych powiek patrząc na okolicę wzrokiem krótkowidza pozbawionego okularów. Z kolei pan Lisbon każdego popołudnia parkował kombi w cieniu, podnosił maskę i godzinami ślęczał nad silnikiem.

– Trzeba się czymś zająć – powiedział pan Eugene, komentując jego zachowanie. – A co więcej można zrobić?

Mary wyszła z domu i poszła do pana Jessupa na pierwszą od roku lekcję kształcenia głosu. Nie umówiła się na lekcję, ale pan Jessup nie mógł jej odmówić. Usiadł przy fortepianie, prowadząc Mary przez skale, a potem włożył głowę do metalowego kubła, aby zaprezentować, jak rezonuje przy jego wyszkolonym wibrato. Mary śpiewała nazistowską piosenkę z filmu „Kabaret”, tę sama, którą ćwiczyły wraz z Lux tego dnia, gdy zaczęła się cała tragedia, a pan Jessup powiedział, że po tym wszystkim, co przeszła, jej głos zrobił się smętniejszy i ponad wiek dojrzały.

– Wyszła, nie płacąc za lekcję – powiedział – ale przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić.

Znowu była pełnia lata, już ponad rok minął od czasu, gdy Cecilia przecięła sobie żyły, wypuszczając toksyny, które zatruły powietrze. Ścieki z fabryki River Rouge zwiększyły poziom fosfatów w jeziorze i spowodowały powstawanie kożucha glonów tak grubego, że zatykał silniki motorówek. Nasze piękne jezioro zaczynało przypominać staw z nenufarami, pokryty dywanem falującej piany. Wędkarze rzucali kamieniami z brzegu, aby zrobić dziury, przez które opuszczali swoje żyłki. Unoszący się w powietrzu zapach bagna zupełnie nie pasował do dystyngowanych posiadłości rodzin potentatów przemysłu samochodowego i do zielonych kortów tenisowych na wzniesieniach, a także do przyjęć organizowanych pod oświetlonymi namiotami z okazji ukończenia szkoły. Młode panny skarżyły się, że oto przyszło im wkraczać w wielki świat w porze, którą wszyscy będą pamiętać jako strasznie śmierdzącą. Jednak rodzina O’Connorów wpadła na bardzo oryginalne rozwiązanie, na temat przyjęcia, organizowanego w związku z wkroczeniem w świat ich córki Alice, wybierając „Zaczadzenie”. Goście przybyli w smokingach i maskach przeciwgazowych, sukniach wieczorowych i hełmach kosmonautów, a sam pan O’Connor ubrał strój nurka głębinowego i podnosił maskę swojego hełmu, aby golnąć sobie whisky z wodą. W szczytowym punkcie przyjęcia, gdy Alice wytoczono w sztucznym płucu wypożyczonym ze szpitala Henry’ego Forda (pan O’Connor był członkiem zarządu), wypełniający powietrze smród zgnilizny zdawał się jedynie zwieńczyć atmosferę zabawy.

Podobnie jak wszyscy, poszliśmy na przyjęcie do Alice O’Connor, aby zapomnieć o

siostrach Lisbon. Czarni barmani w czerwonych kamizelkach podawali nam alkohol nie pytając o wiek, a w zamian, około trzeciej rano, my z kolei nic nie powiedzieliśmy, widząc ich, jak ładują pozostałe po przyjęciu skrzynki whisky do bagażnika przeładowanego cadillaca. Na przyjęciu spotkaliśmy dziewczyny, którym nigdy nie przyszłoby na myśl odebrać sobie życie. Poiliśmy je drinkami, tańczyliśmy z nimi, aż zaczęły lecieć z nóg, i wyprowadzaliśmy je na osłonięte werandy. Gubiły po drodze szpilki, całowały się z nami w wilgotnych ciemnościach i wymykały się nam, aby grzecznie zwymiotować w krzakach na zewnątrz. Niektórzy z nas trzymali ich głowy, gdy wymiotowały, a potem podawali im piwo, aby przepłukały usta, i znowu je całowali. Dziewczęta wyglądały potwornie w swoich wieczorowych sukniach, skonstruowanych na drucianych koszach. Na ich głowach piętrzyły się masy włosów. Przeznaczeniem tych dziewczyn – pijanych, całujących nas albo zasypiających w krzesłach – było iść do college’u, wyjść za mąż, mieć dzieci, jedynie ocierać się o nieszczęście – jednym słowem, ich przeznaczeniem było żyć.

W blasku przyjęcia czerwieniały twarze dorosłych. Pani O’Connor spadła z fotela i nakryła się swoją sukienką z obręczami. Pan O’Connor zaciągnął jedną z koleżanek córki do łazienki. Tej nocy przez dom O’Connorów przewinęła się cała okolica, wszyscy śpiewali do wtóru, gdy zespół składający się z łysych muzyków grał stare piosenki, albo kręcili się po korytarzach na tyłach domu, spacerując przez zakurzone sale zabaw lub zaglądając do popsutej windy. Podnosząc kieliszki z szampanem, ludzie mówili, że przemysł się odradza, jak również nasz naród, nasz styl życia. Goście przechadzali się pod weneckimi latarniami, schodzącymi w kierunku jeziora. W świetle księżyca kozuch glonów wyglądał jak kudłaty dywan, a całe jezioro jak zatopiony salon. Ktoś wpadł do wody, został wyłowiony i położony na nabrzeżu.

– Mam tego dość – powiedział, śmiejąc się. – Żegnaj okrutny świecie!

Próbował znowu stoczyć się do jeziora, ale koledzy powstrzymali go.

– Nikt mnie nie rozumie – powiedział. – Jestem nastolatkiem. Mam swoje problemy!

– Zamknij się – skarcił go damski głos. – Usłyszają cię.

Za kępa drzew widać było tyły domu Lisbonów, ale nie świeciły się tam żadne światła, prawdopodobnie dlatego, że w tym czasie odłączono już elektryczność. Wróciliśmy do wnętrza, gdzie ludzie świetnie się bawili. Kelnerzy podawali małe srebrne miseczki z zielonymi lodami. Na parkiecie stał włączony pojemnik z nieszkodliwym gazem łzawiącym, wypuszczając niewinną mgiełkę. Pan O’Connor tańczył z Alice. Wszyscy wznosili toasty za jej przyszłość.

Zostaliśmy do świtu. Gdy wychodziliśmy na pierwszy w naszym życiu alkoholowy brzask

(blade rozjaśnienie obrazu, ograna technika monotematycznego reżysera), wargi mieliśmy spuchnięte od całowania, a usta tętniły smakiem dziewczyn. W pewnym sensie już byliśmy po ślubie i po rozwodzie, a Tom Faheem w kieszeni spodni znalazł liścik miłosny, adresowany do ostatniej osoby, która wypożyczyła smoking. Jętki, które wylęgły się w nocy, wciąż jeszcze drgały na drzewach i latarniach, tworząc gąbczasty chodnik pod naszymi stopami, jakbyśmy szli po puree ze słodkich ziemniaków. Zapowiadał się parny dzień. Zdjęliśmy marynarki i noga za nogą wkleiliśmy się aleją, przy której mieszkali O'Connorowie, i za zakrętem weszliśmy w naszą ulicę. W oddali, przed domem Lisbonów stała karetka pogotowia, migając światłami. Nawet nie włączyli syreny.

To właśnie tego ranka sanitariusze pojawili się po raz ostatni, naszym zdaniem poruszając się zdecydowanie zbyt wolno, i ten gruby zażartował, że to nie jest telewizja. Byli już w tym domu tyle razy, że teraz nawet nie zapukali, tylko weszli od razu, obok płotu, którego już nie było, do kuchni, aby zobaczyć, czy włączona jest kuchenka gazowa, potem zeszli do piwnicy, gdzie okazało się, że na belce nic nie wisi i w końcu weszli po schodach na górę, gdzie w drugiej z kolei sypialni znaleźli to, czego szukali – ostatnią córkę Lisbonów, leżącą w śpiworze i nafaszerowaną proszkami nasennymi.

Miała bardzo mocny makijaż i sanitariusze odnieśli dziwne wrażenie, że już była przygotowana na spotkanie z przedsiębiorcą pogrzebowym, a to wrażenie zniknęło dopiero, gdy zobaczyli, jak bardzo rozmazana była szminka i cień do powiek. Pod koniec rzuciła się i tarła twarz skurczonymi palcami. Była ubrana w czarną suknię z welonem, co niektórym ludziom skojarzyło się z żałobnym strojem Jackie Kennedy, a to skojarzenie nie odbiegało zbyt od rzeczywistości – procesja wychodząca przez główne drzwi, z dwoma sanitariuszami, którzy jak umundurowani żałobnicy nieśli trumnę, i dźwięk petard wybuchających na zakończenie przyjęcia na sąsiedniej ulicy, faktycznie przywodziło na myśl podniosłą chwilę składania do grobu bohatera narodowego. Państwo Lisbon nie pojawili się i to nam przypadł obowiązek odprowadzenia jej, więc po raz ostatni podeszliśmy i stanęliśmy na baczność. Vince Fusilli uniósł zapalniczkę, jak na rockowym koncercie. Tylko w ten sposób mogliśmy stworzyć namiastkę wiekuistego płomienia.

* * *

Przez pewien czas staraliśmy się przyjąć do wiadomości ogólnikowe wyjaśnienie, zgodnie z którym ból sióstr Lisbon miał być rozpatrywany jedynie w kontekście historycznym i pochodził z tego samego źródła, co samobójstwa innych nastolatków, gdzie każda śmierć stanowiła część ogólnego trendu. Próbowaliśmy powrócić do naszego dawnego życia, pozwolić dziewczętom spoczywać w spokoju, ale dom Lisbonów nadal sprawiał wrażenie nawiedzonego, i gdy tylko na niego patrzyliśmy, ukazywał nam płomienny kształt wznoszący się łukiem z dachu czy też kołyszący się w oknie na piętrze. Wielu z nas nadal miało sny, w których siostry Lisbon ukazywały się bardziej rzeczywiste niż były w życiu, i gdy się budziliśmy, byliśmy pewni, że na naszych poduszkach pozostał zapach pozaziemskiego świata. Prawie co dnia spotykaliśmy się, aby jeszcze raz przeanalizować dowody, i recytowaliśmy fragmenty pamiętnika Cecylii (podał nam się wtedy opis Lux sprawdzającej temperaturę zimnego morza, stojącej z jednym kolaniem podniesionym, jak flaming). Jednak nasze spotkania nieodmiennie kończyły się wrażeniem, że cofamy się ścieżką prowadzącą donikąd i wciąż narastało w nas uczucie przygnębienia i frustracji.

Dziwnym zrzędzeniem losu w dzień samobójstwa Mary zakończył się trwający 409 dni strajk pracowników cmentarza. Tak długi strajk spowodował, że kostnice już od miesięcy były zapełnione i obecnie wiele ciał powracało z innych stanów, gdzie oczekiwały na pochówek; wieziono je samochodami-chłodniami lub samolotem, w zależności od zamożności zmarłych. Jedna z ciężarówek uległa wypadkowi na autostradzie i wywróciła się, a na pierwszej stronie gazety pojawiło się zdjęcie prezentujące metalowe trumny rozsypane wokół ciężarówki jak sztabki złota. Na zbiorowym pogrzebie sióstr Lisbon pojawili się tylko państwo Lisbon, pan Calvin Honnicutt, pracownik cmentarza, który właśnie powrócił do pracy, i ojciec Moody. W związku z brakiem kwater groby dziewcząt nie znajdowały się obok siebie, ale były porzucane po całym cmentarzu i kondukt pogrzebowy musiał jeździć w kółko, podążając od grobu do grobu w koszmarnie żółwym tempie cmentarnego ruchu. Ojciec Moody opowiadał, jak to ciągle wsiadanie i wysiadanie z limuzyny spowodowało, że zupełnie się zgubił i nie wiedział, która dziewczyna leży w którym grobie.

– Musiałem wygłaszać dosyć ogólnikowe mowy pogrzebowe – powiedział. – Tego dnia na cmentarzu było spore zamieszanie. Przecież to byli zmarli zebrani z całego roku. Wszystko wokół było niezłe rozkopane.

Natomiast państwo Lisbon byli tak przytłoczeni tragedią, że wszystkiemu poddawali się

bezwolnie. Podążali za księdzem od grobu do grobu, niewiele mówiąc. Pani Lisbon, będąca pod wpływem środków uspokajających, ciągle patrzyła w niebo, jakby oglądając ptaki. Pan Honnicutt powiedział nam:

– To była już siedemnasta godzina mojej pracy tego dnia, przez cały czas na środkach pobudzających. Na tej jednej zmianie pogrzebałem ponad pięćdziesiąt osób. Ale i tak, gdy zobaczyłem tę kobietę, podłamałem się.

Zobaczyliśmy państwa Lisbon po ich powrocie z cmentarza. Z godnością wysiedli z limuzyny i podążyli w stronę swojego domu, rozgarniając krzaki, aby dostać się na schody werandy. Wybierali drogę między rozbitymi kawałkami dachówek. Po raz pierwszy w życiu dostrzeżliśmy podobieństwo twarzy pani Lisbon i jej córek, choć być może to z powodu czarnej woalki, którą wspominały niektóre osoby. My, co prawda, nie pamiętamy żadnej woalki i sądzimy, że ten szczegół jest tylko wytworem romantycznej pamięci. Niemniej jednak zapadł nam w pamięć obraz pani Lisbon odwracającej się w stronę ulicy i ukazującej nam twarz, jakiej nigdy wcześniej nie widzieliśmy – nam wszystkim klęczącym przy oknach w jadalni czy wyglądającym przez firanki, pocącym się na poddaszu domu Pitzenbergerów i pozostałym, patrzącym nad maskami samochodów albo z dołków służących za pierwszą, drugą i trzecią bazę, spoza grillów albo ze szczytowego punktu huštawek – odwróciła się, rzuciła swe błękitne spojrzenie na wszystkie strony, spojrzenie tego samego koloru, co spojrzenie dziewcząt, lodowate, upiorne i niezgłębione, a potem odwróciła się i ruszyła za swym mężem do domu.

Nie było już żadnych mebli, więc nie sądziliśmy, aby Lisbonowie mieli zbyt długo zostać. Minęły jednak trzy godziny, a oni nie wychodzili. Chase Buell wziął kij baseballowy i uderzył piłeczkę w kierunku ich podwórka, ale wrócił z informacją, że w domu nie widział żywej duszy. Później chciał tam posłać jeszcze jedną piłeczkę, ale utkwiała w drzewach. Państwo Lisbon nie wyszli z domu przez całą resztę dnia, nie zrobili tego również wieczorem. Dopiero w środku nocy ostatecznie opuścili dom. Widział ich tylko wuj Tucker. Gdy z nim rozmawialiśmy po latach, był zupełnie trzeźwy, zupełnie pozbierał się po dziesięcioleciach nadużywania alkoholu i w przeciwieństwie do innych, między innymi do nas, którzy wyglądaliśmy wyraźnie gorzej, wyglądał zdecydowanie lepiej. Zapytaliśmy go, czy widział Lisbonów wychodzących z domu, a on potwierdził:

– Wyszedłem na dwór na papierosa. Była mniej więcej druga w nocy. Usłyszałem, że po drugiej stronie ulicy otwierają się drzwi i wtedy oni wyszli. Matka wyglądała na nawaloną. Mąż

pomagał jej wsiąść do samochodu. A potem odjechali. Bardzo szybko. Wynieśli się w diabły.

Kiedy obudziliśmy się następnego ranka, dom Lisbonów był pusty. Wyglądał na jeszcze bardziej zrujnowany, przypominał płuco zapadnięte od środka. Po tym, jak młode małżeństwo zajęło dom, podczas drapania, malowania, naprawiania dachu, wrywania krzewów i sadzenia azjatyckich roślin okrywowych, mieliśmy wystarczająco dużo czasu na poskładanie naszych przeczuć i teorii w możliwą do przyjęcia historię. Nowi mieszkańcy usunęli okna z przodu (wciąż jeszcze noszące ślady naszych palców i nosów) i zamontowali przesuwne szyby z hermetycznymi uszczelkami. Ekipa robotników w białych kombinezonach i czapczkach piaskowała dom, a potem w ciągu dwóch tygodni pobyli go grubą, białą pastą. Brygadzysta, z napisem „Mike” na kombinezonie, powiedział nam, że „ten nowy materiał, Kenitex” na zawsze już wyeliminuje potrzebę ponownego malowania. – Już niedługo wszyscy będą używali Keniteksu – powiedział nam, podczas gdy jego ludzie z pistoletami natryskowymi pokrywali dom warstwą materiału. Kiedy ukończyli swoją pracę, dom Lisbonów przemienił się w gigantyczny, ociekający lukrem tort weselny, ale nie minął rok, a kawałki Keniteksu zaczęły odpadać, jak grudki ptasiego gówna. Uważaliśmy to za zemstę na młodym małżeństwie, które z taką determinacją postanowiło usunąć wszystkie, tak ważne dla nas, ślady po siostrach Lisbon – łupkowy dach, na którym kochała się Lux, teraz pokryły papą o fakturze papieru ściernego, klomb na tyłach domu, w którego glebie Therese określała zawartość ołowiu, teraz wyłożony czerwonymi ceglami, aby młoda małżonka nie zmoczyła sobie nóżek, zbierając kwiaty, i pokoje dziewcząt, przerobione na prywatne pracownie, w których młode małżeństwo mogło oddawać się swoim zainteresowaniom – biurko i komputer w dawnym pokoju Lux i Therese, warsztat tkacki w pokoju Mary i Bonnie. Wanna, w której pływały nasze najady i gdzie Lux wystawiała papierosa z wody, jak słomkę, przez którą mogła oddychać, została wyrwana, aby zrobić miejsce dla jacuzzi z włókna szklanego. Bacznie przyglądaliśmy się tej wannie, stojącej na chodniku, i walczyliśmy z przemożną chęcią, aby się w niej położyć. Małe dzieci, które do niej wskoczyły, nie mogły docenić jej znaczenia. Młode małżeństwo przemieniło dom w lśniącą, pustą przestrzeń, oazę spokoju przeznaczoną dla medytacji, japońskimi przepierzeniami zakrywając smętne wspomnienie sióstr Lisbon.

Zmienił się nie tylko dom Lisbonów, odmieniła się cała ulica. Wydział zieleni nadal wycinał drzewa, usuwając chory wiąz, aby uratować pozostałe dwadzieścia, potem usuwając następny, aby uratować pozostałe dziewiętnaście i tak dalej i tak dalej, aż zostało tylko te pół drzewa,

stojące przed dawnym domem Lisbonów. Nikt nie chciał patrzeć, jak po nie przyszli (Tim Winer porównał drzewo do ostatniego Mohikanina), ale ścięli je piłami, jak wszystkie pozostałe, ratując drzewa położone dalej, na innych ulicach. Nikt nie wyszedł z domu podczas egzekucji drzewa Lisbonów, ale nawet w naszych kryjówkach czuliśmy, jak oślepiająco jasno robi się na dworze, nasza cała okolica wyglądała jak prześwietlona fotografia. Zobaczyliśmy, jak prozaiczne było nasze przedmieście, całe zorganizowane na siatce, której bezbarwną regularność skrywały dotychczas drzewa, i teraz, po ich ścięciu, fałszywa różnorodność stylów architektonicznych utraciła swoją moc sprawiania, że czuliśmy się wyjątkowi. Dom Kriegerów w stylu ludorów, francuski kolonializm u Buellów, naśladownictwo Franka Lloyd Wrighta w domu Bucków – wszędzie widać było tylko rozpalone w słońcu dachy.

Wkrótce potem FBI aresztowało Sammy'ego „Rekina” Baldino, któremu nie udało się skorzystać z podziemnego korytarza, i po długim procesie trafił do więzienia. Mówiono, że zza krat nadal prowadził swoją przestępczą działalność, a rodzina Baldino pozostała w swoim domu, chociaż w niedziele nie składali już w nim wizyt mężczyźni w kuloodpornych limuzynach. Nieprzycinane drzewa laurowe rozrosły się w dziwaczne, pozbawione harmonii kształty, a przerażenie, jakie rodzina kiedyś wzbudzała, stopniowo zaczęło się zmniejszać, aż ktoś nabrał na tyle odwagi, aby obtłuc kamienne lwy przy frontowych schodach. Paul Baldino zaczął wyglądać jak każdy inny grubas z podkrążonymi oczami, i pewnego dnia poślizgnął się, a może ktoś go popchnął, pod szkolnym prysznicem, i widzieliśmy, jak leży na kafelkach, trzymając się za obolałą stopę. Skazano również innych członków rodziny i w końcu także rodzina Baldino wyprowadziła się, trzema ciężarówkami wywożąc ze sobą swoją sztukę renesansową i trzy stoły do bilarda. Dom kupił nikomu nieznanemu milioner. Podniósł ogrodzenie o kolejne pół metra.

Wszyscy nasi rozmówcy datowali upadek naszej okolicy na okres samobójstw sióstr Lisbon. I chociaż je początkowo obwiniano, stopniowo sytuacja zaczęła się diametralnie zmieniać i dziewczęta postrzegano już nie jako kozły ofiarne, ale jako prorokinie. Ludzie coraz bardziej zapominali o rzeczywistych przyczynach, jakie mogły doprowadzić do samobójstw dziewcząt, o zaburzeniach wywołanych stresem i brakach w neuroprzebieżnikach, zaczęto natomiast uważać, że przyczyną śmierci dziewcząt była ich zdolności do przewidywania degrengolady. Dostrzegano ich jasnowidztwo w usuniętych więzach, ostrym świetle słonecznym, ciągłym pogarszaniu się sytuacji naszego przemysłu samochodowego. Ta zmiana w sposobie myślenia w dużej mierze pozostała jednak niezauważona, ponieważ nie spotykaliśmy się już tak często. Gdy zabrakło

drzew, nie było już liści do grabienia czy ich stosów do palenia. Zimowe opady śniegu nadal rozczarowywały. Nie było sióstr Lisbon, które moglibyśmy szpiegować. Oczywiście, od czasu do czasu, powoli pogrążając się w melancholii pozostałej części naszego życia (tej części, której siostry Lisbon mądrze, jak teraz było widać, nie miały zamiaru oglądać), zatrzymywaliśmy się, zazwyczaj samotnie, aby spojrzeć w pełen hipokryzji pobielany grób dawnego domu Lisbonów.

Dzięki siostram Lisbon oswoiliśmy się z samobójstwami. W późniejszym okresie, kiedy ktoś z naszych znajomych decydował się skończyć z sobą – czasami nawet pożyczając dzień wcześniej książkę – zawsze wyobrażaliśmy sobie, że zdejmuje ciężkie buty, aby wstąpić w pełen skojarzeń stęchły zapach wychodzącego na morze domku na wydmie. Wszyscy oni odczytali znaki nieszczęścia, jakie babcia Karafilis wypisała po grecku w chmurach. Na różnych ścieżkach, z oczami o różnych kolorach, w różny sposób potrząsając głowami, odszyfrowali tajemnicę tchórzostwa czy też odwagi, czymkolwiek by nie była. A siostry Lisbon zawsze były tam przed nimi. Zabiły się za nasze ginące lasy, za manaty kaleczone przez śruby, gdy się wynurzały, aby napić się z węzów ogrodowych, odebrały sobie życie na widok używanych opon piętrzących się w stosach wyższych od piramid, zabiły się, bo nie znalazły ukochanego, jakim nie mógł być nikt z nas. Na koniec tortury rozdzierające siostry Lisbon wskazywały na przemyślane odrzucenie oferowanego im świata, tak pełnego wad.

Ale to przyszło później. Zaraz po samobójstwach, gdy nasze przedmieście cieszyło się swoją przelotną złą sławą, siostry Lisbon stały się tematem tabu.

– To przypominało uzalanie się nad trumną poniewczasie – powiedział Eugene. – Dodatkowo te liberalne media wciąż przekręcały fakty. Ratujmy siostry Lisbon. Ratujmy ginące zwierzęta. Pieprzenie!

Rodziny wyprowadzały się albo rozpadały, poszukując innego miejsca w południowej części kraju, i przez jakiś czas wyglądało, że naszą nową spuścizną będzie dezercja. Po opuszczeniu centrum miasta, gdy wszyscy chcieli uniknąć zamieszek, teraz opuszczaliśmy zielone brzegi naszego otoczonego ze wszystkich stron wodę kawałeczka ziemi, który trzysta lat temu Francuzi nazwali „Gruby czub” w sprośnym dowcipie, którego nikt nigdy nie zrozumiał. Jednak exodus nie trwał długo. Jeden po drugim ludzie wracali ze swoich wypraw do innych społeczności, odbudowując wadliwy bank pamięci, z którego czerpaliśmy prowadząc nasze dochodzenie. Dwa lata temu zrównano z ziemią naszą ostatnią wielką posiadłość potentatów samochodowych, aby zbudować osiedle. Okładziny z włoskiego marmuru w holu wejściowym – o rzadkim, różowym

odcieniu, jaki występuje tylko w jednym kamieniołomie na świecie – zostały pocięte na kawałki i sprzedane, podobnie jak pozłacana armatura i freski sufitowe. Po zniknięciu wiązków pozostało tylko karłowate zastępstwo. I my. Nie wolno nam już nawet urządzać grilla (miejskie rozporządzenie o ochronie środowiska), ale gdyby nam zezwolono, być może wciąż zbieralibyśmy się, kto wie, przynajmniej kilku z nas, aby snuć wspomnienia o domu Lisbonów i o dziewczętach, których włosy, skołtunione na wciąż przez nas przechowywanych grzebieniach, zaczynają wyglądać coraz bardziej jak sztuczne futro zwierzęce na ekspozycji w muzeum przyrodniczym. I tak wszystko przemija – od dowodu rzeczowego nr 1 do nr 97, ułożone w pięciu oddzielnych walizkach, każda z fotografią zmarłej, jak koptyjski nagrobek, i przechowywane w odnowionym domku na jednym z naszych ostatnich drzew: (nr 1) zdjęcie domu zrobione polaroidem przez panią D'Angelo, pokryte zieloną patyną przypominającą mech, (nr 18) stare kosmetyki Mary, wysychające i zmieniające się w beżowy pył, (nr 32) trampki Cecilii, żółknące tak, że nie pomoże im już pasta do zębów i płyn do naczyń, (nr 57) świeczki wotywnie Bonnie, podgryzane co noc przez myszy, (nr 62) należące do Therese szkiełka z preparatami, atakowane przez bakterie, (nr 81) stanik Lux (dzisiaj możemy się już do tego przyznać, Peter Sissen skradł go z krzyża) teraz już sztywny jak jakaś proteza, którą mogłaby nosić nasza babcia. Grobowiec nie jest hermetycznie szczelny i nasze świętości powoli znikają.

Mamy zatem elementy naszej układanki, ale jakbyśmy ich nie układali, zawsze pozostają jakieś przerwy i dziury, obszary pustki o dziwnym kształcie narzuconym przez to, co je otacza, jak kraje, których nazw nie znamy.

– Cała wiedza prowadzi do paradoksu – powiedział pan Buell na koniec naszego ostatniego wywiadu, i poczuliśmy, że radzi nam, abyśmy zapomnieli o dziewczętach, abyśmy pozostawili je w rękach Opatrzności. Wiedzieliśmy, że Cecilia odebrała sobie życie, ponieważ nie potrafiła znaleźć sobie miejsca na ziemi, ponieważ tamten świat ją wzywał, wiedzieliśmy również, że jej siostry, gdy zostały porzucone, słyszały jej głos, wzywający je z tego miejsca. Ale nawet gdy dochodzimy do takich wniosków, czujemy, że coś chwyta nas za gardło, ponieważ są zarówno prawdziwe, jak i nieprawdziwe. O dziewczętach tak wiele napisano w gazetach, tak wiele szeptano wśród sąsiadów czy też rozprawiano przez lata w gabinetach psychiatrów, że teraz jesteśmy pewni jedynie tego, że te wszystkie wyjaśnienia są co najmniej niewystarczające. Pan Eugene, który powiedział nam, że naukowcy są już bardzo blisko wyodrębnienia „złych genów” odpowiedzialnych za raka, depresję i inne choroby, wyraził swoją nadzieję, że być może wkrótce

„będą w stanie również określić gen odpowiedzialny za samobójstwo”. W przeciwieństwie do pana Hedliego, nie postrzegał samobójstw jako reakcji na aktualną sytuację historyczną.

– Gówny prawda – powiedział. – A o co mają się teraz martwić dzieciaki? Prawdziwe problemy to mogą znaleźć w Bangladeszu.

– Wpływ miało tu wiele czynników – napisał doktor Hornicker w swoim ostatnim sprawozdaniu, napisanym nie ze względów medycznych, ale po prostu dlatego, że nie mógł przestać myśleć o tych dziewczętach. – W przypadku większości osób – stwierdził – samobójstwo jest jak rosyjska ruletka. Pocisk jest tylko w jednej komorze. Natomiast w przypadku córek Lisbonów magazynek był pełny. Kula za psychiczne maltretowanie w rodzinie. Kula za uwarunkowania genetyczne. Kula za historyczny marazm. Kula za nieuchronny pęd ku autodestrukcji. Brak jest określenia dla dwóch pozostałych kul, ale to wcale nie oznacza, że komory były puste.

Ale to wszystko przypomina jedynie gonienie wiatru w polu. Sama istota samobójstw nie opierała się na smutku czy nieszczęściu, ale na egoizmie. Dziewczęta wzięły w swe ręce decyzje, jakie powinien podejmować Bóg. Stały się zbyt potężne, aby żyć między nami, zbyt samolubne, zbyt wizjonerskie, zbyt zaślepione. Po nich pozostało nie życie, które zawsze pokonuje naturalną śmierć, ale najbardziej banalna lista prozaicznych faktów – zegar tykający na ścianie, mroczny pokój w południe i niegodziwość istoty ludzkiej, myślącej tylko o sobie. Umysł dziewczyny zamykający się na wszystko, rozpalający się jedynie w precyzyjnych punktach bólu, osobistej krzywdy, utraconych marzeń. Każda z ukochanych osób wymyka się, jakby cofając się przez bezmiar kry lodowej, kurcząc się do rozmiarów czarnych punkcików wymachujących drobnymi rączkami, zbyt daleko, aby ją usłyszeć. A potem sznur przewieszony przez belkę, proszek nasenny na dłoni z długą, fałszywą linią życia, okno otwarte na oścież, włączony piekarnik, obojętnie co. Zmusiły nas do uczestnictwa w ich szaleństwie, ponieważ nie mogliśmy się powstrzymać i musieliśmy odtworzyć ich kroki, ponownie przemyśleć ich myśli, aby w końcu uświadomić sobie, że żadne z nich nie prowadziły do nas. Nie mogliśmy wyobrazić sobie pustki wypełniającej istotę, która przykłada sobie brzytwę do nadgarstka i otwiera sobie żyły; tej pustki i spokoju. I musieliśmy usmarować sobie pyski w tych ostatnich pozostawionych przez nie śladach, błocie na podłodze, kufrach wykopanych spod nich, już zawsze musieliśmy wdychać powietrze pomieszczeń, w których odebrały sobie życie. I w końcu nie miało znaczenia, ile miały lat i że były dziewczynami; ważne było tylko to, że je kochaliśmy i że nie słyszały naszego

wołania. Nadal nas nie słyszą, siedzących tu na górze w domku na drzewie, z naszymi rzednącymi włosami i okrągłymi brzuskami, gdy wywołujemy je z tych pomieszczeń, do których udały się, aby już na zawsze być same, samotne w samobójstwie, które jest głębsze niż śmierć i gdzie nigdy nie uda się nam znaleźć brakujących elementów tej układanki.